

# KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

108

A blue rose sculpture is the central focus, mounted on a metal railing. The rose is intricately detailed, with many layers of petals. The background is a blurred outdoor scene with a railing and some foliage, all in shades of blue.

Dhammapada

Szuber Wang Wei Celan Kezierski Matywiecki

REDAKCJA:

Krzysztof Myszkowski – redaktor naczelny

Barbara Laskowska – biuro redakcji

ZESPÓŁ:

Adam Bednarek, Jan Błoński (1931–2009), Stefan Chwin, Aleksander Fiut,  
Michał Głowiński, Marek Kędzierski, Julian Kornhauser, Leszek Szaruga

JANUSZ SZUBER	5	Początek pory deszczowej • 2019
ANTONI LIBERA	7	Janusz Szuber 1947–2020
IRENEUSZ KANIA	10	<i>Dhammapada</i> – buddyjski „katechizm” i księga mądrości
	13	<i>Dhammapada</i> , czyli Ścieżka Prawdy (fragmenty) wybrał, przełożył oraz przypisami i komentarzami opatrzył Ireneusz Kania
JACEK HAJDUK	35	Wang Wei. Poeta gór i rzek
WANG WEI	37	Dom w bambusowym lesie • Kwietna kotliną • Ptaki nad potokiem, wiosną
	38	Odpowiadając prefektowi Zhang Odwiedzając świątynię Xiangji
	39	Wysłany na pogranicze • Życie w górach, o zmierzchu przełożył Jacek Hajduk
ANTONI LIBERA	41	<i>Fuga śmierci</i> Paula Celana
PAUL CELAN	48	<i>Fuga śmierci</i> przełożył Stanisław Jerzy Lec
PAUL CELAN	49	<i>Fuga śmierci</i> przełożył Antoni Libera
MAREK KĘDZIERSKI	55	Józef Kordian
PIOTR MATYWIECKI	67	Skrytka • *** ( <i>Wiatr z lasu wywiewa nasiona...</i> )
	68	*** ( <i>Idę przez łękę, przez szum rozłączenia...</i> ) • Trwoga
	69	Bezkres • Los
	70	Odyseusz

BOGUSŁAW KIERC	71	Przed
	72	Rozliczenie • Krzyż
ANDRZEJ ZAWADA	75	Historia ludzi i oszczędność słów
ANDRZEJ SZUBA	85	Postscripta
TOMASZ HRYNACZ	87	Czarnoziem • Tak
	88	Kolejna pełnia • Mru mru
KS. JANUSZ ADAM KOBIERSKI	89	W drodze
	90	Tyle • Odchodzą

#### VARIA

KAZIMIERZ BRAKONIECKI	91	Widnoksiąg
STEFAN CHWIN	95	Korona-dziennik 2020 (2)
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	104	Fragmety murów obronnych (5)
LESZEK SZARUGA	110	Dobrze o złu (4)
PIOTR SZEWC	115	Z powodu i bez powodu (60)
ARTUR SZLOSAREK	117	Notatki do zapomnianych podróży (5)

#### RECENZJE

MARTA TOMCZOK	124	„Pracuj jak mrówka”
KAROL PŁATEK	127	Zanotować drobne drgnięcia
TOMASZ WASZAK	130	<i>Mróz</i> w przywróconej pełni

#### NOTY O KSIĄŻKACH

JAKUB BECZEK	133	Defoliacje gałązek
OSKAR MELLER	136	Sz(t)uka słowa
KRZYSZTOF LISOWSKI	139	<i>Panopticon Romano</i>
JERZY MADEJSKI	141	Rytm znaczeń
PIOTR SZEWC	144	Więcej niż sąsiedztwo
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	146	Norwid, węzły
LESZEK SZARUGA	150	Duet
NOTY O AUTORACH	154	
BIBLIOTEKA „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”	156	
KORESPONDENCJA	160	
KOMUNIKAT	164	
NOWE KSIĄŻKI	166	

Dnia 1 listopada 2020 roku umarł w Lesku



Janusz Szuber

poeta

R. I. P.



wiersze ostatnie

## JANUSZ SZUBER

### Początek pory deszczowej

Tamta ona, tu zaledwie dwa dotkliwe zaimki,  
wtedy mniej więcej w połowie listy, wywieszanej na drzwiach dziekanatu,  
w stołówce, celowo znad talerza na opak  
jak powieka wywinięta na zewnątrz u okulisty,  
w dalszym ciągu ta sama *dla siebie*,  
kiedy pojawiła się tuż za moimi plecami w lustrze,  
do którego stroiłem miny, kończąc pospiesznie golenie,  
aby natychmiast skoczyć pod prysznic  
na początku pory deszczowej:  
stratowana sawanna i grzywy lwów nasiąkające wilgocią,  
bez żadnych przy tym korekt dokonywanych hic et nunc  
w gabinetach kosmetycznych  
i chirurgii intymnej.

2019

Wyraźnie nas przy tym ignorując,  
para kosów zносиła, co się da, na gniazdo,  
budowane wewnątrz zadaszanej klatki  
ochraniającej na patio trzy liczniki gazowe.  
Wlatywały tam bez przeszkód od dołu,  
przez ograniczony ramą wąski prostokąt powietrza.  
Dużo później wylatywały tamtędy młode,  
dwa razy po cztery, w parotygodniowym odstępie.  
W pobliżu klatki między donicami z berberyssem  
i czerwonym klonem stawiało się wodę i pokruszony twaróg.  
Dopóki co do jednego same się nie wyniosły,  
nie wpuszczaliśmy za próg pracowników gazowni  
sczytujących liczniki, tu i poza tu,  
nie dalej wszakże niż o rzut beretem.

Elizbieta Lempp





ANTONI LIBERA

Janusz Szuber

1947–2020

Mniej więcej od roku wiadomo było, że nieuchronne jest blisko. Stan zdrowia Janusza pogarszał się. Do dawnych przypadłości, a było ich niemało, dochodziły wciąż nowe, odbierając kolejne obszary wolności. Los w wyjątkowo okrutny i niezrozumiały sposób igrał ze swoją ofiarą. Naprzód przez dziesiątki lat był postępujący gościec, skutkujący wózkiem inwalidzkim. Potem rozmaite dolegliwości reumatyczne i skórne, przykuwające do łóżka. Wreszcie ostatni rok – prawie wyłącznie leżenie. Ale Janusz mimo tej iście hiobowej sytuacji nie tracił hartu ducha.

Doskonale wyczuł to na odległość – już kilkanaście lat temu – Leszek Kołakowski, który zapoznał się z wyborem jego wierszy i będąc pod ich wrażeniem, napisał do niego list, w którym dominowało słowo „dzielnie”. „Pana dzielne pisanie”, „Pana dzielne wiersze”. Profesor Kołakowski zawsze doskonale dobierał słowa. Janusz, odpowiadając mu, nawiązał z kolei do tytułu jego książki o Pascalu *Bóg nie jest nam nic dłużny*: „Kto powiedział, że ma być lekko? Nikt niczego takiego nigdy nie obiecywał”. A jednocześnie mniej więcej w tym samym czasie w *Ośmiu wersach ku przestrodze* pisał:

Poklask miał być i korona  
A tymczasem wióry, słoma.  
Szybko a jakby pomału,  
Od postu do karnawału.

Chwycisz, trzymasz – pusto w dłoni.  
Myślisz: uszedłem pogoni,  
Wtedy arkan dławi szyję.  
Było czyjeś – już niczyje.

Tak, Janusz urodzony był na wielką miarę; na to, by stworzyć rzecz wybitną i zasłużyć na laur. By obdarować współczesnych czymś szczególnie wartościowym i wejść do panteonu. I niewątpliwie tak się stało, ale za niezwykle wysoką cenę i nie w sposób, jaki należy się wybrańcom.

Gdy poznałem go na studiach w Warszawie w 1967 roku (chodziliśmy na to samo seminarium z poetyki), od razu zwrócił moją uwagę swoim nadzwyczajnym wykształceniem (jakby wszystko przeczytał i wiedział) i szczególną wrażliwością na język. Nie wiedziałem wtedy, że pisuje już wiersze – długo zresztą nie zwierzał się z tego nikomu – i że w ogóle ma aspiracje literackie, ale byłem przekonany, że „ten człowiek” zajdzie wysoko; że to kandydat na przyszłego uczonego, profesora, wybitnego humanistę. Nie przypuszczałem – bo nie miałem na to żadnych danych – że owe predyspozycje, mimo niesłychanych przeciwności, wydadzą w końcu owoc w postaci wysokiej próby poezji i zupełnie wyjątkowej pozycji i roli społecznej. Bo Janusz, choć przez lata unieruchomiony w czterech ścianach mieszkania w odległym od „centrum” Sanoku i skazany głównie na telefon, zdołał jednak pokonać tę izolację i stać się „znaną postacią” – tajemniczym mędrcom-samotnikiem o głębokim, urzekającym głosie i jedynej w swoim rodzaju dykcji, jakby sprzed wieków. Wielu ludzi znało go tylko ze słyszenia; wielu – poznawszy go właśnie za pośrednictwem głosu i słów ułożonych w wiersze – „pielgrzymowało” do niego, nieraz z najodleglejszych zakątków kraju, a także z zagranicy.

Od mniej więcej dwudziestu pięciu lat sekundowałem z bliska jego twórczej aktywności i owej przedziwnej karierze, robionej jakby mimowolnie i na przekór okolicznościom. I nieraz przychodziła mi do głowy dość przewrotna, wręcz diaboliczna myśl, że może Los wie jednak, co robi, doświadczając w ten sposób Janusza, ponieważ tego rodzaju cierpienia, które go spotykały, były jakby specjalnie dobrane, aby pogłębić i wyostrzyć to, co Janusz miał „z natury” do powiedzenia, z czym się urodził i co mógł albo miał właśnie w ciągu swego życia wyrazić.

Czym było owo „coś”? Było to niezwykle dojmujące poczucie nędzy istnienia i jego nieoczywistości, zagadki podmiotu i sensu otaczającego świata. Krótko mówiąc, klasyczne przeżycie wanitatywne czy, lepiej, doświadczenie marność tego, co dane jest ludzkiej percepcji. Janusz swoją poezją wpisuje się w długą tradycję medytacji wątpliwej, od Eklezjasty począwszy, poprzez angielską poezję metafizyczną, poprzez polski barok z Sępem Szarzyńskim na czele aż po Leśmiana, Wołoszynowskiego i późnego Iwaszkiewicza.

Za wcześniej, by porywać się na takie czy inne podsumowania, syntetyczne skróty czy portrety typu „człowiek-i-dzieło”. Najlepiej, by wciąż przemawiała sama poezja. Ale i tu jest trudność, bo z tego bogatego dorobku niełatwo wybrać, co najcelniejsze lub najpiękniejsze. Wybrać jednak trzeba. A więc wybieram:

## Tymczasem tak to wytłumaczę

Dano nam życie do użycia  
Jedno, na szczęście. *Pal go sześć!*  
Pokochać kogoś, z kimś coś zjeść.  
Zakryć, co było do odkrycia.

Dla dobra sprawy. Lub na odwrót.  
Dwa kroki w przód. Ukłon. Półobrót.  
Pisk opon. Leży na poboczu  
Sobie odjęty. Deszcz. Mgła nic.

Ktoś obok. I do martwych oczu  
Sięga latarki ostry błysk.  
Życie po życiu. Ryba, ptak,  
Po odrzutowcu w niebie znak

Jednorazowy. Skłon, półobrót.  
Że byłeś – w akcie zgonu dowód.  
A na dyskietce wiersz-nie-wiersz,  
Jak dawny za kominem świerszcz.

IRENEUSZ KANIA

## *Dhammapada* – buddyjski „katechizm” i księga mądrości

Prezentujemy szczupły, fragmentaryczny wybór z *Dhammapady*, jednego z najważniejszych i najbardziej znanych – nie tylko na Wschodzie – tekstów buddyjskich. *Dhammapada*, dzieło niezwykle popularne, otaczane wielką czcią przez wyznawców Dharmy Przebudzonego, jest dla nich od ponad dwóch tysięcy lat kompendium doktrynalnym, życiowym przewodnikiem, księgą mądrości i duchową skarbnicą. Ale nie tylko dla nich, zawiera bowiem również mądrość ponadczasową i ponadkonfesyjną, z jaką stykamy się, obcując z wielkimi, starymi kulturami – sumeryjską, babilońską, egipską, chińską, żydowską, grecką, rzymską. „*Dhammapada* – pisze znany polski indolog profesor Marek Mejer – stanowi swoisty katechizm czy modlitewnik religii buddyjskiej, zawiera bowiem pouczenia i nakazy, wzywa do czystego, pobożnego i pełnego życzliwości dla innych istot życia, pobudza wiernych do wzniosłych myśli i dobrych uczynków. Wybrane strofy recytuje się przy różnych okazjach. Zwłaszcza w kręgu tradycji *therawady* (Azja Południowo-Wschodnia) tekst ten cieszy się wielkim poważaniem i popularnością”<sup>1</sup>.

*Dhammapada* jest zbiorem czterystu dwudziestu trzech strof mających postać aforyzmów, maksym bądź gnomów sapiencjalnych. Napisana została w *pāli*, blisko spokrewnionym z sanskrytem języku średnioindyjskim, w którym spisano na Cejlonie – w I wieku p.n.e., za króla Wattagamaniego – tak zwany Kanon Palijski, najpełniejszy i bodaj najstarszy korpus doktrynalny buddyzmu *therawady* (zwanego też często „południowym” albo „palijskim”). Kanon Palijski, buddyjska „księga święta”, składa się z trzech tak zwanych koszy (palijski: *pitaka*) – Winaja, Sutta i Abhidhamma; *Dhammapada* znajduje się, jako osobna kolekcja, w podzbiorze *Khuddakanikaja* zbioru środkowego (*Sutta*). Podzielona jest na dwadzieścia sześć rozdziałów (*wagga*) i tematycznie obejmuje wszystkie główne wątki i problemy wczesnobuddyjskiej religii,

---

<sup>1</sup> Zobacz antologię *Światło Słowem zwane. Wypisy z literatury staroindyjskiej*, redakcja Marek Mejer, Wydawnictwo Dialog, Warszawa 2007.

filozofii, etyki, psychologii i zdroworozsądkowej mądrości. Według tradycji autorem wszystkich strof jest sam Budda, który miał każdą konkretną myśl, maksymę, pouczenie, wskazówkę, wreszcie uogólnioną prawdę wypowiedzieć jako komentarz (albo konkluzję) do konkretnego wydarzenia z życia wspólnoty mniszej. Niektóre strofy mają charakter alegorii o wysokich walorach literackich. Wszystkie osadzone są mocno w świecie intuicji, wyobrażeń, założeń przedfilozoficznych i wartości charakterystycznych dla liczącej już tysiąclecia indyjskiej cywilizacji – dlatego ich lektura bywa dla nas, ludzi Zachodu, trudna i często wymaga komentarza: wszak każdy z aforyzmów, niosący zwykle jakiś przekaz już uniwersalizowany, nam musi się jawić jako wyrwany z naturalnego swego kontekstu. Dlatego niniejszy swój przekład opatrzyłem garścią najkonieczniejszych przypisów.

\*

Palijski tytuł zbioru – *Dhammapada* – niełatwo oddać w tłumaczeniu, jako że oba jego człony – rzeczowniki *dhamma* i *pada* – są wieloznaczne. Ich szczegółowa filologiczna analiza zajęłaby co najmniej kilka stron druku; poprzestańmy więc na poinformowaniu czytelnika, że można ten tytuł przekładać jako „ścieżka/droga/słowa/strofy Prawdy/Nauki/Prawa” itp. Co do mnie, sądzę, że najtrafniej tytuł palijski oddaje tłumacz *Dhammapady* na tybetański – *Čhoskyi tshigs-su bčad-pa*, czyli „Strofy o Dharmie” (Gangtok 1946).

*Dhammapada* jest, jak już powiedziano, do dziś tekstem żywym i popularnym w świecie buddyjskim; istnieje też w licznych wersjach językowych (zresztą różniących się nieraz znacznie objętością i treścią) – chińskiej, tybetańskiej, birmańskiej, mongolskiej, ujgurskiej, sanskryckiej, tajskiej itd. Największym autorytetem cieszy się, rzecz jasna, wersja palijska – jako najstarsza (bo wchodzi w skład Kanonu) i zachowana w języku, w którym, zgodnie z tradycją, swoje nauki głosił sam Budda (choć, zdaniem badaczy, mógł to też być inny prakryt, na przykład *ardhamagadhi*).

Mamy też wiele przekładów tego dzieła na chyba wszystkie najważniejsze języki europejskie; najwcześniejszy pełny przekład *Dhammapady*, na łacinę, opublikował w 1855 roku duński orientalista Viggo Fausböll. Na nasz język przełożył ją Stanisław Franciszek Michalski-Iwieński (I wydanie – 1925, II wydanie – 1948).

Jak już wspominałem, oryginał ma postać wierszowaną; strofy są na ogół dystychami utrzymanymi w tradycyjnych indyjskich miarach wersyfikacyjnych zwanych *trishtubh* (11-zgłoskowiec) i *anushtubh* (8-zgłoskowiec). Bogactwo

zawartych w tych wersach treści idzie tu o lepsze z niezwykłą prostotą i zwięzłością formy, bardzo trudną do adekwatnego oddania w literackim przekładzie. Ażeby bodaj w przybliżeniu sprostać wszystkim wymogom oryginału – i zagubić jak najmniej z jego, również literackiej, urody – zdecydowałem się na wiersz rytmiczny, nierymowany, o różnej długości.

# Dhammapada, czyli Ścieżka Prawdy

(fragmenty)

wybór i przekład Ireneusz Kania

## I. Yamakavagga (o parach)

1.

Duch jest pierwotny wobec rzeczy, on je wypełnia, nimi włada;  
jeśli kto z duchem zepsutym cokolwiek mówi albo czyni,  
za tym podąża wszelka bieda, jak idzie ślad za kołem wozu.

2.

Duch jest pierwotny wobec rzeczy, on je wypełnia, nimi włada;  
jeśli kto z duchem uładowym cokolwiek mówi albo czyni,  
za tym w ślad zawsze błogość idzie, nie odstępując go jak cień.

3.

„Znieważył mnie; uderzył, okradł i zniewolił!”  
Tak zło się innym czyni, będąc we władzy złości.

4.

„Znieważył mnie; uderzył, okradł i zniewolił!”  
W tym, kto tak zła nie czyni, wygasa wszelka złość.

5.

Albowiem nigdy żadnej złości złością się nie pokona;  
gdyż tylko dobroć złość wygasa – to jest odwieczne prawo.

6.

Większość ludzi nie pojmuje, że podążamy ku śmierci;  
ci jednak, którzy to pojmą, zaraz przestają się kłócić.

7.

Kto na rzeczy miłe patrzy, zmysły mając w rozprężeniu,  
ospały i leniwy, w łakomstwie niepohamowany  
– tego wnet obala Māra, jak wichur wiałe drzewko.

8.

Kto kontempluje rzeczy wstrętne, swe zmysły kontrolując,  
w jedzeniu miarę trzyma, ufny, pełen energii  
– tego Māra nie złamie, jak wiatr nie wstrząśnie skałą ni górą.

9.

Kto, choć nieczysty, przyodziewa żółtą szatę,  
lecz powściągu nie zna ni prawdy – niegodzien żółtej szaty.

10.

Kto wypluł z siebie nieczystość, w moralności utwierdzony,  
kto ćwiczy się w powściągach – ten godzien żółtej szaty.

11.

Ci, co złudę mają za treść, a treść widzą jako złudę,  
do treści nigdy nie dotrą, bo wszystko widzą krzywo.

12.

Ci zaś, co treść jako treść poznali, złudę widząc jako złudę,  
do treści zawsze docierają, bo wszystko widzą w prawdzie.

13.

Jak gdy domu dach dziurawy deszcz przenika bez trudu,  
tak niewycwiczony umysł namiętność gładko przebijają.

14.

Jak gdy przez mocny dach domu ulewa się nie przebija,  
tak umysłu ćwiczonego namiętność przebić niezdolna.

15.

Tutaj biada i po śmierci biada;  
zło czyniącemu w obu światach biada.  
A więc biada, bo pełen zgryzoty,  
jasno ujrawszy własne skalane uczynki.

16.

Raduje się tutaj, a także po śmierci;  
w obu światach raduje go zdziałane dobro.  
A więc się cieszy, a więc się raduje,  
widząc, że się własnymi czynami oczyścił.

17.

Dręczy się tutaj, a także po śmierci;  
zło czyniący w obu światach się dręczy,  
myśląc: „otom zło uczynił”;  
bardzo tym się dręczy, że poszedł do piekieł.



18.

Cieszy się tutaj, a także po śmierci,  
w obu światach go cieszy dobro, które zdziałał.  
Bardzo tym się cieszy, wielką stąd ma radość,  
że czynił dobro i poszedł do nieba.

19.

Choćby święte pisma gorliwie roztrząsał,  
człek omroczony świętym się nie stanie;  
będzie jak pasterz cudze liczący krowy,  
świętobliwym samaną się nie stanie.

20.

Ten zaś, kto nawet mało biegły w pismach,  
lecz się kieruje naukami Dhammy  
i strząsa z siebie żądze, złość, omrokę,  
kto trafnie rozpoznał rzeczy i kto duchem wolny,  
nie lgnie do niczego ani tu, ani tam  
– ten świętobliwym się staje samaną.

## II. Appamādavagga (o skupieniu)

21.

Skupienie to krok ku bezśmierci, niedbalstwo – do śmierci droga,  
skupieni nie umierają, niedbali już są jak martwi.

22.

Tę różnicę rozeznawszy, mądrzy, trwając w skupieniu,  
radośnie się napawają pięknem krainy szlachetnych.

23.

Nie ustając w wysiłku, głęboko skoncentrowani,  
Nibbānę urzeczywistniają – najwyższą wolność, pokój.

24.

Tego, kto pełen wigoru, zawsze baczny, uczciwy, rozważny w działaniu,  
kto żyje świadomie, zgodnie z naukami Dhammy,  
kto skupiony – tego sława ustawicznie wzrasta.

25.

Wysiłkiem, skupieniem, świadomością, samodyscypliną  
człek rozumny niech wyspę tworzy, której nie zatopi fala.

26.

W gnuśności się lubują głupcy, ludzie bezmyślni;  
rozumny strzeże skupienia jak największego skarbu.

27.

Nie lubujcie się w gnuśności, nie pławcie się w rozkoszach;  
tylko skupiony, medytujący, osiąga szczęście bez miary.

28.

Kiedy skupieniem gnuśność precz goni człowiek mądry,  
do twierdzy wchodzi wysokiej nad stroskanym światem;  
i sam, bez trosk moczars, z góry patrzy na tłum głupców.

29.

Skupiony wśród roztargnionych, czuwający wśród uspionych  
– tak mądry dąży naprzód, jak rumak prześciga szkapę.

30.

Dzięki skupieniu Maghavan stał się pierwszym pośród bogów;  
skupienie wszędzie się sławi, gnuśność zawsze jest ganiona.

31.

Bhikkhu oddany skupieniu, w gnuśności widzący groźbę,  
jest jak ogień, który pali wątle i grubsze więzy.

32.

Bhikkhu oddany skupieniu, w gnuśności widzący groźbę,  
już do upadku niezdolny, już jest w pobliżu Nibbāny.

### III. Cittavagga (o umyśle)

33.

Chwiejny jest umysł i niesforny, trudno go strzec i powściągać;  
mędrzec go naprostowuje, jak wytwórca grotów – strzałę.

34.

Jak ryba wyrwana z wody miota się na lądzie,  
tak też umysł się rzuca, by umknąć przed Władcą Śmierci.

35.

Ten umysł niepochwytny, niestały, rozbiegany,  
dobrze jest zdyscyplinować; wtedy szczęście on daje.

36.

Mędrzec niech strzeże umysłu, niepochwytnego i w ruchu;  
dobrze jest strzec go i jarzmić, bo wtedy szczęście przynosi.

37.

Samotny on i bez ciała, błędzi daleko, śpi w jamie;  
kto ten umysł powściąga, wyzwala się z więzów Śmierci.

38.

Czyj umysł nieustalony, rozchwiany, nieświadom Dhammy,  
ten poznaniem Wyższej Prawdy nigdy się nie napełni.

39.

Czyj umysł od żądz wolny, czyj rozum niezamącony,  
kto już poza złem i dobrem – ten przebudzony, bez lęku.

40.

Widząc, że to ciało jest jakoby garnek,  
niech buduje swego ducha jak potężny gród  
i, coraz mądrzejszy, niech zмага się z Mārą  
i strzeże zwycięstwa, od przywiązań wolny.

41.

Zaprawdę, to ciało legnie już niedługo  
na ziemi, jak nikomu niepotrzebna kłoda.

42.

Wróg wrogowi zło wyrządza, a złośnik – złośnikowi;  
lecz większą krzywdę sobie czyni umysł źle kierowany.

43.

Nie tak wielkie jest dobro od rodziców i krewnych  
jak to, które niesie umysł właściwie kierowany.

## V. Bālavagga

(o głupim)

60.

Dłuży się noc czuwającemu, a wędrowni – znużonemu;  
nieznający Dhammy głupiec długo krąży po samsarze.

61.

Gdy lepszego lub równego sobie nie znajdziesz towarzysza,  
lepiej wędruj samotnie: nie ma kompanii z głupim.

62.

„Synów mam i majątności” – oto czym się gryzie głupi,  
choć przecież sam siebie nie ma; jak więc synów albo mienie?

63.

Głupi świadom swej głupoty już jest poniekąd mądry;  
głupiec, co się mądrym mniema, głupcem jest najprawdziwszym.

64.

Głupiec, choćby całe życia spędził u boku mędrca,  
sensu Dhammy nie pozna, jak łyżka – smaku zupy.

65.

Człek bystry, tylko przez chwilę z mądrym obcujący,  
sens Dhammy w lot pochwyci, jak smak zupy – język.

66.

Głupiec o tępym umyśle, wróg dla siebie samego,  
tu i tam się szwenda, zło czyniąc, co cierpki owoc wyda.

67.

Niedobry to uczynek, którego później żałujesz;  
kto przy nim łyżę leje, ten potem płaczem się karmi.

68.

Ten uczynek jest dobry, którego nie żałujesz;  
z przyjemnością coś czyniąc, radością potem się karmisz.

69.

Dla głupca zło ma smak miodu, póki nie dojrzeje;  
zło, kiedy już dojrzeje, ból na głupca sprowadza.

70.

Gdyby głupiec-asceta jadł tylko ziarnko na miesiąc,  
nie będzie wart cząstki tego, kto zgłębił naturę rzeczy.

71.

Zły czyn tak szybko się nie spełnia jak kwaśniejące mleko;  
lecz głupca wolno ogniem pali jak żar okryty popiołem.

72.

Głupiemu wiedza przyczynia tylko szkody,  
wiedza niszczy głupca życie, od niej pęka mu głowa.

73.

Próżnej czci chciałby zażywać, u mnichów mieć poważanie,  
w domach mieć pełnię władzy, od obcych hołdy odbierać.

74.

„Niech wiedzą, że ja to sprawił – gospodarze, pustelnicy;  
niech ja mam całą władzę w sprawach drobnych i największych”.  
Tak sobie roi głupiec, a żądza i pycha w nim rośnie.

75.

Poznanie do celu wiedzie, Poznanie drogą do Nibbāny;  
to wiedząc bhikkhu, uczeń Przebudzonego,  
o honory niech nie dba, niech praktykuje samotność.

X. Daṇḍavagga  
(o przemocy i karze)

129.

Wszyscy drżą przed gwałtem, wszyscy śmierci się boją;  
skoroś taki jest jak inni, sam nie morduj, nie każ innym.

130.

Wszyscy drżą przed gwałtem, wszystkim życie jest miłe;  
skoroś taki jest jak inni, sam nie morduj, nie każ innym.

131.

Kto istoty żądne szczęścia krzywdzi, gwałt im zadając,  
sam, żądny szczęścia, w drugim życiu go nie znajdzie.

132.

Kto istot żądných szczęścia nie krzywdzi, gwałtu im nie zadaje,  
sam, żądny szczęścia, w drugim życiu je znajdzie.

133.

Nie mów ostro do nikogo, bo tak samo ci odpowie:  
ranią porywcze słowa, wrócą do tego, kto mówi.

134.

Jeśliś już uspokojony, jak pęknięty gong, co zamilkł,  
toś osiągnął Wygaszenie, gniewu już w tobie nie ma.

135.

Jak pastuch pogania kijem krowy na pastwisko,  
tak starość i śmierć popędzają życie wszelkich istot.

136.

Głupiec pojąć nie potrafi działania swych niecných czynów,  
dręczą więc one głupiego, jak gdyby ogniem go trawiąc.

137.

Kto bezbronnego, niewinnego krzywdzi, gwałt mu zadając,  
na tego szybko bieda spada jedna z tych dziesięciu:

138.

ostrego doświadcza bólu, straty mienia, ran głębokich,  
ciężkiej choroby, jak pomieszanie zmysłów;

139.

nieżyczliwości władcy, bezlitosnej obmowy,  
utrąty krewných, zniszczenia całego majątku;

140.

jego domy ogień strawi, spłoną one od pioruna,  
a po rozpadzie ciała głupiec odrodzi się w piekle.

141.

To nie nagość ani kok na głowie, ni smarowanie się błotem,  
nie surowy post ni łoże z ostrych zrobione kamieni,  
nie brud ani pot, ni kucanie na piętach  
mogą oczyścić tego, kto zwątpień nie pokonał.

142.

Choć odziany strojnie, lecz żyje w spokoju,  
dobry, wyciszony, powściągnięty, czysty,  
wyrzekłszy się krzywdzenia wszelkich żywych istot  
– ten jest braminem, ascetą i mnichem.

143.

Nawet skromny w zachowaniu, gdy znajdzie się wśród ludzi,  
pouczeń potrzebuje, jak szlachetny rumak bata.

144.

Jak szlachetny rumak bądźcie, biczem kierowany,  
gdy ogarnięty zapałem do biegu się zrywa;  
pełni ufności, mężni, nieskazitelni,  
mocni w skupieniu, w rozważaniu Dhammy,  
pełni wiedzy i dobroci szybki zrobicie postęp  
i strząśnięcie z siebie ogromne cierpienie.

145.

Kopacz rowami wodę rozprowadza,  
strzał wytwórca łuk nagina,  
drwale obalają drzewa,  
mędrzec samego siebie jarzmi.

## XI. Jarāvagga (o starości)

146.

Skąd ten śmiech i skąd radość, skoro cały świat płonie;  
czemuż nie szukacie światła wy, więźniowie ślepoty?

147.

Spójrz na to strojne ciało: sklejone z wrzodów i kości,  
chore i pełne żądz, bez pewnego oparcia.

148.

Zgrzybiały już ten zewłok, zżarty chorobą i kruchy,  
rozpada się to ciało – bo śmierć jest kresem życia.

149.

Jak jesienią na polu porozrzucane tykwy  
leżą szarosine kości; czy radosny to widok?

150.

Z kości to miasto złożone, z mięsa zlepionego krwią;  
mieszka w nim starość i śmierć, mieszka pycha i zawiść.

151.

Zużywają się nawet różnobarwne wozy królów,  
a więc również kształtne ciała pochylają się w starość;  
dobro jednak ani Dhamma nie podlegają starości:  
tak między sobą powiadają Szlachetni.

152.

Ten, kto się nigdy nie uczył, żyje całkiem jak wół;  
w mięso tylko porasta – mądrości mu nie przybywa.

153.

Przez ciąg długi narodzin szukałem i nie znalazłem  
budowniczego domu; w koło się rodząc, cierpimy.

154.

Ale jużś znaleziony, nowego nie wzniesiesz domu;  
połamane twoje krokwie, rozpadła się kalenica,  
duch wstąpił w Niezłożoność, pragnienia się wypaliły.

155.

Ten, co chłopcem Pism nie zgłębiał, w młodości się nie wzbogacił,  
jak markotna stara czapla tkwi nad wyschlłym stawem.

156.

Ten, co chłopcem Pism nie zgłębiał, w młodości się nie wzbogacił,  
leży jak łuk połamany, opłakując przeszłe lata.

#### XIV. Buddhavagga (o Buddzie)

179.

Jego triumfu nikt już nie umniejszy  
ani do niego nigdzie się nie zbliży  
– bo nieskończona jest zaiste sfera Buddy,  
brak po nim śladu; jak go więc odnaleźć?

180.

Ten, w którym nie ma już zwodniczej żądy,  
więc nigdzie go już ona nie powiedzie

– Budda, bo nieskończona jest wszak jego sfera  
i nie zostawił śladu; jak go więc odnaleźć?

181.

Mistrzowie wglądu, mądrzy, trwający w zobojętnieniu,  
w pełni przebudzeni, baczni; bogowie nawet im zazdroszczą.

182.

Trudno narodzić się człowiekiem, trudne jest życie śmiertelnych.  
Trudno usłyszeć Dobre Prawo; trudno jest zostać Buddą.

183.

Zła nie czynić żadnego, owszem, czynić dobro  
z duchem oczyszczonym – oto Buddów nauczanie.

184.

Cierpliwość – najwyższą ascezą, wyrozumiałość – Wygaszeniem;  
tak Buddowie głoszą najwyższą Nibbānę.  
Choćby odszedł w bezdomność, nie będzie samaną  
ten, kto zabija albo innych krzywdzi.

185.

Nikogo nie obrażać, nie krzywdzić, przestrzegać Dyscypliny,  
miarę trzymać w jedzeniu, sypiać na osobności,  
ćwiczyć ducha w medytacji – oto Buddów nauczanie.

186.

Kiedy ktoś, choć trwoni złoto, rozkoszą się nie nasycy,  
bo niesie ona cierpienie – mądrzeje, bo tego świadom.

187.

Nawet w rozkoszach nieba nie kocha się uczeń Buddów;  
za to wytrwale dąży do wykorzenia pragnień.

188.

Wielu szuka schronienia w górach i leśnych ostępach,  
w świętych gajach, pod drzewami zamieszkują gnani trwogą;

189.

lecz niepewne to schronienia, mocnego oparcia nie dają;  
uwolnić ich nie potrafią od dolegliwości bytu.

190.

Ten jednak, kto się schroni w Buddzie, Nauce, Wspólnocie,  
kto pojmie i kontempluje Cztery Szlachetne Prawdy;

191.

Bolesność i jej Źródło, i jej Przewyciężenie  
i Ośmiostopniową Drogę jej Przewyciężenia –



192.

ten znalazł pewne schronienie, schronienie najwyższe,  
które znalazłszy, już jest wolny od dolegliwości bytu.

193.

Trudno narodzić się człowiekiem, rzecz to wcale niepowszechna;  
kto się narodzi mądrym, tego ród rozkwita w szczęściu.

194.

Szczęście – gdy się Budda rodzi i ogłasza Dobre Prawo;  
Szczęściem – zgoda we Wspólnocie i harmonijna Praktyka.

195.

Ten, kto czci wszystkich czcigodnych – Buddę i jego uczniów,  
którzy świat przewyciężyli, przepłynęli trosk ocean,

196.

którzy w pełni wygaszeni, wolni od wszelkiego strachu –  
takie zgromadził zasługi, że nikt ich zmierzyć nie zdoła.

## XV. Sukhavagga

(o szczęściu)

197.

W szczęściu prawdziwie żyjemy, od złości wolni wśród złości,  
pośród ludzi pełnych złości żyjemy od złości wolni.

198.

W szczęściu prawdziwie żyjemy, od chorób wolni wśród chorych;  
wśród ludzi chorych żyjemy sami od chorób wolni.

199.

W szczęściu prawdziwie żyjemy wśród pożądlivych od żądz wolni;  
wśród pożądlivych żyjemy sami od pożądań wolni.

200.

W szczęściu prawdziwie żyjemy, nic nie mając dla siebie,  
radością będziemy się karmić jak Świetliści pośród bogów.

201.

Zwycięstwo rodzi nienawiść, pokonany żyje w bólu;  
wyciszony trwa w błogości, bo obcy mu triumf i klęska.

202.

Nie ma ognia jak namiętność, nie ma zła jak nienawiść,  
dolegliwości jak sam byt, szczęścia większego niż spokój.

203.

Głód to najcięższa choroba, największy ból – osobowość;  
to poznawszy, miej nibbānę za szczęście nieprzewyższone.

204.

Zdrowie to największa korzyść, zadowolenie – skarb największy,  
przyjaźń – najlepszy krewny, nibbāna – szczęście nieprzewyższone.

205.

Posmakowawszy ustronia, smak poznawszy wyciszenia,  
pij teraz radość Dhammy – beztrwożnej i bez zmaży.

206.

Dobrze być ze szlachetnymi, mieszkać razem – zawsze szczęście.  
Zawsze szczęśliwy ten, kto głupców oglądać nie musi.

207.

Kto zadaje się z głupcami, długo potem żałuje:  
obcować z głupcami to jakby bezustannie być z wrogiem;  
obcować zaś z mądrym to szczęście, jak życie w rodzinie.

208.

Dlatego:  
Mądrego, pełnego wiedzy wyższej i książkowej,  
cierpliwego, sumiennego, szlachetnego,  
dobrego i rozsądnego czcią otaczajcie,  
bo on jak księżyc jest w orszaku gwiazd.

#### XVIII. Malavagga (o splamieniach)

235.

Oto jesteś teraz jakby zeschnięty liść;  
przyszli po ciebie pachołkowie Yamy,  
za chwilę wyruszysz w podróż,  
a zapasów na drogę nie masz.

236.

A więc mocną wyspę twórz dla siebie,  
trudź się gorliwie, żeby zdobyć mądrość;  
zupełnie z wszelkich splamień oczyszczony,  
wejdiesz do boskiej dziedziny Szlachetnych.

237.

Wszak teraz widzisz, jakeś się postarzał;  
siedziby Yamy jesteś całkiem blisko,

przystanku w drodze już dla ciebie nie ma  
i nie masz żadnych na podróż zapasów.

238.

A więc mocną wyspę twórz dla siebie,  
trudź się gorliwie, żeby zdobyć mądrość;  
zupełnie z wszelkich splamień oczyszczony,  
powtórnie się nie zrodzisz i nie postarzejesz.

239.

Człowiek rozumny stopniowo, pomału, krok po kroku  
splamienia z siebie usuwa, jak jubiler ze srebra.

240.

Jak rdza zjada żelazo, które ją zrodziło,  
tak mnicha, co wygod używa nad miarę,  
do zguby wiodą jego własne czyny.

267.

Kto poza winą jest i zasługą, kto żyje w czystości  
i „umownie” trwa w tym świecie – ten nosi miano bhikkhu.

268.

Nie przez milczenie jest mędrcom – głupiec wśród ciemniaków;  
mądry jest, kto, zważywszy rzeczy, wybiera lepszą,

269.

a złych unika; ten jest mędrcom dzięki temu.  
Kto rozważa oba światy, ten mędrcom się staje,

270.

Nie jest Arią, kto krzywdzi wszelkie żywe istoty;  
tylko ten, kto ich nie krzywdzi, nazywany jest Arią.

271.

Nie przez ślubowania cnoty ani przez wielką uczoność,  
czy przez głębię skupienia lub odosobnienie

272.

osiągam szczęście Niepowrotu, niedane pospolitakom;  
bhikkhu dzięki ufności osiąga wymazanie skałań.

## XX. Maggavagga (o drodze)

273.

Z dróg Ośmioraka najlepsza, z prawd – Czterocłonowa.  
Beznamiętność najlepsza z rzeczy; spośród dwunogów – Widzący.

274.

To droga do oczyszczenia i widzenia: nie ma innej.  
Wstępujcie na nią, by samego Mārę w pomieszenie wprawić.

275.

Cierpieniu kres położycie, podążając tą drogą;  
jam ją poznał i ogłosił, ona cierń bólu wyrywa.

276.

Wy sami trudzić się macie; Buddowie wskazują drogę.  
Idąc nią, pełni skupienia, wyzwolicie się z pęt Māry.

277.

„Nietrwale wszystko, co złożone”: ten, kto takie ma Poznanie,  
uwalnia się od bólu; to jest droga oczyszczenia.

278.

„Bolesne wszystko, co złożone”: ten, kto takie ma Poznanie,  
uwalnia się od bólu; to jest droga oczyszczenia.

279.

„Bezistotowe wszelkie rzeczy”: ten, kto takie ma Poznanie,  
uwalnia się od bólu; to jest droga oczyszczenia.

280.

Kto się ociąga, gdy czas wstawać,  
kto, młody i silny, gnuśnym jest leniwcem,  
bezczyнным, oddanym rojeniom –  
ten drogi Wglądu nie znajdzie.

281.

Panowanie nad swą mową i umysłem,  
wystrzeganie się szpetnych uczynków,  
oto trzy ścieżki do oczyszczenia  
drogą przez dawnych wieszczów oznajmioną.

282.

Z dyscypliny rodzi się poznanie, z jej braku ono zanika;  
świadom tej dwoistości – wzrostu i zaniku,  
tak sobą pokieruj, by twe poznanie wzrastało.

## XXI. Pakiṇṇavagga (o sprawach różnych)

294.

Choćby ojca, matkę zabił, dwóch królów i kszatrijów,  
zniszczył państwo z poddanymi – bramin nadal jest bez winy.

295.

Choćby ojca, matkę zabił, dwóch królów i świątobliwych,  
z tygrysem jako piątym – bramin nadal jest bez winy.

### XXIII. Nāgavagga

(o słońiu)

320.

Niby słoń w zażartym boju zasypywany strzałami  
oszczerstwa mężnie będę znosić; mnóstwo jest złych ludzi.

321.

Poskromionego w tłum prowadzą, poskromionego król dosiada;  
z ludzi najlepszy – samoposkromiony, odporny na obmowę.

322.

Świetne są poskromione muły, pełnej krwi rumaki z Sindhu  
i słońie króla; od nich lepszy, kto sam się poskromił.

323.

Żadnym pojazdem nie dotrzesz do Nieprzedeptanego Kraju;  
tylko ten go osiągnie, kto poskromił sam siebie.

324.

Ten słoń, imieniem Dhanapālaka,  
rozjątrzony, bo w rui, niesforny,  
spętany nie tknie ani kęsa  
i rwie się do swoich, w lesie.

325.

Lecz kto jest leniem i tępym żarłokiem,  
co tylko sobie przysypia, gdzie popadnie,  
jest jak utuczony dobrym ziarnem knur;  
głupiec – on będzie ciągle się rodził.

326.

Tak samo ja swoją myśl, kiedyś błędzącą,  
gdzie się jej podobało, tu i tam, bezładnie,  
dzisiaj okiełznam i powściągnę mocno,  
jak słońia w rui bodźcem jarzmi kornak.

327.

Miłujcie trzeźwowiedzenie, strzeżcie czystego ducha,  
o własnych siłach się dźwigajcie jak krzepki słoń z topieli.

328.

Jeśli masz obok roztropnego druha,  
mądrygo i zacnego towarzysza drogi,  
to wszelkie trudności z łatwością pokonasz;  
a więc z nim wędruj – uważny, radosny.

329.

A jeśli nie masz roztropnego druha,  
mądrygo i zacnego towarzysza drogi –  
to, jak król podbite opuszczając państwo,  
wędruj samotnie, jakoby słoń w lesie.

330.

Lepiej samotnie dążyć naprzód;  
nie ma kompanii z głupcem.  
Sam złych czynów łatwiej się ustrzeżesz,  
mając pragnień mało – jak słoń idący przez las.

331.

Gdy rodzą się trudności, szczęściem jest towarzysz;  
satisfakcja taka bądź inna jest szczęściem;  
szczęściem zacie życie, gdy się kończy,  
szczęściem rozstanie się z wszelkim cierpieniem.

332.

Szczęściem jest miłość dziecka do ojca i matki,  
szczęściem być w świecie samaną, szczęściem – być braminem.

333.

Szczęśna jest zacie starość i niezachwiana ufność,  
szczęściem jest uzyskanie wglądu, szczęściem – nieczynienie zła.

## Przypisy i komentarze do wybranych strof, podług ich numeracji

1.–2.

Obie te strofy są, w całej *Dhammapadzie*, bodaj najtrudniejsze do interpretacji. Pierwsze ich słowa („*manopubbangamā dhammā...*”) streszczają mianowicie buddyjską ontologię, charakterystyczną zresztą dla głównego nurtu całej myśli indyjskiej, zgodnie z którą prąźródłem rzeczywistości jest „duch” – *manas* po sanskrycku i palijsku; teźże zaś rzeczywistości najmniejszymi, „atomowymi” elementami są *dharmy* (to po sanskrycku; po palijsku *dhammy*).

Oba te terminy są niezwykle pojemne i wieloznaczne, i tłumaczy się je rozmaicie, zależnie od kulturowego i skrypturalnego kontekstu. Tak więc *manas* może znaczyć duch, umysł, rozum, myśl, zamiar, wola itd. Sam proponuję – za naszym tłumaczem *Dhammapady* Stanisławem Franciszkiem Michalskim-Iwieńskim – termin „duch”, jako najogólniejszy, obejmujący najszerzy wachlarz możliwych, bardziej szczegółowych sensów; uważam bowiem, że nieprzypadkowo ta mocna teza ontologiczna, w duchu idealistycznego monizmu, otwiera cały zbiór. (Szerzej na ten temat, zobacz: Wykłady IV oraz Mutt 113, *passim*).

5.

Por. Mutt 143.

7.

Māra (od pierwiastka *mṛ*, „umierać”) jest w kulturze indyjskiej „złym duchem”, personifikacją śmierci, odpowiednikiem naszego Kusiciela, Ducha Sprzeciwu. Māra to wytrwały adwersarz Buddy.

9.

W oryginale mamy tu grę słów niemożliwą do oddania w przekładzie: *kāsāva* to żółta opończa mnisia, *anikkasāvo* zaś znaczy po palijsku „wolny od skałań, zabrudzeń” (moralnych i intelektualnych). Wątek „skałań”, „splamień” – moralnych, duchowych – przewija się w wielu miejscach całego zbioru. Tymi „skalaniem” są wszelkie nasze wady, przywary, złe emocje, rozmaite formy ignorancji, głupoty, zaślepienia, błędnych przekonań itd.; wszystkie one są przeszkodami na drodze wiodącej adepta buddyjskiej Dhammy (po sanskrycku: Dharmy) do ostatecznego, zbawczego celu – Nibbāny (sanskrycka Nirvāṇa). Usilna i systematyczna praktyka etyczno-duchowa, taka, jakiej nauczał Budda, pozwala usunąć owe „skalania”, „zabrudzenia”, „splamienia”, „zacieki”. Za najgorsze ze wszystkich – bo będące „potrójnym korzeniem zła”

(*trīṇyakuśalamūlāni*) – uważa się pożądlivość (*lobha*, ewentualnie *rāga*), gniew (*dosa*), niewiedzę, zaślepienie (*moha*).

19.–20.

Zob. Mutt. 175.

28.

Zob. Mutt 221.

30.

*Maghavan* („hojny, szczodry”) jest jednym z przydomków boga Indry.

31.

*Bhikkhu* (sansk. *bhikṣu*) to mnich buddyjski, żebrzący o codzienną strawę. „Więzami” jest wszystko to, co człowieka wiąże ze światem, wskutek czego do tego świata on Ignie.

33.

*Citta* znaczy zarówno „umysł”, jak i „myśl”; jednakże pierwotnym sensem tego słowa jest „serce”, „centrum”, „ośrodek” władz i reakcji emotywnych oraz intelektualnych. *Citta* może też oznaczać „stan ducha, zamiar, intencję”.

36.

W fabularnym komentarzu do tej strofy mowa jest o młodzieńcu, synu bankiera, pytającym buddyjskiego mnicha, co ma robić, by uwolnić się od dolegliwości istnienia. W odpowiedzi usłyszał niemal to samo, co zamożny młodzieniec z Ewangelii usłyszał od Chrystusa (Mt 19, 16–22). Gdy całą sprawę zrelacjonowano Buddzie, skomentował on ją słowami niniejszej strofy (zob. Kom 183–184, *Ukkaṇṭhitabhikkhu Vatthu*). (Obszerniej na arcyciekawy temat zbieżności buddyjsko-chrześcijańskich zob. Słusz 31, 141–148, a także Mutt 1).

37.

„Jama” to komora serca, siedziba myśli/umysłu.

39.

Adept Dhammy musi przezwyciężyć („wyjść poza”) tak zło, jak i dobro, bo oba tak samo mocno wiążą go ze światem.

41.

Według tradycji Budda wypowiedział tę myśl po obmyciu – wespół z innymi mnichami – leżącego we własnych wydzielinach i okrytego wrzodami mnicha imieniem Tissa, którego współbracia opuścili. (Zob. Kom 189, *Pūtiga-tatissatthera Vatthu*; por. też Mutt 153, *Gilānavatthukathā*, gdzie mamy historię bardzo podobną).

42.

Zob. Mutt 199.



60.

„Wędrówka”: w oryginale *yojana* (mila indyjska, około dwunastu mil angielskich, czyli ponad dziewiętnaście kilometrów; synonim długiej podróży).  
Zob. Mutt 219.

61.

Zob. Mutt 218.

62.

Zob. Mutt 217.

63.

Zob. Mutt 216.

70.

W oryginale mamy:

*māse māse kusaggena*

*bālo bhuñjeyya bhojanam...* (itd.),

co znaczy dosłownie:

głupiec, nawet gdy miesiącami

jadłby tyle, ile nabierze czubkiem źdźbła trawy kusa... (itd.).

Przywołany jest tutaj tradycyjny wizerunek leśnego ascety i jego umarwień. Zgłębienie „natury rzeczy” (*sankhātadhammānam*) to rozpoznanie – zgodnie z Czterema Szlachetnymi Prawdami – bezistotowości, nietrwałości i bolesności wszystkiego, co złożone. Por. Mutt 162.

141.

Mutt 163.

142.

Por. SuN 34.

147.

Por. Mutt 75.

152.

Por. Mutt 214.

179.–180.

Budda (to znaczy ten, kto urzeczywistnił cel zbawczy, Nibbāṇe) nie zostawia w żadnym świecie „śladu”, bo żaden świat już na niego nie wpływa; jego „ścieżka” nie daje się więc wysledzić.

182.

Por. Mutt 84.

183.

Por. Mutt 148.

185.

Dyscyplina (tu: *paṭimokkha*) – zbiór podstawowych reguł i pouczeń etycznych, obowiązujących członków wspólnoty mniszej (*sanghi*).

190.–192.

Budda, Nauka (Dhamma, „Prawo”), Wspólnota (mnisza), to tzw. Trzy Schronienia (i jednocześnie „Trzy Klejnoty”); Cztery Szlachetne Prawdy zaś tworzą fundament buddyjskiej doktryny zbawczej.

197.–200.

Według Kom 357–358 Budda wypowiedział te wersety, doprowadziwszy do zgody między swymi ziomkami, już-już mającymi wszcząć wojnę o wodę (!) z rzeki Rohinī. Por. też Mutt 160.

201.

Zob. Mutt 145

202.

Zob. Mutt 224.

235.–238.

Por. Mutt 157.

240.

W kwestii „wygód nad miarę używanych przez mnicha” (*atidhonaṅgārin*) nie wiemy dokładnie, o co miałyby tu chodzić. Komentarz do birmańskiej edycji *Dhammapady* mówi, że są to „cztery elementy osobistego wyposażenia mnicha” (jak opończa, sitko, igła, brzytwa, miseczka na jałmużnę; por. Kern 80), albo ogólniej – „ubranie, strawa, legowisko, lekarstwo dla chorych” (Oldenberga 335).

268.–269.

Por. Mutt 167.

272.

„Niepowrót” (*anāgāma*) – trzeci stopień w hierarchii świętości; zob.: przypis do strofy 164.

273.

Por. Mutt 4, 106.

276.

Por. Mutt 26, 27.

294.–295.

Obie te strofy, zdumiewające i przerażające w kontekście całej indyjskiej Nauki, przez długi czas były jednym z najtwardszych orzechów do zgryzienia dla komentatorów na Wschodzie i na Zachodzie (zwłaszcza że nadal niejasne

jest ich pochodzenie). Obecnie za najbardziej autorytatywną uważa się interpretację Buddhaghosy (buddyjskiego filozofa i uczonego z V wieku), zgodną z którą obie strofy są rozwiniętą alegorią, w której „matka” to pragnienie, namiętność; „ojciec” to pycha, zadufanie; „dwaj królowie” – oba błędne (bo skrajne) stanowiska filozoficzne (eternalizm i nihilizm); „państwo z poddany-  
mi” – przyjemności zmysłowe itd. (Toporov 152–153).

Ta egzegeza nie wydaje mi się przekonująca; skłaniam się raczej do stanowiska Maxa Müllera, który sugeruje strofy 39 i 412 jako pomoc w dociekaniu tej kwestii (Müller 72).

323.

„Nieprzedeptany Kraj” (*agata disa*) – Nibbāna.

324.

*Dhanapāla* (również: *Dhanapāla*) – słoń usychający z tęsknoty za swoimi bliskimi w dżungli (z historii o starym braminie, opowiedzianej kiedyś mni-  
chom przez Buddę w parku Veluvana).

Słoń jest w świecie buddyjskim symbolem wytrwałości i samoopanowania.

328.–329.

Zob. SuN 44–45.

#### Literatura i skróty (cyfry arabskie po skrócie oznaczają strony)

- |           |   |
|-----------|---|
| Kern      | H. Kern, <i>Manual of Indian Buddhism</i> , Verlag von Karl J. Trübner, Strassburg 1896   |
| Kom       | <i>The Dhammapada. Verses &amp; Stories</i> , Translated by Daw Mya Tin, M.A., Burma Pitaka Association, Rangoon 1986                                     |
| Mejor     | M. Mejor, <i>Buddyzm</i> , KAW, Warszawa 1980   |
| Michalski | [ <i>Dhammapada</i> ] <i>Ścieżka Prawdy</i> , z palijskiego przełożył St. Fr. Michalski, wyd. II, Wydawnictwo K. Rutskiego, Łódź 1948                     |
| Mutt      | I. Kania, <i>Muttāvali. Wypisy z ksiąg starobuddyjskich</i> , wyd. II, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2007 (cyfry po skrócie oznaczają fragment)          |
| Müller    | <i>The Dhammapada...</i> , Translated from Pali by Max Müller, The Sacred Books of the East, Vol. 10, repr. by Motilal Banarsidass Publishers, Delhi 1992 |

- Nyanatiloka *Buddhist Dictionary. Manual of Buddhist Terms and Doctrines*, Fourth Revised Edition, Edited by Nyanaponika, Buddhist Publication Society, Kandy 1988
- Oldenberg H. Oldenberg, *Budda. Życie, nauczanie i wspólnota*, przełożył i wstępem opatrzył I. Kania, wyd. II, Oficyna Literacka, Kraków 1999
- SuN *Suttanipāta. Zbiór sutt z Kanonu Palijskiego*, fragmenty (sutty 1–255), przełożył i opatrzył przypisami I. Kania, w: „Kronos” 1/2015
- Słusz E. Słuszkiewicz, *Opowieści buddyjskie*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 1982
- Toporov *Dhammapada*, pierievod s pali, vviedienije i kommientarii V.N. Toporova, Bibliotheca Buddhica, XXXI, Izdatielstvo Vostočnoj Litieratury, Moskva 1960
- Wykłady I. Kania, Wokół interpretacji kilku pojęć buddyzmu, cz. I i II (I, II, III, IV) w: „Kronos” 1/2008, cz. III i IV w: „Kronos” 2/2008

## Zasady czytania wyrazów palijskich i sanskryckich

Występujące w tekście wyrazy palijskie i sanskryckie podawane są w międzynarodowej transkrypcji naukowej. Oto zasady ich czytania:

kh, gh, th, dh, ph, bh – spółgłoski silnie przydechowe; przydech należy zawsze wymawiać

ṭ, ṭh, ḍ, ḍh, ṇ – t, th, d, dh (spółgłoski szczytowo-podniebienne, artykułowane podobnie jak t, d angielskie)

c, ch – cz, ch (cz bardzo miękkie, bliskie naszemu ć)

j, jh, ṅ – dź, dźh (dź bardzo miękkie, bliskie naszemu dź), ng (tylnojęzykowe, jak w wyrazie bank)

ñ, ś, ṣ –ń, ś, sz

y, w – j, w (po spółgłosce – ł)

r, ṛ – ry (r zgłoskotwórcze, jak w sylabie brrr!, albo w wyrazie krnąbrny);

ḷ – wariant ḍ, zamiennie występujące z l

ā, ī itd. – samogłoski długie

JACEK HAJDUK

## Wang Wei. Poeta gór i rzek

Żyjący w VIII wieku Wang Wei (699–759) to jeden z najwybitniejszych poetów, kaligrafów i malarzy w dziejach Chin; znany jest jako Poeta-Budda albo Wielki Mistrz chińskiego czterowiersza. Podobnie jak współcześni mu dwaj inni doskonali przedstawiciele ówczesnej poezji, konfucjanista Du Fu i taoista Li Bai, był świadkiem dewastującej Chiny czasów dynastii Tang wojny domowej, znanej jako powstanie An Lushan. Wysoko urodzony i dobrze wykształcony, wiele lat spędził w służbie cesarskiej; w tym czasie tworzył poezję dworską. Kiedy rebelianci wtargnęli do stolicy, Wang Wei trafił do niewoli. Gdy siły cesarza odbiły Chang'an (obecnie Xi'an), ponownie został pojmany – tym razem podejrzewano go o kolaborację z siłami antycesarskimi; został uwolniony dzięki wstawiennictwu swego brata. Wycofawszy się z życia publicznego, osiadł w Lantian w górach Zhongnan, gdzie powstało wiele z jego najpiękniejszych wierszy, i gdzie przeżywszy lat sześćdziesiąt, zmarł i został pochowany.

Dwa gatunki, w których Wang Wei osiągnął szczególne mistrzostwo, to cztero- i ósmiowersz regularny, co oznacza dla tetrastychu użycie zawsze tylko dwudziestu słów (co zachowuję w tłumaczeniu), a dla oktostychu słów czterdziestu. Z form naszej kulturze przyswojonych najbliższ jest wierszom Wang Weia do japońskich haiku, które są jednak znacznie późniejsze. Jest to poezja programowo buddyjska. Treścią jej jest często krajobraz, jednak nie jako tło czy zwierciadło duszy, jak w poezji Zachodu. Poeta (podmiot) i pejzaż (przedmiot) stanowią tu jedność, a wszystko w tych wierszach – które raczej ogląda się jak obrazy, niż czyta – zachodzi poza czasem. Przystawanie polszczyźnie poezji Wang Weia jest sporym wyzwaniem: język chiński nie posługuje się kategoriami gramatycznymi, które właściwe są językom indoeuropejskim, toteż możliwości percepcyjne, szczególnie przy niewyobrażalnej wręcz lakoniczności mowy tego poety, są tu niemal nieograniczone. Nie chodzi jednak o wysoki poziom skomplikowania tej poezji (jest raczej prosta i dosłowna), lecz o jej wymiar uniwersalny, o możliwość – bez wychodzenia poza tę garstkę słów, jakimi operuje poeta – stale pełniejszego jej poznawania; wiersze te (myślę szczególnie o wyrefinowanych kwartynach), choć nie wydają się takimi na pierwszy rzut oka, są głęboko filozoficzne i mają swój wyraźny cel:

oddać językiem poezji istotę buddyjskiego „natychmiastowego oświecenia”. Stąd częste w tych obrazach takie sceny, jak błysk słońca czy łyśnięcie księżycy. Wieloznaczność słów, zredukowana do minimum gramatyka czy ważność znaku graficznego, słowem: odmienna zupełnie od intuicyjnej dla nas logika języka – wszystko to sprawia, że przekład tradycyjnej poezji chińskiej na polski (czy jakkolwiek inny język zachodni) zawsze pozostawi niedosyt: jak wiele musi w tłumaczeniu zagać!

## WANG WEI

przełożył z języka chińskiego Jacek Hajduk

### Dom w bambusowym lesie

siedzę głęboko w bambusowym lesie  
gram na *qin* gwizdzę sobie

sam z dala od ludzi  
światło zjawia się jasny księżyc

### Kwietna kotlina

na końcach gałązek bawełniane pąki  
na tle gór rozkwitają róże

w wiosce nad potokiem cisza  
kwiaty otwierają się i opadają

### Ptaki nad potokiem, wiosną

stoję nieruchomo kwiat osmantusa opada  
cicho nocą wiosenną opustoszała góra

pojawia się księżyc płoszy ptaki  
jeszcze chwilę krążą nad potokiem

## Odpowiadając prefektowi Zhang

W moim wieku pragnie się tylko spokoju.  
O tamte dziesiątki tysięcy spraw nie zabiegam.

Nie robię już nawet żadnych planów na przyszłość.  
Wiem tylko tyle, że wracam do starego lasu.

Wiatr między sosnami, mój szal trzepocze.  
Księżyc ponad górami. Gram na *qin*.

I ty mnie pytasz o sens takiego życia?  
Słuchaj: to śpiew rybaka płynie w głąb łądu.

## Odwiedzając świątynię Xiangji

Nie znałem dobrze drogi do świątyni Xiangji.  
Sporo *li* do przejścia, szczyty w chmurach.

Żadnej wydeptanej ścieżki w tym sędziwym borze.  
Gdzieś tu, w górskiej głuszy, bije dzwon.

Szemrzący strumyk obmywa płaskie kamienie.  
W sosnowym lesie czuć już wieczorny chłód.

Zmienia się kolor nieba: zmierzch nad wodą.  
Medytuję w ciszy, ujarzmiam smoka-truciciela.



## Wysłany na pogranicze

Jadę sam, wysłany z misją na pogranicze.  
Poza Mur, przez kraj wasalny Juyan.

Dmuchawce z wiatrem opuszczają państwo Han.  
Dzikie gęsi zdobywają niebo barbarzyńców.

Wielka pustynia, nad nią samotny słup dymu.  
Długa rzeka i okrągłe zachodzące słońce.

W okolicy Przełęczy Xiao spotykam nasz patrol.  
Dowiaduję się, że dowódca zajął Góry Yanran.

## Życie w górach, o zmierzchu

Opustoszała góra. Zaraz po ustaniu deszczu.  
Przestwór nieba, jesień, późna pora.

Światło jasnego księżyca pomiędzy sosnami.  
Wyślizgane kamienie w górnym biegu rzeki.

Głosy w bambusowym lesie: wracające praczki.  
Drganie lotosów: łodzie płynące z prądem.

Wiosny pachnące kwieciami przychodzą i odchodzą.  
Ktoś szukający spokoju zostanie na dłużej.



[www.kwartalnik.art.pl](http://www.kwartalnik.art.pl)

ANTONI LIBERA

## *Fuga śmierci Paula Celana*

*Fuga śmierci*, napisana w 1945, a opublikowana po raz pierwszy w 1948 roku, to nie tylko najśłynniejszy wiersz Paula Celana (1920–1970), ale i jeden z najbardziej znanych i wstrząsających utworów poetyckich dotyczących Zagłady. Odwołuje się on do makabrycznych praktyk stosowanych przez niemieckie dowództwo w obozach koncentracyjnych (między innymi w Auschwitzu), a polegających na tworzeniu z więźniów orkiestry, która miała „przygrywać do śmierci”, na przykład podczas kopania dołów przez jednych skazańców dla drugich albo i dla nich samych. Przeżycia poety z okresu drugiej wojny światowej okazały się na tyle traumatyczne, że mimo względnej pomysłowości, jaka stała się jego udziałem po wojnie, i mimo znacznego uznania w świecie literackim, popełnił on samobójstwo w 1970 roku, w wieku zaledwie pięćdziesięciu lat.

*Fuga śmierci* została przetłumaczona na kilkadziesiąt języków, a w Polsce doczekała się bodaj kilkunastu przekładów. Najważniejsze z nich wyszły spod pióra takich autorów, jak: Stanisław Wygodzki, Stanisław Jerzy Lec, Alfred Kowalkowski, Feliks Przybylak i Piotr Lachman. Za najlepszy uchodzi przekład Leca – autora znakomitych *Myśli nieuczesanych* i człowieka władającego niemieckim na równi z polskim. W każdym razie Ryszard Krynicki w autorskim wyborze poezji Celana z 2013 roku (Wydawnictwo a5) dla tego jednego wiersza uczynił wyjątek, podając go właśnie w wersji Leca, a nie własnej.

*Fuga śmierci*, odkąd ją tylko poznałem – właśnie w przekładzie Leca, w pamiętnym austriackim numerze „*Twórczości*” z sierpnia 1965 roku – była dla mnie wyzwaniem i problemem. Wyzwaniem dlatego, że w takiej właśnie orkiestrze, jaką przywołuje Celan, grał w Auschwitz mój stryj, po którym dziedzicę imię. (Został on zastrzelony w 1943 roku po odegraniu jakiegoś kawałka Schumanna, zapewne pierwszej części *Koncertu skrzypcowego d-moll*. Wyobrażenie tej sytuacji kojarzyło mi się później ze sceną z *Pianisty*, w której Szpilman gra *Balladę g-moll* przed oficerem Wehrmachtu, myśląc, że gra ją po raz ostatni i zginie zaraz po wybrzmieniu ostatniego akordu). Problemem zaś

wiersz ten był dla mnie dlatego, że choć budził ogromne wrażenie i działał na wyobraźnię, nie przemawiał jednak do mnie estetycznie. Raził pewną chropowatością, a nade wszystko niejasnością. Nie rozumiałem niektórych zbittek słownych i sensu kilku fraz. Nie słyszałem też założonej ewidentnie przez autora muzycznej formy – owej tytułowej fugi, która polega, jak wiadomo, na przeplataniu się tematów, na ich nawrotach i przetworzeniach. Nie wiedziałem jednak, w jakim stopniu cechy te są pierwotne, czyli właściwe oryginałowi, a w jakim wtórne, czyli wynikające z przekładu. Lektura kolejnych polskich tłumaczeń skłaniała do przekonania, że są to raczej cechy prymarne, ponieważ mimo rozmaitych rozwiązań leksykalnych i składniowych zastosowanych w przekładach wiersz ten wyglądał i brzmiał podobnie, i w dalszym ciągu pozostawał niejasny.

Przekonaniem tym zachwiało dopiero nagranie tego utworu w wykonaniu samego autora, utrwalone w latach pięćdziesiątych, a udostępnione szerokiej publiczności całkiem niedawno – w Internecie. Wysłuchałem tej recytacji z podziwem, lecz i ze zdumieniem (tak bardzo różniła się od tego, co pamiętałem z tłumaczeń), po czym świadomie nie zaglądając do wydrukowanego tekstu – ani w przekładzie, ani w oryginale – zacząłem niejako w trybie dyktanda spisywać go ze słuchu, idąc za intonacją i frazowaniem autora. To, co mi wyszło w wyniku tego eksperymentu, dość znacznie różniło się pod względem wersyfikacji od oryginalnego zapisu. Ale było nareszcie w miarę jasne.

Dzięki wielokrotnemu przesłuchaniu autorskiej recytacji zrozumiałem w końcu kluczowe w tym wierszu sąsiedztwo zdania „pisze” i frazy „twoje złociste włosy, Małgorzato”. Do tej pory rozumiałem je jako zawołaną sugestię, że oficer terroryzujący więźniów pisuje „o zmierzchu” listy do swojej ukochanej w Niemczech – kobiety o wymownym imieniu, które kojarzy się z *Faustem* Goethego; a padające dalej słowa – jako strzęp cytatu z takiego listu: apostrofy kierowanej do adresatki, na przykład „[całuję] twoje złote włosy, Małgorzato”. Inaczej mówiąc, że między „pisze” a „twoje złote włosy” znajduje się domyślny dwukropek.

Takie rozumienie było jednak i połowiczne, i mylne. Przede wszystkim nie tłumaczyło sensu innej występującej w tym samym kontekście apostrofy, skierowanej z kolei do głównej bohaterki *Pieśni nad pieśniami*, Sulamitki, która ma

w dodatku włosy koloru popiołu, a nie, jak w biblijnym oryginale, czarne (dosłownie: „jak stado [czarnych] kóz schodzących z góry Galaad” – Pnp 4, 1; 6, 5). Cóż bowiem miałyby znaczyć, że niemiecki oficer tak jak pisze miłosne listy do złotowłosej Małgorzaty, tak też pisze je do starotestamentowej Sulamitki? I dlaczego robi to akurat „o zmierzchu”?

Oczywiście można to było jakoś wytłumaczyć. Na przykład tak, że chodzi tu o wydobycie kontrastu między skrajnym okrucieństwem zadawanym za dnia masie „podludzi” a czułością okazywaną wieczorem wybranej jednostce z rasy „nadludzi” lub wyidealizowanej postaci biblijnej – kontrastu jakże znanego z dziesiątków zdarzeń, które ukazywały niepojęty i przerażający rozdział między niebywałą agresją i zbrodnią a jakimś wysublimowanym uczuciem lub gestem (osławione sceny, gdy po zastrzeleniu kogoś z zimną krwią, w tym dzieci, morderca siadał do fortepianu, aby się odprężyć, i grał na przykład *Marzenie* Schumanna lub inną z jego *Scen dziecięcych*).

Jednakże sposób wiązania owych dwóch apostrof z czasownikiem „pisać” sugeruje jakieś inne znaczenie tej frazy. Na trop jego odkrycia prowadzi podobieństwo form, w jakich podmiot liryczny mówi o przewodnich czynnościach ofiar i oprawcy. Otóż jeśli więźniowie głównie „piją i piją” (czarne mleko poranka), to ich kat o niebieskich oczach systematycznie „pisze i pisze” (włosy Małgorzaty i Sulamitki).

Obie te czynności występują ewidentnie w funkcji przenośni. Picie na umór, o każdej porze dnia i nocy, „czarnego mleka poranka” to bezspornie metafora walki o przetrwanie lub kurczowego trzymania się życia, mimo że jest ono koszmarem. Natomiast systematyczne pisanie „włosów Małgorzaty i Sulamitki”... No właśnie, co miałyby oznaczać? Jak rozumieć ten nieoczywisty związek frazeologiczny? Wiadomo, co znaczy pisać list albo sprawozdanie, wiersz albo wspomnienie. Cóż znaczy jednak pisać jakąś rzecz, w danym wypadku – czyjeś włosy?

„Pisać” to przede wszystkim utrzymywać myśli w formie graficznej, przelewać słowa na papier, notować. Ale to także – na innym, bardziej abstrakcyjnym poziomie mowy – t w o r z y ć (na przykład dzieło) albo s t a n o w i ć (na przykład prawo lub historię). Czyż nie mówi się, że Historię p i s z ą zwycięzcy? I czyż Hölderlin, jeden z największych niemieckich poetów, nie napisał w konkluzji

swego słynnego *Wspomnienia*: „co się ostaje, ustanawiają poeci”? A ustanawiają to właśnie za pomocą słów – nazywając rzeczy po imieniu, powołując je do życia w akcie kreacji, który ma postać pisania.

Żeby dociec ostatecznie sensu tego osobliwego, rzucającego się w oczy zwrotu, trzeba jeszcze zwrócić uwagę na przydawkę określającą włosy Sulamitki. Jeżeli włosy Małgorzaty są po prostu *goldenes* (złote), to włosy Sulamitki – *aschenes*. Otóż epitet ten nie jest zwykłą nazwą koloru wywodzącą się od rzeczownika „popiół”, czyli koloru popielatego. Taką nazwą po niemiecku jest wyraz *aschgrau*. Natomiast *aschenes* to raczej „popielne”, „popiołowe”, „spopielate” albo i nawet „spopielone”. Ale Sulamitka z *Pieśni nad pieśniami* ma przecież włosy ciemne („jak stado [czarnych] kóz”), o czym już wspomniałem. Cóż więc znaczy, że niemiecki oficer nadzorujący obóz zagłady pisze „spopielate/spopielone” włosy Sulamitki?

Ostatnim krokiem prowadzącym do rozwikłania tej zagadki jest właściwe zrozumienie czasu, kiedy to niemiecki komendant oddaje się owemu osobliwemu zajęciu, czyli uzmysłowienie sobie, o jaki „zierzch” czy „zmrok” tutaj chodzi. Dotychczas wydawało się, że chodzi po prostu o porę dnia. Inaczej mówiąc, że komendant zajmuje się pisaniem wieczorami, w domyśle: po służbie. W każdym razie tak oddają to dotychczasowe tłumaczenia („pisze o zmierzchu do Niemiec”). Gdy jednak głębiej wniknąć w tę frazę, okaże się, że znaczy ona co innego. Nie „o zmierzchu do Niemiec”, lecz „kiedy zmierzch zapada nad Niemcami” albo „gdy Niemcy pogrążają się w mroku”. W świetle takiego rozumienia wszystko wreszcie staje się jasne: niemiecki komendant „pisze spopielone włosy Sulamitki”, czyli takimi je właśnie ustanawia (a więc po prostu spopielą), gdy jego ojczyzna – cywilizacja niemiecka – pogrąży się w mroku, gdy zapada nad nią dziejowa noc.

Pisząc „złote włosy Małgorzaty”, będącej jednym z czołowych symboli niemieckiej kultury, wynosi ją nad inne, działa na rzecz Tysiącletniej Rzeszy i przykłada się w swoim mniemaniu do jej ostatecznego zwycięstwa nad resztą świata. Pisząc zaś „spopielone włosy Sulamitki”, będącej z kolei emblematyczną postacią Starego Testamentu, podstawy europejskiej cywilizacji, przekreśla ją i niszczy, obraca wniwecz, aby na jej popiołach wznieść złoty pomnik pangermanizmu.

W świetle takiego rozumienia podstawowej i przewodniej zarazem frazy staje się jasna wymowa całego utworu. Przedstawiona sytuacja: orkiestra więźniów przygrywająca innej grupie więźniów, którzy kopią grób dla samych siebie lub dla jednych i drugich, wraz z zarysowanym tłem tej sceny, jakim jest obraz niemieckiego oficera-marzyciela, który „igra z węzami” (w domyśle: diabłami) i „pisze” (czyli ustanawia w szaleńczym akcie twórczym) tryumf „złotych włosów Małgorzaty” nad „spopielonymi włosami Sulamitki”, to parabola bezprzykładnej próby zburzenia wielowiekowego porządku świata – próby uchwyconej *in statu nascendi* w całym jej naturalistycznym wymiarze. Oto potomkowie i członkowie Starego Zakonu pod komendą przedstawiciela nowej rasy nadludzi i panów sami odprawiają własny pogrzeb, kopiąc sobie grób i przygrywając do tego „ostatecznego rozwiązania” – naturalnie w takt muzyki niemieckiej, która w temacie śmierci osiągnęła mistrzostwo.

„Śmierć” po polsku to „ona”, nie „on” – jak w niemczyźnie, gdzie jest rodzaju męskiego (i to nie tylko w języku, ale i w całej ikonografii). Dlatego też, zgodnie z tą klasyfikacją gramatyczną, po polsku powinna stać się „mistrzynią”, a nie pozostać „mistrzem”, jak słowo *Meister* oddają inni tłumacze. Ale „mistrzynie” kojarzy się po polsku bardziej ze sportem niż z taką lub inną sztuką, a szczególnie muzyką. Dlatego też po długich rozterkach i wahaniach, jak oddać ową drugą kluczową frazę wiersza (dosłownie: „śmierć jest mistrzem z Niemiec”), wybrałem kompromis w postaci słowa *maestro*, które wywodzi się z tego samego źródła co niemiecki *Meister*, a zarazem mniej razi jako wyraz rodzaju męskiego; ma wreszcie konotację muzyczną. *Maestro* to dyrygent, ktoś, kto kieruje, panuje; to pan albo wódz orkiestry. Jeśli przyjąć, że każdy naród czy też jego kultura ma swojego *maestra*, to *maestrem* z Niemiec jest (pan/pani) Śmierć.

Na koniec pozostaje jeszcze rozważyć pewną kwestię teoretyczną, a mianowicie, co jest podstawą istnienia wiersza – wszelkiego zresztą utworu literackiego? Jego niemy, „statyczny” zapis czy „dynamiczna”, przebiegająca w czasie aktualizacja brzmieniowa?

W starożytności, gdy technika utrwalania słów była wyjątkowo żmudna i niepewna, panowało przekonanie, że dzieło istnieje głównie jako przekaz mówiony. Dlatego też wynajdywano rozmaite sposoby na jego zapamiętywanie,

z których naczelnym była ułatwiająca ten proces metryka (regularny rytm). Z czasem, a zwłaszcza od chwili wynalezienia druku, sprawa przestała być oczywista. Niemniej panuje raczej zgodność, że skoro ludzki język jest pierwotnie systemem dźwięków, a dopiero później systemem znaków, a utwór poetycki jest dziełem mowy, to podstawową formą jego istnienia – podobnie jak w muzyce – jest jego akustyczna realizacja: wypowiedzenie wymagające określonego czasu.

Poezja nowoczesna w znacznym stopniu odeszła od regularnych form rytmicznych, a w zakresie zapisu – od tradycyjnej interpunkcji. Ewolucja ta ma różnorodne przyczyny i aspekty i wiele by o niej mówić. W każdym razie doprowadziła do znacznego poszerzenia możliwości interpretacyjnych. Tekst w tej konwencji zapisu staje się nieraz nadmiernie wieloznaczny, a nawet traci przejrzystość na podstawowym poziomie komunikacji. Owo rozprężenie form wersyfikacyjnych okazało się w końcu pułapką dla samych autorów. Z biegiem czasu zorientowali się oni, że ich utwory coraz częściej odczytywane są niezgodnie z ich intencjami, a nieraz wręcz im na przekór; całkowicie opacznie. Stało się jasne, że „awangardowy” zapis, oparty w znacznej mierze na wewnętrznym słuchu autora i jemu tylko wiadomych (albo i niewiadomych, bo nie w pełni uświadomionych) motywach i intuicji prowadzi do konfuzji. Zamiast pomagać w uchwyceniu przewodniej myśli, utrudnia je; zamiast wydobywać założone przesłanie i formę, rozmywa je lub zaciemnia.

Nieostrość ta na ogół potęguje się w wyniku translacji. Bo co w oryginale miewia czasami jakieś głębinowe (nieraz ledwo uchwytnie) uzasadnienie, w innym języku już nie zawsze, przez co staje się martwe, a w każdym razie niefunkcjonalne. Inaczej mówiąc, w wypadku nowoczesnych wierszy wolnych i pozbawionych tradycyjnej interpunkcji oryginalna wersyfikacja nie jest już rzeczą bezwzględną jak wypadku form regularnych (na przykład sonetu, ody, strofy alcejskiej), a przez to dla tłumacza stanowi problem i zadanie analogiczne jak sam materiał werbalny. „Kapryśną” wersyfikację nowoczesnej poezji trzeba czasem modyfikować, dostosowując do wymogów składniowych i prozodycznych języka, na który się przekłada. Kurczowe trzymanie się oryginalnego schematu – kalkowanie struktury wraz z dokładnym łamaniem wersów – odnosi nieraz odwrotny skutek do zamierzonego: wcale nie służy wierności, przeciwnie, oddala od niej.



Przekład *Fugi śmierci*, który przedstawiam, powstał w wyniku opisanych tu doświadczeń, analiz i przemyśleń. Z jednej strony mam głębokie przekonanie, że tekst w tej formie zapisu jest bez porównania bardziej czytelny, a także oddaje założoną przez autora muzyczność (jakby „zdyszany” rytm fugi), z drugiej jednak nie opuszczają mnie wątpliwości, czy w swej lekcji nie posunąłem się za daleko. Uspokajam się wprawdzie, że na podstawie głośnej lektury nikt nie zorientowałby się, że wersyfikacja w ogóle została zmieniona, niemniej – czy taki zabieg jest dozwolony?

Dla porównania przytaczam równoległe przekład Leca.

PAUL CELAN  
Fuga śmierci

przełożył Stanisław Jerzy Lec

Czarne mleko poranku pijemy je wieczór

Pijemy je w południe o świcie pijemy je nocą

Pijemy pijemy

Grób kopiemy w powietrzu tam się nie leży ciasno

Człowiek mieszka w tym domu który się bawi z węzami ten pisze

Pisze gdy zmierzcha do Niemiec złoto twoich włosów Małgorzato

Tak pisze wychodzi przed dom i gwiazdy migocą przyzywa gwizdem swe psy

Gwizdem wywleka swych Żydów każe im kopać grób w ziemi

Nam rozkazuje teraz zagrajcie do tańca

Czarne mleko poranku pijemy cię nocą

Pijemy o świcie w południe pijemy cię wieczór

Pijemy pijemy

Człowiek mieszka w tym domu który się bawi z węzami ten pisze

Pisze gdy zmierzcha do Niemiec złoto twoich włosów Małgorzato

Popiół twoich włosów Sulamit kopiemy w powietrzu grób tam się nie leży  
ciasno

PAUL CELAN

## Fuga śmierci

przełożył Antoni Libera

Czarne mleko poranka  
pijemy je wieczorem i w południe i rano  
i pijemy je nocą  
pijemy i pijemy  
kopiąc w powietrzu grób  
gdzie nie będzie już ciasno  
a w tamtym domu mieszka  
ten co igra z węzami  
i pisze gdy nad Niemcami  
zapada zmrok i pisze  
twoje złociste włosy, złociste, Małgorzato  
i wychodzi przed dom  
nad którym błyszczą gwiazdy  
i gwizdże na swoje psy  
i gwizdem przyzywa Żydów  
i każe im kopać grób w ziemi  
a nam przygrywać do tańca

Czarne mleko poranka  
pijemy cię nocami i rano i w południe  
i pijemy wieczorem  
pijemy i pijemy  
a w tamtym domu mieszka  
ten co igra z węzami  
i pisze gdy nad Niemcami  
zapada zmrok i pisze  
twoje złociste włosy, złociste, Małgorzato  
i twoje spopielone, i twoje, Sulamitko  
a my kopiemy grób  
kopiemy go w powietrzu  
gdzie nie będzie już ciasno

Krzyczy głębiej wrzynajcie się w glebę wy tutaj a wy tam śpiewajcie i grajcie

Chwyta za broń u pasa i wymachuje oczy jego niebieskie

Głębiej wryjcie łopaty wy tutaj a wy tam dalej grajcie do tańca

Czarne mleko poranku pijemy cię nocą

Pijemy w południe o świcie pijemy cię wieczór

Pijemy pijemy

Człowiek mieszka w tym domu złoto twoich włosów Małgorzato

Popiół twoich włosów Sulamit ten człowiek się bawi z węzami

Krzyczy słodziej zagrajcie śmierć ta śmierć jest mistrzem z Niemiec

Krzyczy ciemniej ciągnijcie po skrzypkach a z dymem wzleciecie w powietrze

Grób wtedy macie w chmurach tam się nie leży ciasno

Czarne mleko poranku pijemy cię nocą

Pijemy w południe śmierć jest mistrzem z Niemiec

Pijemy cię wieczór o świcie pijemy pijemy

Śmierć jest mistrzem z Niemiec niebieskie ma oko

Trafi cię kulą z ołowiu trafi celnie głęboko

Człowiek mieszka w tym domu złoto twoich włosów Małgorzato

Kopać głębiej – to do nich  
a do nas – grać i śpiewać  
wyciąga z kabury pistolet i wymachuje nim  
a oczy ma niebieskie  
głębiej wbijać łopaty  
a wy tu – grać i śpiewać  
i przygrywać do tańca

Czarne mleko poranka  
pijemy cię nocami i w południe i rano  
i pijemy wieczorem  
pijemy i pijemy  
a w tamtym domu mieszka –  
twoje złociste włosy, złociste, Małgorzato  
i twoje spopielałe, i twoje, Sulamitko –  
ten co igra z węzami

Z większym uczuciem grać śmierć  
z większą słodyczą – krzyczy  
śmierć to maestro z Niemiec  
głębszym tonem, ciemniejszym  
abyście mogli pójść z dymem  
i znaleźli grób w chmurach  
gdzie nie będzie już ciasno

Czarne mleko poranka  
pijemy cię nocami i w południe a śmierć  
śmierć to maestro z Niemiec  
i pijemy cię rano i pijemy wieczorem  
pijemy i pijemy  
śmierć to maestro z Niemiec  
ma oko  
bladoniebieskie  
trafi cię kulą z ołowiu  
trafi cię niezawodnie  
a mieszka w tamtym domu –  
twoje złociste włosy, złociste, Małgorzato –

Psy swoje na nas poszczuje grobem obdarzy w powietrzu  
Z wężami się bawi i marzy śmierć jest mistrzem z Niemiec

Złoto twoich włosów Małgorzato

Popiół twoich włosów Sulamit

i poszczuje nas psami i da nam grób w powietrzu  
ten co igra z węzami pogrążony w marzeniach  
śmierć to maestro z Niemiec

twoje złociste włosy, złociste, Małgorzato  
i twoje spopielone, i twoje, Sulamitko

Marek Kędzierski





## MAREK KĘDZIERSKI

### Józef Kordian

Józef Kordian zjawił się w moim życiu, w naszym życiu, tak, rodzinnym, w chwili, kiedy pewnej niedzieli spostrzegłem go na zielonym linoleum kuchni. Stał z kuferkiem w jednej ręce i z płaszczem, tak zwanym prochowcem, przewieszonym przez drugą. Zjawił się na Jaracza w moim, w naszym, życiu zupełnie niezapowiedzianie, przedtem pewnie go widywałem, na tak zwanych uroczystościach rodzinnych, tych akurat nie brakowało, musiałem słyszeć, jak od czasu do czasu, jak to się mówi, o nim się mówiło, już nie pamiętam, w jakich okolicznościach, a więc Józef nie spadł na zielone linoleum z modrego nieba. Żuk, mówił o nim ojciec, Żuczek, zdrobniła imię Józefa Apolonia, babcia z Łodzi. Słyszałem to imię wiele razy, ale dopiero w momencie owego wejścia z kuferkiem i prochowcem Józef dla mnie w jednej chwili się zmaterializował. Takie było jego wejście na scenę. Od tego czasu pojawiał się na niej i z niej znikał kilkanaście razy, w mojej biografii, co samo w sobie, zważywszy, że był bliskim krewnym, nie znaczy, że odegrał w niej zasadniczą rolę, ale i w żadnym wypadku nie sprowadza jego roli do niewiele znaczącej. Przeciwnie. Być może istniał jakiś prolog, który uległ wymazaniu, ale ta scena na zielonym linoleum z kuferkiem i prochowcem to właściwa ekspozycja. Ojciec siedzi przy kuchennym stole, mama stoi obok niego, rodzeństwo bawi się w innej części mieszkania, a Józef – protagonista – we wspomnianej pozie zajmuje miejsce między lodówką a kuchennymi drzwiami. Do mieszkania wszedł na pewno drzwiami frontowymi. Drzwi kuchenne służyły wyłącznie do wynoszenia śmieci. Ta klatka schodowa była bez windy. Tylko ja od czasu do czasu tymi drzwiami się wymykałem. Lubiłem wymykać się z mieszkania tylnymi drzwiami, ale nikt inny do niego przez nie nie wchodził, a wychodził tylko ze śmieciami. I wracał przez nie bez nich. Wchodzenie przez drzwi frontowe niemal automatycznie oznaczało korzystanie z windy. A Józef kulał, jak mówili krewni, utykał na nogę, więc choćby z tego względu wygodniej było mu dotrzeć na trzecie piętro, korzystając z windy. Nie wiem, czy była to jego pierwsza wizyta na Jaracza, jeśli pierwsza, to na pewno na trzecie piętro wjechał windą, jeśli nie pierwsza, tylko jedna z pierwszych, co podejrzewam, to i tak pewnie nie wiedziałby o istnieniu kuchennych drzwi. Przy których stał, z kuferkiem i przewieszonym przez przedramię

płaszczem typu Macintosh, a więc raczej trenczem niż prochowcem, w pierwszym zapamiętanym przeze mnie momencie, Józef. Wujek Żuczek, jak nazywała go babcia Apolonia. Żuk, jak nazywał go mój ojciec. Żuk, proszę rozgość się, nie bez oporu wydusił z siebie w pewnym momencie tenże ojciec. Proszę usiądź, Żuczek. Dlaczego żuk, żuczek, co to za imię? Dlaczego Józef miałby być żuczkiem? Co ma *józ* z *żu* wspólnego, irytowało mnie po cichu, do tego stopnia, że chciałem zapytać o to w tym momencie, siedziałem jednak cicho. Dostałem już za takie rzeczy po łapach. Nie będę się teraz narażał. [...] Od tego wejścia z kuferkiem i trenczem Józef stał się częścią naszej rodzinnej rzeczywistości, uczestnikiem ogniska domowego. I mojej i naszej biografii. Jeden duży pokój zajmowali rodzice, drugi mój starszy brat ze mną, trzeci, dawną służbówkę, siostra. Wujowi przyszło więc spać na tak zwanym, głównie przez ojca, łóżku polowym. Nocował w części mieszkania, w której wszyscy się stołowali. Nocować i stołować to były dla mnie niezbyt pasujące do siebie słowa. Józef nocował w kuchni na tak zwanej polówce z powodu braku, w naszym mieszkaniu, pokoju stołowego, zarekwirowanego dawno temu przez narzuconych przez tak zwany kwaterunek dozgonnych lokatorów. W kuchni, do której wciąż ktoś po coś przychodził i po której jakże często każdy chodził, wliczywszy w to ojca, któremu zdarzało się wchodzić do kuchni we wczesnych godzinach rannych, choćby po to, by sięgnąć w niej do lodówki po coś do jedzenia. Ojciec, generalnie, lubił się posilać. Kuchnia była wprawdzie wystarczająco duża, by w jednej połowie rozłożyć łóżko polowe, ale w tej podwójnej roli okazała się niewygodna, tak do spania, jak gotowania. Codziennie rano wydawało mi się, że wszyscy po kolei muszą Józefa wyrywać ze snu, budzić ustawicznie, a zdarzało się to i w nocy, kiedy ktoś, na przykład ojciec, przychodził do kuchni, aby zajrzeć do lodówki. W części szafy zajmowanej przez mamę Józef rozwiesił swoje ubrania, garderobę, również dla mnie fascynującą jak garsonki mamy, z innego świata niż garnitury ojca, banalne i bez fantazji. Ojciec był wówczas nieco tęższy od Józefa, ale, racjonalny aż do bólu, jakiś czas później przyjąwszy argument, że zdrowiej być szczupłym, wyszczuplał jakby na zawołanie. Natomiast Józef, kiedy go widziałem ostatni raz przed śmiercią, czyli na początku lat dziewięćdziesiątych, zdecydowanie przybrał na wadze, ale niezdrowo, niezdrowo. Zazwyczaj pierwsza do kuchni wchodziła, a potem korzystała, jak to się u nas mówiło, z łazienki mama, która najwcześniej wychodziła do pracy, choć nie miała takiego obowiązku. Ojciec na ogół wychodził godzinę później. Dopiero wtedy wkraczał do łazienki Józef – ale za to na dłuższy czas. Wyż demograficzny sprawił, że dobrych kilka dni w miesiącu my, brat i ja, mieliśmy szkołę po południu, chodziliśmy, że

tak powiem, na drugą zmianę. Józef, wychodząc do pracy, po godzinie ablucji, odziany w garnitur, przypominał mi znanych z książek i filmów brytyjskich dżentelmenów. Pozostawiał za sobą, długi czas po wyjściu, zapach wody kolońskiej. Tego akurat nie lubiłem. [...] Potem wszystko się nagle skończyło. Józef, nie uprzedzając nas, a zwłaszcza mnie, wyszedł z domu, zamknął ten etap. Wcześniej jednak otworzył mi oczy na problematykę ubioru. Może nie obudził zainteresowania, niemniej wyczulił mnie na kwestie odzieży. Pokaż mi swój garnitur, a powiem ci, kim jesteś. Dobrze skrojona marynarka, nieraz podkreślał, jest jak dobrze napisane zdanie. Albo odpowiednio dobrane słowo. Choćby marynarka. Z daleka widać, z jakiego materiału – wełna, bawełna, popelina, len – z jednej strony, gładka czy w prążki, czy w kratę, na przykład szkocką, czy pepitę, włoską – z drugiej. Z daleka widać też fason. To znaczy, czy jest wcięta w pasie, czy puszczone. Najpierw wybierasz, czy jedno-, czy dwurzędowy, potem sprawdzasz, na ile guzików, od jednego do czterech, a jeśli dwurzędowy, to guziki mogą iść w linii prostej albo na tak zwane *fau*, następnie na przykład dobierasz sobie klapy, otwarte, zamknięte, szalowe, stojkowe, a do tego jeszcze wąskie lub szerokie, dalej kieszenie, naszywane, schowane, z patkami, lub bez, a jeśli z, to poziomymi lub na skos, a gdy to już skomponujesz, tył też jest ważny, z tyłu możesz mieć jedną szlicę pośrodku bądź dwie po bokach – ja osobiście wolę dwie, plecy luźne albo dopasowane, podobnie jak przód. Z przodu trzeba też pomyśleć o brustaszy, do której, jak chcesz, możesz włożyć poszetkę. Ale, uwaga, żadnego kwiatka, do kwiatków mamy butonierkę, a jej nie należy mylić z brustaszą. Tak jak rzeczowniki, przymiotniki, czasowniki, i tak dalej, marynarka coś o tobie mówi, jest jak wypowiedź, tworząc zdanie, wybierasz sobie coś z każdego asortymentu, tu rzeczownik, tu czasownik, tu przysłówek i przymiotnik, muszą do siebie w miarę pasować, a do tego jeszcze składać się na coś zrozumiałego, coś o czymś lub kimś, kto coś robi z kimś lub czymś, po to, by coś osiągnąć lub kogoś trafić. Do czegoś lub kogoś dotrzeć. Tak, masz rację, te części mowy umieszczasz w zdaniu tak, aby było nie tylko zrozumiałe, ale i piękne, w tym celu masz jakby otwarte miejsca, pozycje, na których umieszczasz słowa, podmiot, orzeczenie, dopełnienie, okolicznik i tak dalej. A teraz, jeżeli twoja marynarka to jakby jedno zdanie, kontynuował Józef, jeżeli dodasz do niej spodnie, nakrycie głowy, szalik, rękawiczki, buty, no i oczywiście to, co pod marynarką, pod spodniami, elementy tak zwane niewymowne, bo chociaż o nich się nie mówi, są elementami pierwszego kontaktu, ze skórą, dzięki nim spodnie czy koszula mogą być w pełni tym, czym są – lub, powiedzmy sobie szczerze: bywają. Jeżeli do marynarki dodasz także płaszcz, palto, futro i to

wszystko zsumujesz – to będziesz miał cały tekst. Każda część coś nam mówi. Ubranie nie tylko chroni nas przed zimnem. [...] Przez kilka miesięcy Józef był naszym „domownikiem”, zdążyłem przyzwycząć się do jego obecności, brat też z nią się pogodził. Siostra, trudno powiedzieć. Już wtedy zamykała się w swojej tak zwanej dawnej służbówce. Przyzwycząłem się nie tyle do jego, Józefa, obecności, ile jego przychodzenia i wychodzenia z domu, z naszego domu. Kiedy wracał wieczorem i zanim wyszedł rano. W niedzielę wspólnie jedliśmy śniadanie, nie pamiętam, o czym toczyły się rozmowy, pamiętam, że patrzyłem na twarze dwóch braci przy jednym stole, wciąż je porównując, twarze i dłonie. W niedzielę Józef kilka razy zabrał nas, mnie z bratem, na poranek do filharmonii albo do kina. Po obejrzeniu *O dwóch takich co ukradli księżyc* powiedziałem przy kolacji, że ojciec z Józefem też mogliby grać w takim filmie. Nie pamiętam reakcji, może jej nie było, po prostu przyjęto to do zrozumienia. Nie wiem, czy zrozumiano. To było już pod koniec pobytu Józefa na Jaracza. Kilka dni później nie wrócił. Rano wyszedł do pracy, wyszedł z domu, wieczorem zaśnąłem przed jego przyjściem. Nazajutrz stało w kuchni nierozłożone łóżko polowe. Może wrócił, kiedy już spałem, a wyszedł do pracy nim się obudziłem? Brat powiedział, że nie. A wieczorem zapytałem rodziców, dlaczego wujek z nami nie je kolacji. Nie wiedzieli. Przez kilka kolejnych dni mówili, że nie wiedzą. Codziennie rano, wchodząc do kuchni, spoglądałem na stojące obok kuferka łóżko polowe, cały czas złożone. Po jakimś czasie przestałem pytać, co z wujkiem. Któregoś dnia, mama już wyszła do pracy, a ojciec szykował się do wyjścia, kiedy z rozmarzonego letargu wyrwał mnie agresywny dzwonek telefonu. *Tak, przy aparacie. Tak. Rozumiem. Rozumiem. Tak, tu mieszka. Kilka dni temu. Dokładnie? W ubiegły poniedziałek. Tak, poszedł do pracy. Miał wyjść po mnie. Słucham? Nie, już od tego czasu nie. Oczywiście, zastanawialiśmy się, ale... Chcieliśmy pocze-kać jeszcze... Nie było powodu. Jak to był? A co się stało? Co takiego? Niemożliwe. Gdzie? Nic nie rozumiem. Dobrze. Nie, nie, oczywiście, rozumiem. W Białymstoku? Tak, poręczyłem. Tak, tak, oczywiście. Dobrze, zaraz się skontaktuję.* Ojciec szybko włożył palto i kapelusz i bez słowa wyszedł z domu, wcześniej niż zazwyczaj. Wieczorem mama wzywa nas na rozmowę. Ojciec pojechał do Białegostoku odebrać wujka, mówi. Odebrać wujka, skąd? – brat nie rozumie. Z aresztu, odpowiada mama. Czyli więzienia? Wujek w więzieniu? Poszedł do więzienia? Ale za co? Zabił kogoś? Przestań, on nie zrobił nic złego. Za nic. Dowiedcie się, jak będzie wiadomo. Rano o wujku ani słowa. Po powrocie ze szkoły widzę, że kuferki zniknęły, a łóżko zostało wstawione do pomieszczenia obok przedpokoju. W łazience po neseserze wujka zostało puste miejsce. Według mamy, wujka

przeniesiono do szpitala pod Warszawą. Za co? Dlaczego? A co, on chory?, dopytujemy się, nagle wchodzi ojciec i oznajmia, że wujek już do nas nie wróci, ponieważ poszedł do szpitala. Do szpitala? Dlaczego? Co się stało? Nie był chory. Ale jest, odpowiada ojciec – i już nie chce wracać do tematu. Mama, którą regularnie pytaliśmy, co właściwie z tym wujkiem jest, powtarza, za ojcem, że dowiemy się we właściwym czasie. Parę tygodni później wsiadam z nią do pociągu. Brat został w domu z siostrą. Co to za pociąg? To jest kolejka dojazdowa. Kolejka? Dojazdowa? Elektryczna kolej *dojazdowa*? Dokąd mamy dojechać? Dokąd dojedziemy? Wsiadamy na stacji Komorów. Zatrzymujemy się przed jakimś drewnianym budynkiem w zalesionym parku, więc myślę, że Józefa przeniesiono od nas do sanatorium. Po terenie uwijają się wiewiórki, skaczą z drzewa na drzewo. Jest już ciepło. Po terenie chodzą mężczyźni, ubrani normalnie, ale i w piżamach. Dziwni ludzie. Mama każe mi czekać w tym parku, wchodzi do budynku, a po kilku minutach wychodzi, z Józefem. Józef wita się ze mną tak, jakbyśmy dopiero co się widzieli, żartuje sobie z tych, co ukradli księżyc, o szkołę dopytuje, a mamie opowiada o jakichś filmach. Ma na sobie luźną bluzę i sportowe spodnie, to mi do jego garderoby zupełnie nie pasuje, nie było tego na Jaracza. Nagle mama nerwowo spogląda na zegarek, za kwadrans mamy pociąg i musimy się pośpieszyć, mama zaczyna się z nim żegnać, ja też się już pożegnałem. Odchodziliśmy, ale nagle puszcza rękę mamy, wyrwam się, biegnę do niego i wykrztuszam z siebie z niedowierzaniem: Wujku, czy wujek jest chory? A on po chwili: Czy ja wyglądam na chorego? To czemu wujek tu mieszka? Przecież tu jest napisane szpital. [...] Matka bliźniaków, po urodzeniu ich w Warszawie spędziła pierwsze trzy, cztery lata w twierdzy Modlin, z nimi i z mężem, ponieważ jednak mąż Apolonii, dziadek Maksymilian, oglądał się za spódnicami – jeszcze niedługo przed śmiercią kolejny raz do tego wracała, najpewniej jej trauma czterdzieści lat po jego śmierci, na obczyźnie, wciąż była żywa – i, co (jeszcze) gorsze, ponieważ całymi wieczorami aż do późnej nocy lub dłużej przesiadywał w kasynie oficerskim, wydatnie uszczuplając zasoby finansowe rodziny, kapitanowa, po licznych ostrzeżeniach i kilkakrotnie stawianym ultimatum, niestety bez rezultatu, pewnego pięknego dnia uniosła się ambicją i wyniosła z Modlina do Grodna. Znad Wisły nad Niemen. Wyszła z domu – by już doń nie powrócić – z bliźniakami i z jedną małą, jej zdaniem, walizką, w której znajdowały się dziecięce ubranka i żywność na drogę, kazała taksówkarzowi zawieźć się na dworzec Modlin Główny czy Twierdza Modlin, wyobrażam sobie, już nie pamiętam, czy mówiła mi, jaki to był dworzec, i po kilkunastu godzinach jazdy, jak sobie wyobrażam, grodzieńska już taksówka zawiozła ją

wraz z dziećmi prosto do mamy. *The Homecoming* według najlepszego scenariusza. Petronela przyjęła Apolonie bez zbędnych pytań – i w ten sposób i z tego powodu dzieciństwo bliźniaków zaczęło upływać i w końcu upłynęło nie w Warszawie czy Modlinie, w pejzażu wielkomijskim i w kręgach oficerskowojskowych, lecz w Grodnie, w Grodnie, bez Warszawy, bez Modlina, bez męża i ojca, za to w pięknym, otoczonym zielenią domu, z drewna, ale na solidnej podmurówce, wybudowanym przez ojca Petroneli, Augusta Ulricha, inżyniera z Magdeburga, którego ojciec, Peter Ulrich, mistrz krawiecki w tymże Magdeburgu, z entuzjazmem odniósł się był do synowskiego planu wyjazdu do carskiej Rosji, aby cywilizować *oblast'* grodzieńską pruskiej jakości wodociągami. Wszystkiego tego, a na pewno zdecydowanej większości, dowiedziałem się od Apolonii. Dla niej Józef to był Żuczek. Józef Kordian. Słowacki się kłania. Polska jak obwarzanek. [...] Dom Petroneli postawiony został na działce przestronnej na tyle, by zmieścić się na niej sad z, jak z wielu źródeł wielokrotnie słyszałem, trzystoma drzewami owocowymi, w latach trzydziestych już mocnymi i dorodnymi. Dla Apolonii *de domo* Ulrich związek z kapitanem Wojska Polskiego okazał się mniej trwały niż dla jej siostry przyrodniej, Janiny, związek z innym członkiem tej armii, majorem Pogodzińskim. Kres tego trwalszego związku nastąpił dobrych kilka lat po rozstaniu Apolonii i Maksymiliana – jesienią 1939 po krótkim pożegnaniu Janiny z mężem, zakończonym zastrzeleniem go w Katyniu. Męża stuprocentowej Niemki. Brat Janiny, August Ulrich, wiele lat wcześniej, nie tyle nie przyznając się do polskości, ile powodowany pragmatyzmem, brakiem tak zwanej zdolności do języków, po śmierci ojca wyjechał do miasta Königsberg, aby tam ułożyć sobie życie w uniwersum dla niego specjalnie jednojęzycznym. W czterdziestym piątym, zanim dotarł do Flensburga, przeżył piekło w bombardowanym mieście i na bombardowanym statku. Apolonia wciąż snuła opowieści o Auguście w piekle na morzu. [...] Wdowa Petronela przez jakiś czas, raczej krótki, doradzała w wychowywaniu wnuków, ale dała za wygraną i przestała się wtrącać, skupiwszy się na własnej chorobie. Apolonia wychowywała dzieci według najgorszego scenariusza. Starszy brat – starszy przecież o godzinę – stał się z biegiem czasu pełniącym funkcje (raczej niż obowiązki) męża i ojca, młodszy – synem bez brata, a za to z ojcem, który ojcem nie był. O starszego bliźniaka Apolonia się nie martwiła, on doskonale potrafił sobie wszystko ułożyć, o młodszego dla odmiany wciąż drżała, według własnej relacji, młodszy zawsze doznawał klęski, wciąż coś mu się nie udawało, w czymś ponosił fiasko, nie tak jak chciał, albo nie tak, jak powinno się go zrozumieć, go rozumiano, młodszego zawsze trzeba było wyprowadzać z życiowych

tarapatów, ona musiała to robić, albo jej syn, brat Józefa. Józef wciąż był narażony na niebezpieczeństwo, i po to, by go chronić, nikczemne *duo* matka – brat uważało za stosowne wchodzić bez ceremonii w jego życie. Brat od Józefa starszy zaledwie o godzinę, może dwie, Apolonia w tym względzie przedstawiała różne narracje, zachowywał się tak, jakby był jego mentorem. Dla dobra Józefa, rzecz jasna, który wciąż wpadał w życiowe tarapaty. Trzeba go było chronić, często przed nim samym, samym sobą. Choćby dlatego, że Józef był chory. To choroba Józefa powodowała, że brat i matka musieli wciąż do życia Józefa się wtrącać, wręcz im to nakazywała. [...] Żuczek jest chory, powtarzała jak mantrę babcia Apolonia. Odkąd nie jest na Kresach, bo wiesz, na Kresach jest prawdziwa Polska, ona jest jak obwarzanek, jej prawdziwa substancja znajduje się na obrzeżach. Ja miałam dobrą intuicję, dając mu na drugie Kordian, nie bez oporów Maksymiliana, Słowacki też doświadczył najlepszego w rodzinnych stronach, nie za granicą, mówiła, no i faktycznie, w jej wypadku, stolica i okolice Warszawy – aż po Modlin pewnie – to były obszary już się nieliczące, kompletna pustka, próżnia, nic tam nie ma. Tym bardziej że był tam Maksymilian, a Maksymilian odszedł już w niebyt. Apolonia tyle wojen przeżyła, na Kresach, nie dwie, jak w moim szkolnym widzeniu historii (babciu, wojny były dwie, pierwsza i druga), tylko co najmniej pięć, sześć. Najpierw w szesnastym, potem z bolszewikami, potem w osiemnastym, potem w dwudziestym z sowietami, następnie sowiecki zabór w trzydziestym dziewiątym, a skończyło się ostatnim najazdem komunistów w czterdziestym czwartym. Kazali zostawić dom wraz z sadem z trzystoma drzewami owocowymi. No a przedtem jeszcze wtargnięcie do Grodna hordy nazistowskiej w czterdziestym pierwszym. [...] To właśnie w czterdziestym pierwszym Józef zapadł na dyfteryt. Zapadł? Od tego czasu wolniej mu rosła prawa noga, więc była krótsza, Żuczek utykał na prawą nogę, z tego powodu chodził w butach, jak to się mówiło, specjalnie obstalowanych. Jak spojrzysz na buty Żuka, z wysoką cholewką – pewnie zauważyłeś, że Żuczek nie nosi półbutów, mówiła Apolonia – zobaczysz, że prawy jest dużo płytszy wewnątrz. Ponieważ twój wujek w następstwie dyfterytu, który przebył za dziecka, ma krótszą nogę. Z tego powodu wprawdzie nie kuleje, powiedziałabym, że nawet nie utyka, nie, nie utyka na jedną nogę, ale jedną nogą tak jakby zarzuca. Tak jakby zarzuca! Zawija, podrzuca, przeciąga, już nie pamiętam, jak to określała. No więc w czterdziestym pierwszym poszedł do szpitala w czerwcu, po kilku dniach gorączka spadła, poczuł się lepiej. Ale nagle zaczęły się ataki niemieckie. I Żuczek w szpitalu nabawił się innej choroby. Było bombardowanie i bomba trafiła w szpital, na oczach Żuczka spłonął żywcem jego sąsiad z łóżka

obok, chłopiec, z którym Żuczek zdążył się przez tych kilka dni zaprzyjaźnić. Mamo, czemu mnie to nie spotkało?, Żuczek całymi miesiącami mnie pytał, cytuję Apolonię. Czy po dyfteryście jedna noga staje się krótsza, tak po prostu, czy to normalne? – pytałem siebie i babci. Może raczej spaliła się podczas bombardowania. Może chciał ratować kolegę i ogień go poparzył? [...] Kiedy Józef Kordian zaczął z nami mieszkać, od chwili pojawienia się łóżka polowego i kuferka, w naszej kuchni częstym widokiem był skórzany futerał, którym nasz współdomownik otulał aparat fotograficzny. Z wrytym w skórze napisem Leica. Ojciec mówił: Żuk lubi fotografować. Był na studiach w szkole filmowej. Ma kilka aparatów. Możecie go zapytać. Zapytałem. Po którejś kolacji Józef nauczył mnie słowa epidiaskop i opowiadał, jak zbudowana jest i jak działa kamera filmowa. Było to, jak się później dowiedziałem, kilka lat po jego studiach w łódzkiej szkole filmowej, z której, jak mi powiedział nagabywany o to ojciec, Józef na drugim roku wyleciał z trzaskiem i do której już nie powrócił. Może i na pierwszym. [...] Trzydziestolatek Józef Kordian, w chwili, kiedy pojawił się u nas na Jaracza, a zaraz potem zniknął, wiele już przeszedł, wiele miał za sobą – spalony żywcem kolega, skrócona noga, pogrzebane studia, spaprane małżeństwo, porzucone dzieci, stracona praca, szpital komorowski, filia szpitala psychiatrycznego w Pruszkowie. Nieposłuszny. Można sobie wyobrazić, jakimi środkami skłaniali go do posłuszeństwa. [...] W dniu, w którym nie wrócił do nas na Jaracza, nie poszedł do pracy. Poszedł w przeciwnym kierunku. W drugą stronę. Wyszedł z domu ubrany „do pracy”, a więc w uszyty na miarę garnitur z wełny w pepitę z dwoma rozporkami z tyłu *à la* Roger Moore i uszyty na miarę płaszcz merino z materiału w delikatną jodełkę. Wyszedł z domu, Dobrą dotarł do mostu śląskodąbrowskiego i przeszedł na Pragę. Minąwszy czterech śpiących, wszedł na dworcu Warszawa Wileńska do tak zwanego dalekobieżnego pociągu. Dwa dni później patrol pograniczników zatrzymał obcego mężczyznę, który bez wyraźnego celu chodził po ulicach wokół posesji, na którą tenże uprzednio nielegalnie wtargnął. Co nie uszło uwagi pięciu rodzin, zajmujących wspomnianą posesję. Mieszkańcy całej dzielnicy, obywatelsko czujni, już dzień wcześniej zauważyli podejrzanego mężczyznę, który zachowywał się jak obcy szpieg. Gdy kolejny raz ów osobnik wkroczył na posesję, jedna z pięciu rodzin niezwłocznie powiadomiła milicję i KGB. Co się stało? Żuk poszedł pieszo do Grodna – krótko ujął ojciec w czasie posiłku. [...] Kontrola podejrzanego ujawniła, że jest obywatelem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i jako taki, nie posiadając dokumentów upoważniających do przekroczenia granicy, przekroczył ją bezprawnie. Wylegitymowanego zatrzymano. Za nielegalne przekroczenie granicy



wtrącono go do aresztu śledczego miasta Grodna. W szczerym polu, niezauważony, pewnie pod osłoną nocy, o noc nie było trudno, chyłkiem, ukradkiem, w swym ortopedycznym obuwiu, Józef Kordian, że tak powiem, przedarł się przez linie wroga, przez mocno strzeżoną, zwłaszcza przez tak zwanych czerwonoarmistów, granicę państwową. Służby sowieckie przekazały przestępcę komendzie wojewódzkiej milicji w Białymstoku. Ojcu, który dowiedziawszy się o fakcie, natychmiast wyruszył do Białegostoku, udało się przekonać prokuratora, że jego brat cierpi na zaburzenia psychiczne. I jako kurator, brat odholował brata na Mazowsze. [...] Tak, Żuczek postanowił wrócić do domu dzieciństwa, potwierdziła później Apolonia. Chodził wokoło niego, przerażony stanem domu i zniszczeniem sadu. Dom był w opłakanym stanie, kompletna dewastacja, ruina, obraz nędzy i rozpaczy, zdaniem Żuczka, a mieszkała w nim cała wataha okupantów. Wszyscy pili, wielu nie mogło utrzymać się na nogach. Nasz ogród z tak wspaniałym sadem został okrojony do wąskiego pasa przy domu – a dom, jak powiedziałam, teraz zajmowało kilka rodzin. A najgorsze, że na pozostałej części przedwojennej posesji postawiono szkaradną budę, do której od samego rana przychodziło towarzystwo spod ciemnej gwiazdy. *Pianyj ugołok*. [...] Tak, Józefowi, popychanemu imperatywem głosu wewnętrznego, udało się powrócić, dotrzeć do rodzinnego domu, ale tylko na chwilę. Nie wiem, jak udało mu się przekroczyć granicę, w okolicach Rogaczy, to słowo pojawiało się w relacji ojca, stamtąd miał już zaledwie dziesięć, dwanaście kilometrów do rodzinnego – choć w nim się nie urodził – miasta, ale jak udało mu się pojawić w Rogaczach, nikt nie potrafił powiedzieć. Prawdopodobnie jemu samemu stan ekscytacji i pewnie też wzburzenia nie pozwolił, dosłownie, oglądać się za siebie, tak w przestrzeni, jak w czasie. Nikt nie dowiedział się, dlaczego, choć strona tak zwana radziecka dała mu niezły wycisk, nie udało się od niego wydobyć zeznania. Był niesubordynowany. Potem, w więzieniu, w Białymstoku podobno też się stawiał, nie wykonując poleceń, chciał dyskutować. O tych dyskusjach świadczyły siniaki na tułowiu i kończynach, rana na prawym uchu oraz hematoma na policzku i czole w okolicy prawego oka. Kiedy dotarł z ojcem do Komorowa, trudno było określić, które ślady na ciele powstały po wschodniej, które po zachodniej stronie granicy przyjaźni. [...] Niewykluczone, że po wschodniej stronie bywalcy pijanego zakątka dali mu tak zwany wycisk jeszcze przed przyjazdem milicji. Teraz by się powiedziało, że klienci tak zwanej małej gastronomii dokonali tak zwanego obywatelskiego zatrzymania. Obrona terytorialna zadziałała. Zdemaskowała obcego. Kiedy odebrałem go z aresztu i przewiozłem do Komorowa, mówił ojciec do mamy, zanim go przyjęto, kazano

mu się rozebrać i oddać wszystko, co miał, miał na sobie, do depozytu, łącznie z bielizną, byłem z nim, kiedy się rozbierał. Pielęgniarsz długo się wahał, nie wiedział, czy wolno mu nas zostawić samych, pewnie nasze podobieństwo nasuwało obawy, że zamienimy się rolami. Ale siniaki Żuka trudno było mi podrobić, mówił ojciec. To, że wydawał się obcym ciałem na sowieckim terytorium, w tym stroju z innej rzeczywistości, było zrozumiałe, dlaczego jednak jeszcze przed przekroczeniem granicy ktoś go nie namierzył i nie wydał? W końcu także po naszej polskiej stronie ludzie chyba nie mogli myśleć, że to ktoś miejscowy. W jedwabnym krawacie, garniturze w pepitę z marynarką z dwoma rozporkami. [...] Jak sobie pościesz, tak się wyśpisz, mówił Józef jakieś dwadzieścia lat po Grodnie i Komorowie. Jak się ubierzesz, tak cię zobaczą, nawet jeśli zobaczą cię kimś innym, niż jesteś, niż sądzisz, że jesteś, niż sam siebie widzisz, bo sam siebie tak ubrałeś, sam się tak urządziłeś. Widzisz te nasze okrycia, tę naszą odzież, garderobę, galanterię, nasze akcesoria, widzisz te wszystkie sztyblety, pantofle, getry, kostiumy, peleryny, garsonki, żakiety, żaboty, trencze, szale i pelisy, garnitury i marynarki – pretensjonalne, w takiej dawce wręcz śmiertelne, w najlepszym wypadku zbiera się na wymioty! Morze słów, spośród których tylko niektóre znajdziesz w słowniku wyrazów obcych. A wszystkie są obce. Tak słowa, jak ubrania. Jeden kierunek ruchu. Wszystkie wzięliśmy od obcych. Cały ten pretensjonalny słownik odzieżowy wzięliśmy bez ładu i składu od jednych lub drugich i od trzecich obcych, to z tego, to z innego języka, na chybił trafił. Podobnie jak i same tak zwane stroje. Odzież, w którą się odziewamy, tak po polsku. Poszetkę wzięliśmy z francuskiego, ale brustaszę już z niemieckiego, po niemiecku wkładasz *Einstecktuch* w *Brusttasche*, po francusku *pochette dans la poche poitrine*, a u nas do brustaszy wsadzasz poszetkę, nie mylić z *boutonnière*. Fonetycznie brustasza oczywiście jest równie wierna oryginałowi, jak *Feierabend* przechwycony i wtrącony w polszczyznę jako fajrant. Fajrant w naszym karcercze z rynsztoka. Albo obcy nam *Keilhau* wymawiany jako kilof. Holajza nie ryksztosuje. To od obcego Niemca. A tu, popatrz, coś od obcego Francuza, któremu daliśmy Skłodowską i Szopena. A co oni nam dali? Zobacz, w tym oknie masz szyld „Repasacja pończoch”, czyli, chyba się nie mylę, podnoszenie oczek. Co to jest repasacja? *Repasser* to prasować, więc czyżby mieli tam żelazkiem traktować nylonowe pończochy? Bynajmniej. To nie rodzima inkarnacja prasowania, tylko *rapiécage*, czyli składanie do kupy, zszywanie rozprutych kawałków, po prostu cerowanie. Słowa transplantowane na nasz teren bez ładu i składu, przez nie wiadomo kogo, pewno jakichś typów spod ciemnej gwiazdy. A ledwie obce słowa znajdują się w naszym słowniku, natychmiast zaczyna się

proces ukrywania, zacieranie śladów na językoznawczą skalę. Nie mówić zbyt wiele o etymologii w popularnych słownikach, broń Boże, bo jak jakiś obcy wzięby te słowa do kupy, to tyle się ich zbierze, że ktoś nam wrogi może sobie ubzdurać i swoim wmawiać, że my nie mamy własnych słów. A więc nie zasługujemy na państwo. I o te słowa, jak o ziemię, mamy obowiązek walczyć do upadłego, bo one nam się po prostu należą. Polacy nie gęsi, swoje słowa mają. Jeszcze jak. A słowniki, zauważ, są tak skonstruowane, żeby zamiast rozświetlać, wiele nam zaciemniać. Garnitur znajdziesz w słowniku wyrazów obcych, ale marynarki już nie. Żakiet, owszem, ale sztyblety to już nie. Taki głupi to ja już nie jestem, może głupi, ale taki to już nie! Szyblety wzięliśmy z rosyjskiego, który zesłowiańczył je z niemieckiego *Stiefelette*, czyli *Stiefel*, buciory, niemiecki zdrobniony francuskim *-ette*. Mankiety są po stronie ręki, podobnie jak rękaw, ale my nosimy mankiety także w spodniach, po angielsku *cuff*. Pomieszenie z poplątaniem, za które nikt nie odpowiada, choć winnych można by wskazać dziecinnie łatwo. Polacy nie gęsi, piękny, giętki język mają. Który jednak nie wszystko, co pomyśli głowa, może wyrazić, ale jaki inny potrafi? Każdy język obcy, a takimi są u nas wszystkie, wokół są sami obcy, więc i obce, złośliwe i złe języki, każdy z nich ma swą *specialité de la maison*, wyspecjalizował się w swych ułomnościach, każdy na własną modłę impotentny, każdego impotencja coś nam ciekawego mówi. Francuskiemu brakuje prostego słowa „płytki”, włoskiemu słowa na włoszczyznę, po angielsku nie możesz po ludzku powiedzieć „przytulny”. Wszędzie tydzień lub dwa tygodnie to siedem i czternaście dni, ale Francuz upiera się, że to osiem lub piętnaście. Już nie wspomnę o czterech dwudziestkach plus siedemnaście jako „dziewięćdziesiąt siedem”, nawet Belgowie nie dali się w to zrobić, czy o tym, że „bez wątpienia” znaczy dla niego „prawdopodobnie”. A Niemiec ma do czynienia ze słowami w rodzaju *Doppehaushälfte*, połowa podwójnego domu. Czyli nasz bliźniak, też nie bez skazy logicznej. Są generalnie języki, które raczej dają, i inne, które raczej biorą, są takie, które zamknięte w sobie, zamykają się na inne. Inne znowu zamykają się na siebie. Te, co najwięcej innym dają, najwięcej też od innych bez skrupułów biorą, tylko uwaga: one garściami czerpią na ogół z tych, które z nich czerpią, no i trzeba przyznać, że one też, zaczerpnąwszy obce słowa, też równie często, jak niemiłosiernie, je kaleczą, tylko że w przeciwieństwie do nas nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby to tuszować. Więc do repasacji wracając, czyli cerowania, to cerowanie, mój drogi, też jest pożyczone, z kolei z niemieckiego, od słowa *zieren*, czyli co? „Upiększać, ozdabiać”, jak niemieckie *garnieren*, od francuskiego *garnir*, od którego pochodzi niemiecki „garnitur”, który my przechwyciliśmy, bo

*garniture* po francusku to raczej jakiś „komplet, kombinacja”, to znaczy *combination*, „kombinezon”, ale nie marynarka i spodnie, bo to już jest *costume*, który Rosjanie przechwycili, wybierając francuski kostium, a nie niemiecki garnitur. Polacy też mają kostium, ale już raczej dla kobiety. Kostium nosi mama Polka, a ojciec Polak garnitur. Mama to nie ojciec, u nas inne są zapożyczenia męskie od damskich, ciągnął Józef. Śmiać się chce już z samego słowa zapożyczenie, pożyczka słowna, pożyczka, której nikt nie ma zamiaru zwrócić. Pożyczasz za zwyczaj z zapewnieniem, że oddasz, a jeśli pożyczasz, wiedząc, że nie oddasz, to kradniesz, chyba że – nie pytając o zgodę – po prostu zapożyczasz, po prostu biorąc na własność. To istne przywłaszczenie. Przywłaszczając sobie stół sąsiada, zapożyczwszy u niego stół, możesz sobie ze stołu zrobić krzesło. Albo porąbać na kawałki. Jeśli takie pożyczki między francuskim a niemieckim idą w obie strony, to jest zwyrodnienie kapitalistyczne, tak się dzieje w imperialistycznych państwach, na zgniłym Zachodzie. Kraje, nie, nie kraje, państwa, bo państwo nasze jest i będzie właścicielem kraju i narodu, a więc w Europie, na jej skraju, u jej boku, ludzie sami się obsługują, no i ta samoobsługa w jedną odbywa się stronę. Jednokierunkowo. Biorą i wymagają. Między sobą minimalnie, w tak zwanym małym ruchu granicznym mało biorą, ale zza twardej granicy, owszem, i to masowo. Masowo stamtąd, skąd sprowadzają też maszyny i pomysły, instytucje i obyczaje, jak to się mówi – zasięgają języka. Po tak zwanym zapożyczeniu (przez niektórych) wprawiony zostaje (przez niektórych, najczęściej innych niż ci, co zapożyczyli) w życie (lub agonię) proces wypierania się, a już na pewno zacierania śladów. Chcesz się dowiedzieć czegoś o etymologii ze słownika Doroszewskiego? Doroszewski nawet w swoim tak zwanym wielkim, wielotomowym, a co mówić o małym, trzytomowym *opus magnum*, dziele epokowym zaiste peerelu, zaciera ślady, na zlecenie władz chyba, a zapewne po części z własnego przekonania, że robi przysługę naszemu językowi i zasłuży sobie na poklask przyszłych pokoleń patriotów, którzy będą tłumaczyli światu, że to my nauczyli Francuza mówić, nie mówiąc o jedzeniu, widelcem, naszym polskim oczywiście. W peerelowskiej nocy po kryjomu, że tak powiem, przeprowadził Doroszewski akcję oczyszczania polszczyzny, jeżeli nie z obcych słów, to z klasyfikatorów, które pozwoliłyby natychmiast odnaleźć źródło, z którego czerpała tak zwana polszczyzna. Na próżno szukać u Doroszewskiego etymologii, tak zwany źródłosłów jest systematycznie zamazywany. Słowianie lubią sielanki, pólka i pola z wyłącznie naszym polskim kwieciem. Na polanie Polka stała z Polan powstała, tych wielkich i małych, i wianki na polrzeczce w noc świętopolańską puszczala.

PIOTR MATYWIECKI

## Skrytka

Dziecko, którym byłem, bawi się w chowanego.  
I dziecko w prehistorii, zawsze to samo,  
bawi się teraz i milion lat temu.  
– To wszechświat, już wtedy postarzały,  
stworzył bawiące się dziecko  
dla rozweselenia czasu, którym był znudzony.

Wszechświat nie wiedział, że dziecko stanie się dorosłym  
piszącym wiersz. To się samo stało.

Kiedy cokolwiek robię, bawi się w chowanego  
chłopczyk, którym byłem siedemdziesiąt lat temu,  
chowa się w milionie lat, wszechświat szuka go  
zawsze. I kiedy dla zabawy udaje, że nie może mnie znaleźć,  
ja, na niby ukryty przed wszechświatem i sobą,  
dorośleję.

\*\*\*

Wiatr z lasu wywiewa nasiona,  
rozprasza na łąkach, tam wyrastają  
samotne drzewa. A bywa i taki wiatr bez czasu,  
który przenosi nasiona poza łąki,  
poza jakiegokolwiek miejsce –  
tam jest moje drzewo.

\*\*\*

Idę przez łąkę, przez szum rozłączenia:  
osobno zieleń, osobno struny łodyg,  
osobno giętkość i chwiejność,  
osobno ja. I najbardziej osobny  
zapach ściętej trawy.

## Trwoga

Zaniosło się na śmiech,  
w chmurach wzbierają pointy,  
piorunują granit, konwalię,  
żuka gnojownika, dolatują  
prawie do mózgu, który o tym wie.

Rechoczą dzwony nad miastami.  
Zawały chichoczą w sercach.

Śmiech tu już jest –  
cienka luka między śmiechem  
a minerałem, rośliną, zwierzęciem, rozumem.  
Ta luka jest śmieszna,  
bo mości się w niej nasze poznanie:  
woli się śmiać  
niż poznać,  
że jest tylko śmieszna luką  
wszystkiego.

## Bezkres

Horyzont zaharowany, bo ciągle jest poza sobą,  
człowiek zmęczony horyzontem, który go przynagla.

Wszystko się znużyło –  
i ziemia głupkowato okrągła  
i horyzont kręcący się w kółko.

Durna natura  
wybrała sobie podróż bez celu  
i przydługi terror końca, komiczny.

Bóg mówi:

Znowu zacznij być.  
Początek to lepsze nic.

## Los

Autobus szarpnął,  
przewróciłem się na nieznajomą,  
zostałem życzliwie przyjęty.  
A jakem już powstał,  
to przez okno przeczytałem plakat:  
„Serwujemy wiedzę o polskiej wódce”.  
No to wysiadłem.  
I ani kobiety, ani wódki.  
Nieudacznik, jak zwykle.

Wsiadłem do następnego autobusu.  
Panienska ustąpiła mi miejsca.  
Poczułem własną godność.  
Pomyłka. Okazało się, że naprzeciw niej  
siedział ktoś cuchnący alkoholem,

chciała uniknąć sąsiedztwa.  
Patrzę na nią, wacham wódkę z cudzej paszczy.  
Nieudacznik, jak zwykle.

## Odyseusz

Dziecku wypadł z wózka klocek,  
matka tego nie zauważyła, pojechała dalej,  
nikomu z przechodniów nie chciało się go podnieść.  
Leży na Nowym Świecie jak pałac na pustyni,  
Warszawa się przemienia,  
żeby dobudować do niego  
gładkie frontony kamienic.  
Czy tu zamieszka to dziecko,  
kiedy będzie dorosłe?  
A może przeniesie się do innego miasta?  
Za kilkadziesiąt lat powróci  
poranione, bezwiednie dotknie stopą chodnika,  
tam, gdzie upuściło klocek.  
Chociaż na starość każdy krok wie, że jest donikąd  
i dlatego rujnuje życie, tym razem  
zrujnuje nawet nieświadomość  
tego, że się żyło.



BOGUSŁAW KIERC

## Przed

Coraz mi bliżej, albo to nie mnie,  
ale jej bliżej do mnie, gdyby dalej  
widzieć ją jako tę kostuchę, nie  
licząc się z taktem, a jedynie z żalem

za grzechy, w których niby ziarnko tkwi  
grochu pod pupą księżniczki po burzy  
życia i teraz wystawia mi kwit  
za nadużycia, kiedym się zadłużył

w Banku Niebieskim, choć ufałem, że  
się wyrównało w naszych rozliczeniach,  
że mi nie będzie poczytany grzech,  
który mnie swoją pięknnością ocienia

niby skrzydłatość archanioła nad  
moją nagością bezwstydną i śmiało  
wyzywającą spadających grad  
gwiazd na to moje obnażone ciało

przed śmiercią; jakim byśmy mieli ją  
mienić rodzajem żeńskim albo męskim,  
choćbym się nie wiem jak do nieba piął,  
sam się nie wyrwę z grawitacji kłęski.

## Rozliczenie

Jeszcze przed śmiercią warto by niektóre  
rachunki sprawdzić, przebadać wrażliwość  
słuchu na szmery podszeptów sumienia

i w planowanym szybowaniu w górę  
serca przewidzieć – niby niemożliwą –  
wersję awiacji, co lekko zamienia

wektory pragnień na twarde skalary  
spełnień w lotniczych liniach między nami,  
mój Niepojęty i zawsze Jedyny;

choć łatwo mi się tłumaczyć, że stary  
jestem i przecież może mnie omamić  
bilans miłości, widzę debet winy.

## Krzyż

Jeszcze codziennie jestem  
przed śmiercią, która nie z tej

strony nadejdzie, z której  
spodziewam się jej, piórem,

długopisem, laptopem  
wabiąc ją, żeby potem,

zapisawszy, oswoić,  
żeby się stała moim

pożądaniem spełnienia  
tego, co mnie przemienia

w przyszłego nieboszczyka,  
którego wszak przenika

światło życia wiecznego  
i zapewne dlatego

ośmielam się przybliżyć  
marnym ciałem do krzyża

naszego Zbawiciela,  
który się we mnie wciela

w każdej komunii; *będę  
tobą poza obrzędem,*

*poza sakramentami,  
kiedy będziemy sami*

*ze sobą tak bliźniaczo,  
że już niewiele znaczą*

*różnice między tobą  
a Mną, który wciąż obok*

*ciebie jest co dzień bliżej  
i uskrzydla cię krzyżem.*

Joanna Helander



## ANDRZEJ ZAWADA

### Historia ludzi i oszczędność słów\*

Poezję Wisławy Szymborskiej łatwo się czyta, ale niełatwo się o niej rozmawia czy pisze. Na tym między innymi polega fenomen każdej dobrej literatury. Komunikatywność wierszy poetki z Krakowa jest oczywista. Przejrzystość stylu, zwyczajność słownictwa i zwięzłość czynią lekturę naturalną jak oddychanie. Ale jak zdrowym i odżywczym oddychaniem rządzą rygorystyczne, choć niewidzialne reguły, tak podobnie ukryte i konsekwentne zasady tworzą strukturę tej poezji. Od dawna intrygują one krytyków i filologów – wśród obszernej bibliografii prac poświęconych poezji autorki *Chwili* doliczyłem się kilkunastu książek.

Nie siląc się więc na przedwczesne uogólnienia, spróbujmy powiedzieć co nieco o kilku wierszach. Dzisiejszy mój wybór jest raczej dowolny, w istocie każdy wiersz Wisławy Szymborskiej może być furtką prowadzącą do ogrodu jej liryki. Zadbana o to sama autorka – prowadziła tak staranną i surową selekcję własnych utworów, że do druku dopuściła niewiele ponad dwieście wierszy. Ile skazała na niebyt, tego nie wiemy, wobec własnej twórczości była radykalnie surowa. Konsekwentnie kierowała się zasadą, którą kiedyś inny noblista, Czesław Miłosz, wyraził lapidarnie: „Jedno zdanie, ale takie, które by naprawdę ważyło, to byłoby dosyć jako wynik jednego życia”.

Poszczególne książki poetyckie Wisławy Szymborskiej dzieliły spore odstępy czasowe i stało się to właściwością jej dzieła, podobnie jak jedyna w swoim rodzaju skrótowość zdania czy paradoksalna logika wywodu. Kolejne zbiorki ukazywały się w zbliżonym rytmie, na przykład *Wielka liczba* w roku 1976, *Ludzie na moście* – 1986, *Koniec i początek* – 1993, *Widok z ziarnkiem piasku* – 1996, zaś *Chwila*, pierwsza książka poetki po przyznaniu jej Literackiej Nagrody Nobla, wyszła w roku 2002. „Wiersze wolno pisać rzadko i niechętnie, pod nieznośnym przymusem...” (*Ars poetica?*) – ta znana formuła Czesława Miłosza znajduje w poezji Wisławy Szymborskiej idealne, nie tylko liczbowo

---

\* Wykład wygłoszony 15 lutego 2020 roku w Auditorium Minus Uniwersytetu Warszawskiego podczas międzynarodowej konferencji pt. „Słuchając analitycznie”, zorganizowanej przez Instytut Psychoanalizy i Psychoterapii. Wiersze Wisławy Szymborskiej czytała Anna Nehrebecka.

wymierne potwierdzenie. Wiersze tej poetki są tak esencjonalnie nasączone znaczeniami, że każdy z nich może stanowić przedmiot osobnej, estetyczno-filozoficznej kontemplacji czy też mógłby – i zapewne niejedno stanie się – być obiektem wnikliwej, wszechstronnej literaturoznawczej egzegezy.

Na początek naszego oglądu poezji Szymborskiej przyjrzyjmy się wierszowi pt. *Chwila*:

Idę stokiem pagórka zazielenionego.  
Trawa, kwiatuszki w trawie  
jak na obrazku dla dzieci.  
[...]  
Jakby tutaj nie było żadnych kambrów, sylurów  
skał warczących na siebie,  
wypiętrzonych otchłani,  
żadnych nocy w płomieniach  
i dni w kłębach ciemności. [...]  
Jest dziewiąta trzydzieści czasu lokalnego.  
Wszystko na swoim miejscu i w układnej zgodzie.  
W dolince potok mały jako potok mały.  
Ścieżka w postaci ścieżki od zawsze do zawsze.  
Las pod pozorem lasu na wieki wieków i amen,  
a w górze ptaki w locie w roli ptaków w locie.

Jak okiem sięgnąć, panuje tu chwila.  
Jedna z tych ziemskich chwil  
proszonych, żeby trwały.

To tytułowy wiersz, wprowadza nas w książkę nazwaną tak samo, podaje obrazową, emocjonalną i filozoficzną tonację zbioru. Wynika ona z konfrontacji efektów poznania zmysłowego z wiedzą będącą wynikiem poznania intelektualnego. Tutaj brzmi to abstrakcyjnie, ale w wierszu dzieje się wręcz przeciwnie – wypowiada się on wyłącznie za pomocą sekwencji ekspresywnych obrazów.

Do tajemnic poetyckiego warsztatu Wisławy Szymborskiej należy alchemiczna umiejętność zamiany potocznego idiomu w odkrywczą metaforę. „Ścieżka w postaci ścieżki”, „las pod pozorem lasu” – trwała, materialna rzeczywistość istnieje, daje odczuć satysfakcję z egzystencji, a zarazem świadomość

bierze tę rzeczywistość w nawias wiedzy o jej nietrwałości. „Jak okiem sięgnąć, panuje tu chwila”, ta sama, do której Faust wysłał wciąż tę samą prośbę: „*Verweile doch! Du bist schön!*”. Prośbę spełnioną i niespełnioną jednocześnie.

### Oszczędność słowa

Perfekcja wyrazu, oszczędność słowa – dochodząca do poetyki aforyzmu, należą do fundamentalnych cech tej liryki. W tym objawia się ich wirtuozeria.

Weźmy dowolny przykład, choćby taki z początku książki, o której tu mówimy, zatytułowanej *Chwila*. W drugim z kolei wierszu, noszącym tytuł *W zatręśieniu* – gdzie raz jeszcze powraca stały i znamieny motyw zdumiewania się naturą i rolą przypadku w pojedynczej i globalnej egzystencji – natrafimy na zdanie, w którym pojawia się „źdźbło tratowane przez bieg niepojętych wydarzeń”. Abstrakcyjny „bieg wydarzeń” staje się nagle biegiem rzeczywistym, fizycznym, traktującym ziemię, a „niepojętość” wydarzeń zaczyna znaczyć nie tylko ich niezrozumiałość, lecz i – jak sądzę – niezależność od człowieka, który nie potrafi ich pojąć, czyli pojmać, opanować.

Wśród wierszy, których sugestywna ekspresja zbudowana jest na takim właśnie świeżym zastosowaniu rozpowszechnionych formuł języka codziennego znajduje się małe studium wojny, zatytułowane *Jacyś ludzie*.

Odkrywczość spojrzenia jest znakiem firmowym poezji Wisławy Szymborskiej. Odświeżanie słów stanowi jeden z podstawowych sposobów opisywania świata. Przypomina to filozofię języka charakterystyczną dla awangardy, jednak w odróżnieniu od niej autorka *Wielkiej liczby* nie poprzestaje na osiągniętej nadwyżce znaczeniowej, lecz inwestuje tę nadwyżkę w obraz. Inaczej mówiąc – choć niekoniecznie jaśniej – słowny kształt wierszy zwraca na siebie uwagę czytelnika, ale zarazem staje się przed jego oczyma konkretnym i metaforycznym obrazem:

Jacyś ludzie w ucieczce przed jakimiś ludźmi.  
W jakimś kraju pod słońcem  
i niektórymi chmurami.

Zostawiają za sobą jakieś swoje wszystko,  
Obsiane pola, jakieś kury, psy,  
Lusterka, w których właśnie przegląda się ogień.  
[...]

Coś się jeszcze wydarzy, tylko gdzie i co.  
Ktoś wyjdzie im naprzeciw, tylko kiedy, kto,  
w ilu postaciach i w jakich zamiarach.  
[...]

Odkrywczość spojrzenia zmienia się nieraz w studium obiektywnie nieistotnego, jednostkowego epizodu, jak to ma miejsce w wierszu pt. *Mała dziewczynka ściąga obrus*. Żartobliwa, pełna sympatycznej ironii opowieść, w której zastosowano imitację punktu widzenia dziecka, imitację, która nie udaje autentyku – dziecko nie wie, kto to „pan Newton” – jest jednocześnie lirycznym obrazkiem i filozoficzną przypowieścią. Wierszy o takiej właśnie, co najmniej podwójnej, funkcji jest w poetyckim dorobku Wisławy Szymborskiej wiele – właściwie wszystkie.

Piszę „wszystkie” i w tej chwili poetka chwyta mnie za rękę. Wskazuje na ostatni w tej książce wiersz. Ma tytuł *Wszystko*:

Wszystko –  
Słowo bezczelne i nadęte pychą.  
Powinno być pisane w cudzysłowie.  
Udaje, że niczego nie pomija,  
że skupia, obejmuje, zawiera i ma.  
A tymczasem jest tylko  
strzępkiem zawieruchy.

W zbiorze pod tytułem *Chwila* są co najmniej dwa wiersze, których tematem jest natura słów. To właśnie cytowane *Wszystko* oraz *Trzy słowa najdziwniejsze*. Przytoczmy go:

Kiedy wymawiam słowo Przyszłość,  
pierwsza sylaba odchodzi już do przeszłości.

Kiedy wymawiam słowo Cisza,  
niszczę ją.

Kiedy wymawiam słowo Nic,  
stwarzam coś, co nie mieści się w żadnym niebycie.



W tej drugiej fraszce – bo do tej formy gatunkowej nawiązują obydwie krótkie, esencjonalne, oparte na paradoksie wierszyki – tematem jest fundamentalna sprzeczność pomiędzy bytem a jego pojęciem. Trudno sobie wyobrazić bardziej lapidarny, esencjonalny i klarowniejszy wiersz filozoficzny, więc nic dziwnego, że – zanim właśnie ukazał się w tomiku – już zrobił czytelniczą karierę. Jest to też wiersz nadzwyczajnie charakterystyczny dla poezji Wisławy Szymborskiej, metonimiczna reprezentacja liryki Noblistki z 1996 roku.

### Koncept

Obydwie te fraszki z zakresu filozofii języka, podobnie zresztą jak wiele innych wierszy – jak choćby wspomniany obrazek pt. *Mała dziewczynka ściąga obrus*, jak *Jacyś ludzie*, *W zatrzęsieniu*, jak tytułowa *Chwila* – zbudowane są klarownie wokół widocznego rdzenia, którym zwykle jest koncept. Koncept, czyli oryginalna idea, bierze się w tej liryce ze zdziwienia światem, z kontemplacji jego zagadkowych praw, z wysiłku odczytania ukrytych w egzystencji reguł. Przy końcu tomiku umieściła autorka wiersz pt. *Spis*, który jest listą

pytań,  
na które nie doczekam się już odpowiedzi,  
bo albo za wcześnie na nie,  
albo nie zdołam ich pojąć.

Listą tych pytań jest w gruncie rzeczy całe dotychczasowe dzieło poetyckie Wisławy Szymborskiej.

*Spis*, podobnie jak kilka innych jeszcze wierszy, na przykład *Platon, czyli dlaczego*, jak *Trochę o duszy* czy *Milczenie roślin*, to impresje metafizyczne. W zestawieniu impresji, której istota jest niefrasobliwa, i metafizyki, zasadniczo poważnej, jest może nieodpowiedniość, przynajmniej pozorna. Jednak metafizyczne wiersze Szymborskiej tak są właśnie napisane, łagodzą ostateczność kokieteryjnie niepoprawną ironią, niepojętość *sacrum* oswajają paradoksem, urealniamy oksymoronem. Kiedy czytamy, że „Był Idealny przestał sobie wystarczać”, przyjmujemy wdzięczne i przekorne zaproszenie do rozważania tajemnicy nad tajemnicami. Kiedy czytamy żartobliwe zdanie, iż „Duszę się miewa”, słyszymy w nim parafrazę znanej formuły Cypriana Norwida o poecie, którym się bywa, i dokonujemy z poetką przeglądu istotnych albo nieistotnych wymiarów egzystencji. A kiedy czytamy wiersz pt. *Bagaż*

*powrotny*, koronkowa lekkość zdań ustępuje miejsca kamiennej powadze starożytnej greki, która jedna jedyna „ma na to wyrazy”:

Co dopiero powiedzieć o jednym dniu życia,  
o minucie, o sekundzie:  
ciemność i błysk żarówki i znów ciemność?

KÓSMOS, MAKRÓS, CHRÓNOS, PARÁDOKSOS  
Tylko kamienna greka ma na to wyrazy.

*Chwila* jest znakomitą książką poetycką. Urodziwa i przystępna, co już samo w sobie jest fascynującą koincydencją, wymyka się krytycznej i literaturoznawczej terminologii, zostawiając w rękach rozczarowanych badaczy suchą wylinkę abstrakcyjnych konstrukcji słownych. Nie sposób ją wystarczająco skomentować, bowiem piękno i mądrość łączą się tutaj w harmonijną jedność.

Nie tylko *Chwila*, z której cytuję kilka wierszy, również każdy wcześniejszy i późniejszy zbiór wierszy Wisławy Szymborskiej znajduje „na to wyrazy”. BOWIEM o nie właśnie chodzi. Istota tej liryki jest lingwistyczna. Dla poezji bowiem język jest wszystkim. Tak jak dla człowieka. Zatem język stanowi sedno komunikacji, więc poezja nie powinna być uważana za niezrozumiałą. Przeciwnie – znajduje możliwie najprostszy wyraz dla najbardziej złożonych emocji i refleksji.

Przypominam tu oczywistości – że poezja stanowi najdoskonalsze narzędzie poznawcze, które, w dodatku, posiada pamięć i utrwała proces oraz rezultat poznania. By go aktywizować, wystarczy odczytać zapis. Spostrzeżenie to ma zresztą szerszy charakter i odnosi się do całej literatury, czyli do jej pozostałych rodzajów – prozy i dramatu. To jednak osobny wątek, więc go porzucmy.

Skoro wiersz jest najlepszą postacią rozmowy (komunikowania się), przejdźmy do następnych przykładów.

## Historia ludzi

Jednym z wczesnych, a najlepiej rozpoznawalnych wierszy poetki są *Dwie mały Bruegla*:

Tak wygląda mój wielki maturalny sen:  
siedzą w oknie dwie mały przykute łańcuchem,  
za oknem fruwa niebo  
i kąpie się morze.

Zdaję z historii ludzi.  
Jąkam się i brnę.

Mały, wpatrzona we mnie, ironicznie słucha,  
druga niby to drzemie –  
a kiedy po pytaniu nastaje milczenie,  
podpowiada mi  
cichym brząkaniem łańcucha.

Wiersz ukazał się drukiem w zbiorze *Wołanie do Yeti*, w roku 1957. Ówczesny polski czytelnik mógł odczytać go na kilku planach. Jako nawiązanie do znanego obrazu, którego autorem był Pieter Bruegel starszy. Jako sennie przekształcona scena egzaminu dojrzałości, czyli sprawdzianu kończącego edukację na poziomie szkoły średniej, uprawniającego do wstąpienia na uniwersytet. I, wreszcie, jako opis najtrudniejszej próby, czyli wytłumaczenia się człowieka z przeszłości swego gatunku. Ten ostatni wątek miał dla krajowego czytelnika również aluzyjną aktualizację polityczną. W poinczie wiersza mały z obrazu niderlandzkiego mistrza, na pytanie o „historię ludzi”, bezradnej egzaminowanej „podpowiada [...] cichym brząkaniem łańcucha”.

W roku 2016, czyli sześćdziesiąt lat po powstaniu tego wiersza, ukazał się tom korespondencji Wisławy Szymborskiej i Kornela Filipowicza, dwójga pisarzy, wybitnej poetki i znakomitego prozaika, zatytułowany *Najlepiej w życiu ma Twój kot*. Pierwszy list – właściwie liścik – wysłał Kornel Filipowicz i jest to przesyłka, która od razu podaje tonację całości zbioru, określa poetykę, rozwijającą się i wzbogacającą w miarę trwania korespondencji. W kopercie znajduje się jedno zdanie, data (18.04.1966), trzy zdjęcia mały z krakowskiego zoo oraz rysunek długopisem i podpis: „kwiatek od mężczyzny”.

Dlaczego akurat małpy? Komentarza w listach nie znajdziemy, choć motyw powróci w kolejnym liście, z grudnia 1967 roku, kiedy Filipowicz dołączy kartkę ze zdjęciem małpy z berlińskiego ogrodu zoologicznego i napisze: „To jedyna małpka, jaką udało mi się znaleźć w całych Niemczech Wschodnich”. (Zauważmy – nie: NRD, jak brzmiał oficjalny skrót nazwy tego państwa).

Tytuł wspomnianego zbioru korespondencji *Najlepiej w życiu ma Twój kot* jest, rzecz jasna, cytatem z listu poetki (5.10.1968), która przeszło dwadzieścia lat później napisze wyciszony i przejmujący wiersz pt. *Kot w pustym mieszkaniu*:

Umrzeć – tego się nie robi kotu.  
Bo co ma począć kot  
w pustym mieszkaniu.  
Wdrapywać się na ściany.  
Ocierać między meblami.  
Nic tu niby nie zmienione,  
a jednak pozamieniane.  
[...]  
Ktoś tutaj był i był,  
a potem nagle zniknął  
i uporczywie go nie ma.

Do wszystkich szaf się zajrzało.  
Przez półki przebiegło.  
Wcisnęło się pod dywan i sprawdziło.  
Nawet złamało zakaz i rozrzuciło papiery.  
Co więcej jest do zrobienia.  
Spać i czekać.  
[...]

### Persony, liryka roli

Liryka roli, kreowanie person, które monologują w wierszach poetki, powoływanie do życia postaci, co jest oczywistą właściwością prozy narracyjnej, należą do niepowtarzalnego stylu tej poezji. Narratorami lirycznych monologów są nie tylko zwierzęta, jak kot czy pozornie milczące małpy, albo pies z przejmującego wiersza pod tytułem *Monolog psa zaplątanego w dzieje*. Są również dzieci, na przykład w wierszu *Mała dziewczynka ściągła obrus*, a także, oczywiście, dorośli. Czasem są to anonimowi „jacyś ludzie”, innym razem

konkretni, kojarzący się z wyrazistymi wizerunkami społeczno-psychologicznymi, jak stary profesor z wiersza pod takim właśnie tytułem.

Charakterystycznym znakiem firmowym tej poezji jest empatia, przenikanie wyobraźnią cudzej świadomości, również empatia dla zwierząt, jedność z naturą, kreowanie albo odgadywanie innych, niehumanocentrycznych punktów widzenia. Te literackie zabiegi mogą wydawać się nadrealistyczne – półtoraroczna dziewczynka nie jest zdolna do monologu wewnętrznego, który wymaga dojrzałości językowej i werbalizacji autorefleksji, podobnie jak osierocony kot czy postrzelony przez człowieka pies. Jest tu pewien nadrealizm w znaczeniu techniki literackiej stwarzającej sytuację wypowiedzianego monologu oraz jego precyzyjnej formy, natomiast poznawcza i emocjonalna treść owych monologów jest bezpośrednio komunikatywna.

*W Monologu psa zaplątanego w dzieje* czytamy na przykład:

Tylko mnie wolno było  
z głową na jego kolanach  
dostępować głaskania i tarmoszenia za uszy.  
Tylko ja mogłem udawać przy nim, że śpię,  
a wtedy on się schylał i szeptał coś do mnie.

Komentarz interpretacyjny jest tutaj zbędny i nawet uogólnienia, jakie wypowiedziałem nieco wcześniej, na przykład o przenikaniu wyobraźnią „świadomości” zwierząt, wydają się niepotrzebnym dopowiedzeniem.

Wisława Szymborska zmarła w roku 2012. Opublikowany w roku 2005 tom poetycki pod tytułem *Dwukropek* zakończyła tekstem zatytułowanym *Właściwie każdy wiersz*. Oto fragmenty:

– Właściwie każdy wiersz  
Mógłby mieć tytuł „Chwila”.

Wystarczy jedna fraza  
w czasie teraźniejszym,  
przeszłym a nawet przyszłym;  
[...]  
wystarczy, że jest mowa  
o kimś obok kogoś  
[...]

o Ali, co ma kota,  
albo już go nie ma;

albo o innych Alach  
kotach i nie kotach  
z innych elementarzy  
kartkowanych przez wiatr;  
[...]

Zawodowi komentatorzy literatury, do których – zasadnie czy nie – jestem zaliczany, często dodają niepotrzebne dopowiedzenia. Jednak pouczony przez Poetkę, iż „wystarczy jedna fraza”, na zakończenie przywołam znaną klasyczną sentencję, której pełny sens czasami nam umyka.

„*Habent sua fata libelli*” – mawiali starożytni za Terencjanem, autorem z III wieku (Terentianus Maurus). Jak podają Henryk Markiewicz i Andrzej Romanowski w *Skrzydlatych słowach*, jest to skrót od zdania, które w tekście tego autora poetyki, zatytułowanej *De litteris, syllabis et metris*, brzmi: „*Pro captu lectoris habent sua fata libelli*”. Co znaczy: Los książek zależy od pojętności czytelnika.

ANDRZEJ SZUBA

Postscripta

POSTSCRIPTUM DCCLXVII

wymilcz cokolwiek  
tylko nie bądź  
ciszą

POSTSCRIPTUM DCCLXVIII

odnaleźć znak  
co nie odsyła  
do jakiejś tajemnicy

POSTSCRIPTUM DCCLXIX

zawsze i nigdy  
dwa nietutejsze  
niegojące się słowa

POSTSCRIPTUM DCCLXX

doskonale ukryty  
we wszystkim  
co nie istnieje

## POSTSCRIPTUM DCCLXXI

to nie te słowa  
to te inne  
których już nie będzie

## POSTSCRIPTUM DCCLXXII

i najgłupszy ze znaków  
kropka  
bo wie wszystko

## POSTSCRIPTUM DCCLXXIII

a wiersz  
tak rozebrać ze słów  
żeby jeszcze znaczył

## POSTSCRIPTUM DCCLXXIV

powiedz  
jak z twojego milczenia  
wysupłać jaką taką wiarę



# TOMASZ HRYNACZ

## Czarnoziem

Gwarna czerń nad czerniami wykwita.  
I ziąb nad ziąbami zagarnia świat.

Nawet się nie zająknie. Tylko rośnie pieśnią  
powrotu. Trzeba nam było zbawić się wcześniej.

### Tak

Krąży  
i kracze  
na umór:

„To jest  
ważne,  
a tamto  
nie”.

Nie  
odnosi się  
do teraz,  
a nie do tego,  
co następnie.

I tak  
od wczoraj.  
Tak  
po dziś.

## Kolejna pełnia

Niczym trzęsienie ziemi.  
Albo bojaźń. Albo drżenie.  
Na pewno kiedyś nas wyzwoli.  
Pogrzebie. Albo wyrwie z korzeniami.

## Mru mru

Bo to mur ze słów obelżywych.  
Bo to mur z wątków ulepiony.  
Wielowyzrazowy skrypt  
pamięci o.

Bo to wielorazowa mara.  
O! Ciągnie się. Po omacku.  
A ty mów! Za! Przeciw!

KS. JANUSZ ADAM KOBIERSKI

## W drodze

Idziemy znikąd  
do celu

Wiele razy słońce wzejdzie  
wiele zim wiosen jesieni  
minie zgaśnię i powróci

A marzenia niechaj będą  
od początku aż do końca

Niech zostaną już na stałe  
i spełnią się co do joty

Jeśli nie tutaj  
to tam

Obawy zaś niech nie gnębią  
naszych baśni  
co przed nami

## Tyle

Ile otrzymałeś  
z góry

dużo  
trochę

stamtąd czasem  
przychodzi  
wielki dar

tutaj dużo  
może się zmienić  
w nic

## Odchodzą

Odchodzą dość szybko  
w kolejności tajemnej  
Pustka po nich zostaje  
nie do wypełnienia  
Nie wiem co dalej będzie  
bo czasu ciągle mniej  
Zdumienie za każdym razem  
powraca jak dzień po nocy  
Przynosi światło nadziei  
aby jej szczyptę ocalić  
która niech cieszy  
świeci choć jak poświata  
w mroku

## KAZIMIERZ BRAKONIECKI

## Widnoksiąż

Intrygujący przypadek pisarza André Gide'a (1869–1951): wywodzący się ze środowiska protestanckiego, piszący pod wpływem Dostojewskiego (jego Lafcadio z *Lochów Watykanu* to taki wymyślony zabójca, którego bezinteresowny czyn umocowany jest w oryginalnej postaci Raskolnikowa w *Zbrodni i karze*), wpłynął na kilka generacji młodych literatów we Francji w pierwszej połowie XX stulecia. Od prawicowców po lewicowców, nigdy zaś konserwatystów, bo Gide swoją świadomie homoseksualną i dandysowską postacią, jako immoralista w sferze seksualnej i obyczajowej, burzył „słuszne mieszczańskie wartości”. Jego szamotanina między niewierzącym chrześcijaństwem (albo katolicyzmem) a niewiernym komunizmem (niezłomnie bronił praw jednostki oraz sztuki do niezależności) stała się charakterystyczną i uczuciowo autentyczną drogą do poznania meandrów psychiki zachodnioeuropejskich pisarzy wrażliwych na kwestie społeczne i polityczne. Zaskoczony zostałem tym, że zapisy w jego dziennikach charakteryzują się emocjonalną szczerością oraz nieustanną amplitudą nastrojów – od akceptacji po negację systemów wiary (teologicznej i ideologicznej).

Zaglądam do moich notatek z oryginalnych dzienników André Gide'a, które czas najwyższy przełożyć i wydać w Polsce. Podaję kilka charakterystycznych o tej tematyce ideowego uwiedzenia. Odmówił jednak przystąpienia do Francuskiej Partii Komunistycznej jak i do jej literackich awatarów

artystycznych. W 1936 roku Gide z kilkoma innymi pisarzami lewicowymi zaproszony zostaje do ZSRR, gdzie przebywa dziewięć tygodni (Moskwa, Lenin-grad, Morze Czarne). Oczywiście wyprawa jest kontrolowana i odpowiednio spreparowana, wręcz luksusowa. Pisarz dostrzega dużo pozytywów (głównie w żarliwości ludzi młodych), ale dostrzega też atmosferę strachu, poddaństwa oraz przemożny kult Stalina. Po powrocie publikuje swoje zapiski *Retour de l'URSS*, które nie są totalną negacją rzeczywistości ZSRR, ale mimo wszystko krytycznym osądem systemu sowieckiego opartego na bezwzględnym posłuszeństwie i terrorze. Komunizm to religia państwowa, a Gide boi się doktrynerstwa. Książeczka rozczarowuje komunistów, przysparza mu wrogów, ale i sympatyków z kręgu niesystemowych lewicowców, antystalinowców, trockistów.

Gide'a do komunizmu, albo lepiej do utopii komunistycznej, przekonali bardziej racje uczuciowe niż intelektualno-ideowe. Twierdził, że to ewangelie doprowadziły go do akceptacji komunizmu, a nie marksizm, którego zresztą zupełnie nie znał. W końcu uznał, że despotyczny ustrój realizowany w ZSRR nie pasuje do Francji i Zachodu, a sam państwowy marksizm sowiecki to taki inny Kościół wyznawczy i doktrynerski. Warto w tym miejscu dopisać zjadliwą uwagę Czesława Miłosza o francuskich lewicowych intelektualistach: „Literat, uciekający stamtąd [czyli z komunistycznego Wschodu – to mój dopisek], gdzie dojrzewa Jutro (jeżeli ustrój jest tam zły, to i tak dostatecznie dobry dla barbarzyńców), był winien towarzyskiego nietaktu, a jego społeczna pozycja w Paryżu wahała się pomiędzy pozycją rzeźmieszka i hochsztaplera”.

Oto kilka jego (zmiennych) uwag na ten temat:

„24 lipca 1931

Chciałbym głośno wykrzyknąć moją sympatię dla Rosji: i żeby mój krzyk został wysłuchany, i miał swoją wagę. Chciałbym żyć wystarczająco długo, aby ujrzeć sukces tego ogromnego dzieła; sukces, któremu życzę z całej duszy i nad którym chciałbym pracować. Ujrzeć to, czego może dokonać Państwo bez religii i społeczeństwo bez rodziny. Religia i rodzina są dwoma najgorszymi wrogami postępu.

25 lutego 1932

Czytam z najwyższym zainteresowaniem nową mowę Stalina, która dokładnie odpowiada na moje zarzuty, na moje obawy (mowa z 23 VI 1931); łączę się z nią więc z całego serca. [...].

27 lutego

Że społeczeństwo kapitalistyczne szukało oparcia w chrześcijaństwie – to jest potworność, za którą nie jest odpowiedzialny Chrystus, lecz kler. Kler tak dobrze zaanektował Chrystusa, że wydaje się dzisiaj, że nie można pozbyć się kleru, jak tylko odrzucając Chrystusa wraz z nim. [...].

13 czerwca

Ale komunistą z serca równie dobrze jak i z ducha byłem zawsze; nawet pozostając chrześcijaninem. To dlatego z trudnością oddzielam jedno od drugiego i tym bardziej z trudnością je przeciwstawiam. [...].

23 września

Może dlatego życzę sobie komunizmu, bo zniweczyłby mój komfort życia (inni właśnie tego się boją).

7 lutego 1940

I powoli dochodzę do przekonania, że kiedy uważałem się za komunistę, byłem chrześcijaninem, jeśli można być chrześcijaninem, nie wierząc. Jednakże i katolicyzm, i protestantyzm stawiają powyżej wszystkiego warunek *sine qua non*: Wiarę”.

W zapiskach z 15 stycznia 1945 roku, które ponownie są objawem podziwu dla Stalina jako geniusza zwycięskiej wojny, dodaje, że „nie ma bez wątpienia kraju na świecie, do którego chciałbym bardziej powrócić” (do Związku Radzieckiego). Są w nim błędy i wady systemowe, jak hierarchiczność, brak wolności słowa i myśli, sam to przecież wykazał w swojej relacji, ale podobną krytykę wymierzyć można i trzeba w kraje kapitalistyczne. Poza tymi „brakami wszystko tam podobało mi się!”. Gide pozostał chwiejny i sprzeczny w swoich poglądach, a raczej uczuciach, które nie odzwierciedlały w żaden sposób realiów życia w Związku Radzieckim.

W 1954 roku do Związku Radzieckiego pojechał ówczesny stalinowski komunistą i egzystencjalista Jean-Paul Sartre. Francuska Partia Komunistyczna należała do najbardziej ślepo oddanych Sowietaom lewicowych organizacji w zachodniej Europie. Po powrocie, w odróżnieniu od Gide’a, ogłosił, że w Związku Radzieckim panuje „totalna wolność słowa”. To nie tylko „pożyteczny idiota”, ale i niebezpieczny sługa totalitaryzmu: „sami na siebie kręcą sznur, na którym ich powiesimy” (Lenin).

Z obfitych i fascynujących dzienników Gide'a, które rzeczywiście trzeba przetłumaczyć, wypisuję zapiski o sferze religijnej. André Gide jako pierwszy we Francji przyznał się oficjalnie i literacko, że jest homoseksualistą. Kiedy Proustowi (też przecież homo) napomknął, że w pamiętnikach pisuje o swoich homoseksualnych przygodach, autor *W poszukiwaniu straconego czasu* wykrzyknął z przerażeniem w głosie: „Może pan wszystko opisać, ale pod warunkiem, że nigdy pan nie użyje zaimka Ja!”. Proust jasno się wyraził, że miłość poznał i uprawiał jedynie z mężczyznami oraz wyraził przekonanie, że Baudelaire też był homoseksualistą.

„25 stycznia 1916

Mogę wierzyć w Boga, wierzyć Bogu, kochać Boga, i całe moje serce mnie tam kieruje. Mogę poddać swój umysł sercu. Ale, na litość, nie szukajcie dowodów, argumentów. Tam zaczyna się niedoskonałość człowieka, a ja czuję się doskonały w miłości. [...].

23 czerwca

Radość, radość... Wiem, że sekret twojej Ewangelii, Panie, zasadza się na boskim słowie: Radość. [...]. Każdy chrześcijanin, który nie dosięga radości, czyni mękę Chrystusa bezużyteczną i przez to nawet ją powiększa.

6 listopada 1927

Jestem niewierzący. Nie będę nigdy bezbożnikiem.

2 czerwca 1942

Od momentu, kiedy pojąłem, że Boga nie ma, że On się staje i że od każdego z nas zależy, aby się stawał, odrodziła się we mnie moralność. Żadna bezbożność, żadna zarozumiałość w tej mojej myśli, ponieważ przekonałem się, że Bóg dopełnia się jedynie poprzez i w człowieku. [...]. Bóg tworzący człowieka, aby być stworzonym przez niego. Bóg celem człowieka, chaos podniesiony przez Boga aż do człowieka, potem człowiek podnoszący się aż do Boga.

15 maja 1949

Nie wierzę w duszę oddzieloną od ciała. Wierzę, że ciało i dusza stanowią jedność. [...].

Wierzę, że nie ma dwóch oddzielnych światów: duchowego i materialnego. [...]. To są dwa aspekty tego samego i jedynego uniwersum”.



## STEFAN CHWIN

### Korona-dziennik 2020 (2)

Sobota, godzina 8.45

Właśnie przypomniałem sobie, jak to za młodych lat poszliśmy w pewną niedzielę na przełaj przez lasy z Niedźwiednika do Doliny Radości.

...najpierw nasypem dawnej kolei pod pochylonymi sosnami, potem przez białe ruiny wiaduktu w Brętowie, potem przez osiedle na wzgórzach pod lasem, potem przez las, który się tu zaczynał, a kończył pod Osową.

...więc idziemy przez las w niedzielny dzień, pora wczesna, ciepło, niedziela, a las się nam przygląda oczami wilgi, która przysiadła na jarzębinie i patrzy na nas przez liście?

Jesteśmy młodzi, silni i szczęśliwi. Trzeci rok studiów, czerwiec. Po włosach K. przepływają słoneczne plamki, przesiane przez korony sosen. W liściach jarzębiny migoce słońce, ale liście nic o tym nie wiedzą, zajęte umykaniem w cień.

Mówię do K.: – Już nie pamiętam, jak dawno temu tutaj byliśmy.

– Ja też nie – odpowiada K.

Ale las nie potrafi powtórzyć żadnego z naszych słów. Jest doskonale niemy, chociaż pełen głosów. Wilga chce przeciąć cieniutkim gwizdem naszą rozmowę? Miękki mech przylega do stóp, kiedy zdejmujemy buty. Idziemy boso po chłodnej, wilgotnej ścieżce. Las cofa się przed nami. Drzewa zachowują rozsądną odległość od naszych ramion. Nieufność, która nas otacza, jest śpiewna i szumiąca.

Idąc przez las, rozmawiamy cicho, żeby nie spłoszyć czegoś, czego nie widzimy. Czasem się śmiejemy. Las naśladuje nasze śmiechy, ale nieudolnie, jakby mu na tym nie zależało. Zmienia je w trzask gałązki pod stopą i chruchy chrząst bucynowego orzeszka, który pęka cicho jak oddech.

Wiemy, że życie jest trudne do zniesienia, ale teraz znosimy je z żarłoczną radością. W oczach K. widzę dobry blask, kiedy wchodzimy w chłodny cień pod wielkimi choinami, za którymi otwiera się żółta leśna łąka.

Mijamy strumyk z bursztynową wodą, który znika pod przewróconym pniem czarnej olchy. Klon udaje, że nam sprzyja, gdy K. ręką strąca z liści

zimne krople, które spadają na wierzch mojej dłoni. To pozdrowienie, które nas łączy z lasem, ptaki zagłuszają śpiewem, jakby chciały nam coś odebrać. K. podaje mi chusteczkę, ocieram dłonie z mokrego igliwia. Patrzę na nią pod słońce. Brzoskwiniowy pył na szyi, różowe ucho, włosy na ramieniu, które dotykam policzkiem. Jest nas więcej niż drzew w lesie, chociaż ścieżka przed nami pusta.

Nasza śmierć czmychnęła w jałowce. Do widzenia, do widzenia na zawsze! Jesteśmy zajęci życiem, wchodzimy na łąkę, układamy się na ciepłej trawie, wygodnie, z rękami pod głową, parę kroków od strumienia. Łąka zupełnie nie bierze nas pod uwagę, zajęta patrzeniem w niebo. Leżąc na wznak, patrzymy razem z nią w głęboki błękit. K. bierze na palec biedronkę z pochylonej trawy i pozwala jej przejść na moją dłoń. Na chwilę oblewa nas światło dzieciństwa, gdy mały owad odlatuje z cichym bzyknięciem jak wirujące ziarnko maku.

Otoczają nas ściany bukowego i sosnowego lasu. Łąka zamknięta z czterech stron leszczynami i głogami podaje nas słońcu na rozgrzanej tacy. Powietrze dzwoni brzękiem dzikich pszczoł. Mrużymy oczy, patrząc na jaskółki, które przecinają wysokie niebo, nie zostawiając śladu na błękitcie.

Dopiero po chwili K. podnosi się, sięgając po sukienkę, rzuconą na rumianki. Zasłania się.

- Zobacz – mówi szeptem, kiwając głową w stronę zarośli. – Tam ktoś jest.
- Gdzie? – podnoszę się na łokciu.
- Tam, pod sosnami.

W gąszczu dostrzegam ludzkie oczy, które na nas patrzą. Za gałęziami rokitnika zastyga cień.

Wstaję.

- Hej, ty! – krzyczę w stronę zarośli. – Zjeżdżaj stąd!

W zaroślach trzask gałązki, szum odgiętej gałęzi, prędkie kroki na igliwiu. Ktoś ucieka w głąb lasu.

K. szybko zakłada sukienkę.

- Szedł za nami przez cały czas?
- Pewnie szedł – odpowiadam, wciągając koszulę przez głowę.
- Ciekawe – K. sznuruje tenisówki – czy miał aparat fotograficzny.

Wracaliśmy do domu piaszczystą drogą pod brzożami. Zza białych pni dobiegał dźwięk dzwonów oliwskiej Katedry i coraz bliższy szum niedalekiego miasta. K. śmiała się do mnie, przeskakując na drugą stronę strumienia, za którym świeciło wzgórze szeroko otwarte na naszą obecność. Pod brzożami

szumiącymi szliśmy w stronę miasta, silni, młodzi i szczęśliwi. Było nam wszystko jedno, czy nas widział, czy nie.

Było nam dobrze i spokojnie.

A on? Ten samotny, co uciekał w głąb lasu? Szedł za nami cały czas? A teraz uciekał z naszą słoneczną nagością w oczach, która utkwiała w nim jak paląca drzazga?

Dzisiaj bardzo chciałbym zobaczyć zdjęcia, które pewnie zrobił z za liści rokitnika, gdy czał się pod sosnami.

Czwartek, godzina 23.23. Skromna pochwała pogardy

Do tramwaju wsiadłem o szóstej. Za oknami miasto, szyldy, światła, neony, wieczór wczesny, szarawy, na skrzyżowaniach pod wiaduktami metropolitalne pióropusze tramwajowych iskier, fajerwerki turkusowe, złote cyfry reklam na murach, litery z purpury i srebra! A w tramwaju tłok. Wchodzę. Znajduję sobie miejsce przy oknie. Siadam. Patrzę przez okno. Jadę.

A na przystanku koło Galerii Bałtyckiej do tramwaju wsiada staruszka. Podpierając się laską, wchodzi do wagonu. Staje dwa kroki ode mnie.

Młodzi nie ruszają się ze swoich miejsc, siedzą sobie wygodnie, udają, że jej nie widzą, grają sobie na komórkach, w uszach dudni głucha muzyka ze słuchawek. Wagon kołysze. Trzęsie. Postukuje. Oni siedzą. Ona stoi. Wyciąga rękę. Szuka oparcia. Przymyka oczy ze zmęczenia. Wreszcie osiąga nikłowanej poręczy. Udało się! Głębiej oddycha. Chwyca!

A ja? O, nie! Nie ma tak dobrze! Ja, urodzony w połowie ubiegłego stulecia, siwobrody weteran codziennej wojny o życie, skromny rekordzista sztuki przetrwania, mistrz chwilowej nieśmiertelności – bo już dwa metry pod piachem leży połowa moich rówieśników – wstaję teraz z mojego wygodnego tramwajowego siedzenia, chociaż wcale nie muszę wstawać. Podchodzę do niej, biorę ją uprzejmie pod rękę i z uśmiechem podprowadzam powoli do miejsca, gdzie przed chwilą siedziałem. – Niech sobie pani usiądzie – mówię do niej. – Niech pani sobie odpocznie. – Ona siada na moim miejscu, odpowiadając uśmiechem za uśmiech. Kiwa głową, dziękuje. Twarz jak wysuszona gruszczyca, rozjaśniona, w kącikach oczu zmarszczki, rude plamki na skroniach, włosy żółtawosiwe, spięte miedzianą klamerką w kok, dłonie gruzełkowate, oplecione błękitnymi żyłami, szyja jaszczurkowata, kolana chude jak kostki gołębia po sukienką z czarnego jedwabiu, a na kolanach czarna torebka z klamerką.

Cóż to? Wstałem, bo litość mnie wzięła? Współczucie dla starości bezbronnej, chudziutkiej, drobniutkiej? Serce mięciutko zagrało mi w piersiach katoliczką nutą czułości dla słabych, chorych, wykluczonych? Ja – dobry Samarytanin? A skądże! Więc niby dlaczego wstałem, chociaż siedziało mi się tak wygodnie? Mały moment szczęścia? Że chociaż siedziało mi się tak wygodnie z ładnym widokiem na miasto, przesuujące się za tramwajowym oknem, jednak – na przekór im wszystkim – podniosłem się, wstałem, podszedłem, podprowadziłem, posadziłem?

Rozpiera mnie przez chwilę cicha, leciutka, piankowa pogarda dla tych, co nie wstali? Że jednak nie jestem taki jak oni, co sobie siedzą i udają, że nie widzą żółtawosiwej? Słodko-gorzka cieszy mnie radość z tego, że nie jestem do nich podobny? Mała rozkosz z niepodobieństwa?

Patrzę w głąb wagonu. W głębi, za grupką uczniów z oliwskiej piątki, którzy – wygodnie rozparci na plastikowych siedzeniach – głośno o czymś gadają, wymachując mocno rękami, widzę, stoi... kto? Gombrowicz! Spokojny, zmęczony, stary. W jasnym garniturze, pod krawatem w kropki, z laską czarną, lśniącą pod pachą. Patrzy w okno z ręką opartą na niklowanej poręczy. Na wskazującym palcu – złoty sygnecik z rubinowym oczkiem. A obok niego stoi – Bruno Schulz, nieduży, w przeciwdeszczowym płaszczu, w kapeluszu nasuniętym na czoło, w brązowych półbutach z żółtym czubkiem, z szalikiem moherowym, błękitnym, okręconym wokół szyi. Trzyma się niklowanej rury, bo wagon dość mocno kołysze. Na chwilę odwraca głowę w moją stronę. Nasze spojrzenia spotykają się. Uchylam kapelusza, ale on nie odpowiada na mój ukłon, jakby zupełnie nie widział mnie, choć oczy ma żywe, wilgotne?

Kiedy na uniwersytecie spotykam Stanisława R., opowiadam mu o tym, co mi się przydarzyło w tramwaju koło Galerii Bałtyckiej, na co Stanisław R. tylko kręci głową.

– Czyś ty zwariował? Ty w swoim dzienniku wystrzegaj się takich słów jak pogarda! Broń Boże, ty nigdy nie wypowiadaj takich słów! Ty się masz ludziom podobać! Zjednywać ich ku sobie! Pogodnym, uśmiechniętym, miłym dla wszystkich być! Bo jak będziesz pisarzem, który pogardza, to komu ty będziesz smakował! Ty w swoim dzienniku bądź taki, by ciebie ludzie chcieli zjadać po kawałeczku jak rurkę z kremem! I prosili o jeszcze! Ty masz być pisarz sma-ko-wi-ty! Rozumiesz?

A ty na dodatek brzydko wyrażasz się o młodych. Że niby jesteś od nich lepszy, bo wstałeś, kiedy oni nie wstali. Czyś ty zwariował? Ty młodym kłaniaj się w pas, czapkę przed nimi zdejmuj, bo oni mają w garści twoją przyszłość.

Ty odleciś sobie w chmury, znikniesz pod płytą nagrobną, a oni zostaną i taką ci zmalują opinię, że się nie pozbierasz. A ty w swoim dzienniku odgrywasz jakiegoś surowego, tramwajowego Katona! Sądzisz, oceniasz, drwisz, karcisz! I jeszcze się wynosisz! Ty się zastanów!

Niedziela, godzina 13.43. Początek i koniec

Właśnie wróciliśmy znad morza. Cóż za piękny spacer! Pustka niebieska nad ciemną wodą Zatoki, bo dzień bezchmurny, wędrowanie wzdłuż brzegu mokrym piaskiem z Jelitkowa do Brzeźna, dziury po obcasach, do których napływa słona woda, wiatr od strony półwyspu, chłodne policzki, blizny białych chmur nad Mierzeją Wiślaną, na krańcu nieba błękitniejące okręty. A ponad sosnami nadmorskiego lasu – pokręconymi, z jasną, rudawą korą – daleka wieża kościoła Cystersów w Oliwie. Teraz siedzę przy oknie w pokoju na Morenie. Widzę morze i las. Pisząc ołówkiem na pustej kartce, wiem, że mogę ją w każdej chwili zniszczyć.

Religia? Każda religia zabija tajemnicę. Kto wierzy, że Kosmiczny Ojciec kiedyś stworzył wszechświat, unicestwia samą ideę Nieskończoności. Trzymając się kurczowo wiary w Początek, uznajemy nieskończoność za jednokierunkową, biegnącą od chwili początku ku przyszłości – jak autostrada ginąca we mgłę. Niestety, nieskończoność jednokierunkowa przestaje być prawdziwą nieskończonością. Bo prawdziwa biegnie w obu kierunkach. W przyszłość i w przeszłość. Tymczasem większość religii przekonuje nas, że wszechświat ma początek i koniec. Skończy się malowniczym sądem lub kosmicznym pożarem – to znaczy kresem ostatecznym, więc nawet ta nieskończoność, która biegnie przed nami w daleką przyszłość jak autostrada we mgłę, wcale nie jest w pełni nieskończona.

Religia zamyka wszechświat na żelazną kłódkę końca i początku.

Jeśli jednak wszechświat nie miał żadnego początku i nie będzie miał żadnego końca? Nic bardziej obcego idei nieskończoności niż obraz Potężnego Garncarza, który najpierw lepi wszechświat, a potem, po upływie stosownej liczby tysięcy, wszechświat rozbija w pył, bo już go istnienie wszechświata znudziło. My, ludzie, stworzyliśmy sobie taki obraz Potężnego Sprawcy końca i początku dlatego, że nie jesteśmy w stanie pojąć, czym jest nieskończoność prawdziwa? Nienawidzimy wszechświata za to, że – inaczej niż my sami – umie być w swojej nieskończoności całkowicie suwerenny? Nie potrzebuje żadnego początku i końca, bo istniał, istnieje i będzie istniał zawsze?

Prawie wszystkie religie nienawidzą idei samoistnego i suwerennego wszechświata, który istniał zawsze i będzie istniał zawsze. Dlatego muszą stworzyć obraz Garnarza stwarzającego i potem niszczącego wszechświat. Być może w tej nienawiści wyraża się nasze ludzkie pragnienie, by nieskończony wszechświat został sprowadzony do statusu rzeczy zależnej, zrobionej przez kogoś, a więc skazanej na czyjąś łaskę. Łaska stworzyła wszechświat po to, by go w stosownej chwili zniszczyć.

Robienie zaś z Metafizycznego Sprawcy, lepiącego wszechświat, kogoś podobnego do człowieka jest wyrazem naszej ludzkiej pychy. Kto umieszcza Metafizycznego Sprawcę na samym początku wszystkiego, upodabiając go do Kosmicznego Rzemieślnika, kieruje się nienawistną zazdrością do wszechświata, który – inaczej niż my, ludzie – nie potrzebuje żadnych narodzin i dlatego nie musi się bać żadnej śmierci? Prawie wszystkie religie zapewniają, że wszechświat jest śmiertelny. Nie istniał zawsze i nie będzie istniał zawsze. Zaczął się i skończy. Obsesja końca i początku jest istotą religijnej wyobraźni.

Stwarzając obraz Sprawcy początku i końca, pragniemy wszechświat pozabawić nieśmiertelności, to znaczy symbolicznie zemścić się za naszą własną ludzką śmiertelność? Bo czy potrafimy wszechświatowi wybaczyć, że on – inaczej niż my, ludzie – nigdy nie umrze, więc nie musi bać się śmierci, tak jak my się boimy? Dlatego religie upierają się przy obrazie wszechświata śmiertelnego, który musi umrzeć dokładnie tak samo jak my, zabity ręką Kosmicznego Sprawcy, który go powołał do istnienia?

Religia odbiera wszechświatowi nieśmiertelność po to, by obdarzyć nią – nas? Przekonuje, że wszechświat ma swój początek i koniec, więc jest śmiertelny i od razu dodaje, że my, ludzie – inaczej niż wszechświat – jesteśmy nieśmiertelni, bo nawet jeśli umrzemy, nasza dusza nie umrze nigdy? Wszechświat kiedyś umrze, nie będzie miał zatem żadnego życia po śmierci, ale my będziemy żyli po śmierci zawsze?

Myśl taka bardzo poprawia ludzkie samopoczucie. Wielki Sprawca potrafi stworzyć wszechświat i zniszczyć go w finale dziejów, ale ten sam Wielki Sprawca, który potrafi zniszczyć cały wszechświat, nie jest w stanie unicestwić słabiutkiej ludzkiej duszy, bo – jak uczą religie – ona z definicji jest nieśmiertelna. Kto wierzy w nieśmiertelność duszy, może uwierzyć, że jest potężniejszy od całego wszechświata, gdyż wszechświat musi kiedyś umrzeć, a my sami – jak stanowczo zapewniają nas religie – nie umrzemy nigdy, bo będziemy żyć po śmierci nawet wtedy, gdy wszechświata nie będzie.

Można jednak wyobrazić sobie wszechświat, który kiedyś umrze sam, bez niczyjej pomocy. Po prostu postanowi nie istnieć. I zniknie. Piękna idea! Żaden Sprawca początku i końca nie będzie potrzebny. Po prostu kosmiczna przestrzeń rozszerzy się w pustą, nieskończenie rozrzedzoną przezroczystość. I zniknie jak rozszerzająca się, pękająca mydlana bańka.

A czy może być coś bardziej nieskazitelnie pięknego niż to tajemnicze zniknięcie Wszystkiego w przezroczystej Nicości, która kończy się na zawsze i przechodzi w zupełną nicość? Zachwycający obraz – jak ze świętego, dziecięcego snu.

Środa, godzina 13.53. Nareszcie – ulga!

Zgęszczenia materii nazywane ludźmi. Materia zmuszona do bycia przez siedemdziesiąt lat człowiekiem. Jak plastelina ściśnięta w kształt głowy, ramion, bioder. Uwięziona w worku z żywej skóry. Przez siedemdziesiąt lat cierpliwie czekająca na rozsuniecie spojeń i szwów. Potem przychodzi ta godzina i spojenia puszczają. To, co było ściśnięte w kształt głowy, ramion, bioder, rozluźnia się. Powraca do swojej prawdziwej formy. Po przymusowym wtłoczeniu w formę ludzkiego ciała protony, neutrony, elektrony ulatują w powietrze. Kości rozsypują się w srebrny pył. Włosy kruszą się jak rdza. Cóż za ulga! Nareszcie!

Atomy, z których jesteśmy zrobieni, są nieśmiertelne. Istniały zawsze i będą istnieć zawsze. My się zmieniamy, umieramy, one nie umrą nigdy. I zawsze będą takie same. Bo one nie wiedzą, co to czas. Istnieją poza czasem. Nigdy się nie zestarzeją. Zawsze będą tak młode, jak na początku, o ile był jakiś początek. Chociaż my starzejemy się i umieramy, one nie biorą udziału w naszym starzeniu się i umieraniu. Niby umierają razem z nami, ale wcale nie umierają. Nasze umieranie zupełnie ich nie dotyczy. Pozwoliły nam przez jakiś czas żyć. Są tym, z czego zostaliśmy zrobieni. Ale nasze ciało nigdy nie było ich ciałem. Siedziały na swoich miejscach w piersiach, w głowie, w sercu, jak rój ptaków w koronie drzewa. Kiedy umrzemy, śmierć je sponszy. Odfruną na wszystkie strony lekką chmurą. Z ulgą, że już nie muszą być nami? Z ciekawością, czym będą po nas? Z przeczcuciem, co zostanie z nich jeszcze zrobione? Ziarnko piasku? Kropla wody? Listek jarzębiny? Ileż to przygód czeka je w nieskończonej historii wszechświata, która może nie mieć żadnego końca ani początku!

Szczerze życzę im śmierci takiej samej jak nasza. Niech zginą, niech przepadną, niech umrą, jak my. Ale nawet rozbicie atomu nie unicestwi go. To, z czego zostaliśmy zrobieni, nigdy nie dowie się tego, czym jest śmierć, chociaż miliony razy w naszej śmierci będzie uczestniczyć.

Wtorek, godzina 12.54. Dziesięć minut

Stoję przy oknie, które wychodzi na północ. Patrzę na morze.

– Hej, chodź tu – wołam do K.

– Co takiego? – K. podnosi oczy znad Internetu. Promienie słońca pięknie obrysowują jej głowę. Rozżarzona linia rozjaśnia włosy, spięte perłową klamerką.

– Chodź szybko, zobacz, żaglowiec na morzu – odsuwam od oczu ciężką sowiecką lornetę, którą dostałem od synów.

– Gdzie?

– O, tam. – Podaję jej lornetę.

– Ładny – mówi K., dłużej patrząc przez szkła na białe żagle i maszty nad białym kadłubem, który sunie po morzu niebieskociemnym.

– Wiesz – K. oddaje mi lornetę – umarł wczoraj pan P-ocki. A pani P-ocka, jak usłyszała od córki, że mąż nie żyje, umarła dziesięć minut po tym.

– O Boże, jak ja bym tak chciał. – Kręcę głową, chwytając K. za rękę.  
– Umrzeć dziesięć minut po tobie. Boże, jak ja bym chciał.

Piątek, godzina 18.33. Jeleński i my

Właśnie przeczytaliśmy list Jeleńskiego do Miłosza z 26 grudnia 1984, w którym Jeleński napisał: „Zabawne dla nas jest zainteresowanie młodych Polaków, intelektualistów, historią rodzin, genealogiami itd. (którymi za młodu tak pogardzaliśmy). Stefan Chwin (najoryginalniejszy moim zdaniem krajowy »gombrowiczolog«) przywiózł mi uczoną książkę Henryka Łowmiańskiego: *Studia nad dziejami Wielkiego Księstwa Litewskiego* – po prostu dlatego, że Jeleńscy figurują w indeksie... Odkryłem, że figurują w nim również Miłoszowie (»vel Miłoszewicze«) i posyłam Ci fotokopię tych stron (o Jeleńskich dlatego, że zabawnie ich łączy z Giedroyciami...).”

Uśmialiśmy się do łez. Niestychane! On zrobił fotokopię stron z książki Łowmiańskiego i wysłał do Miłosza! I jeszcze wypisuje, że ja, Stefan Chwin, jestem zainteresowany jakimś genealogiami! A to po prostu wszystko przez K. Tak! Po prostu przez nią! Bo kiedy w 1984 przyjechaliśmy do Paryża, zajrzeliśmy – z listem polecającym od Jana Błońskiego – na rue de la Vrillière 8, gdzie



Jeleński mieszkał na pierwszym piętrze ze zwariowaną malarką Leonor Fini, i kiedyśmy już sobie trochę pogadali przy herbacie i winie na kanapie rokokowej o naszych głowach – jak on powiedział – grottgerowskich, K. nagle wyjęła z papierowej torby książkę Łowmiańskiego, o której ja w ogóle nie wiedziałem. Szast-prast i podała ją Jeleńskiemu, który aż zatańczył na palcach z rozkoszy pośrodku pokoju w zamszowych mokasynach, kiedy – natychmiast kartkując – znalazł wzmiankę, że jest spokrewniony ze sławnym Giedroyciem! Miłośz krewniak – to była dla niego mała sprawa, ale Giedroyc! Oho ho! I ona to wszystko wymyśliła, z Polski przywiozła Łowmiańskiego w tajemnicy przede mną, żeby Kota zadziwić i uradować! Tańczył przed nią tak, jak mu zagrała! Na palcach, w jasnobrązowych mokasynach na perskim dywanie, w wielkim pokoju z gipsowymi sztukateriami i kryształowym żyrandolem, którego okna wychodziły na rue de la Vrillière!

Sobota, godzina 21.12. Kiedy rozmawiałem z Herbertem

Kiedy rozmawiałem z Herbertem – miał wtedy wykłady na Uniwersytecie Gdańskim – mrużąc w jakiejś chwili zmęczone oczy, powiedział do mnie: – Ironia jest patronką pokonanych.

Ale jaką wartość mają takie stwierdzenia wypowiedziane tonem mocnej pewności?

Mistrzem szyderczej ironii nie był żaden pokonany, tylko Józef Stalin, którego raczej trudno nazwać pokonanym. Podobną ironią przepelnione były mowy zwycięskiego Hitlera. Ironia Goebbelsa była miażdżąca.

Chociaż może w głębszym sensie Herbert miał rację?

Bo do pokonanych zaliczamy się wszyscy?

Ironia byłaby zatem formą życia, bez której żywe białko nie może sobie poradzić na Ziemi?

Kiedy to mówię, K. mówi, że nie lubi mojego sarkazmu.

Ale sarkazm został wymyślony przez ludzi nie bez powodu. Do czegoś to było niezbędne naszemu gatunkowi.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

## Fragmenty murów obronnych (5)

Między wydmami w stronę światła. Drewniany podest. Wir błysków i blasków. Łączenie się, mieszanie i przenikanie. W nieustannej wymianie, w toku.

Pod urwiskiem wąski pas zalewany falami. Światłne smugi i ciemne pasma cieni. Za Wejściem 31 pieniek, kilka kijów i gałęzi, siedemdziesiąt siedem kroków od brzegu.

Szare i białe obłoki. Ich nachodzenie na siebie, nakładanie się i znikanie, przepływ.

Skraj sosnowego lasu, droga i ścieżki w głąb. Pryzmy pni, żółtozielone trawy i rojowiska wrzosów.

Na koniec cypla i w morze. Na rufie, w zacinającym deszczu. Wiatr, mgła, łśnienia i iskry. Pusty port, wraki zatopionych okrętów, bojki i pływy. Zwrot i kurs w kierunku cieśnin, w przestrzeń.

Reda, czarne kadłuby statków i płynący od Gdyni żaglowiec.

Przez las, na skos, do Wejścia 32. Po trzydziestu trzech stopniach w dół i w stronę Dębek.

Wzgórza i mury Żarnowca. Cmentarz, kruchta, chrzcielnica i kraty. Wejście przez krużganek, wirydarz, furta i do środka. Gwiazdźiste ośmioprzęsłowe sklepienie, łuki wsparte na konsolkach, rzeźby, malowidła i stare płyty nagrobne. Barokowy ołtarz z obrazem Zwiastowania i balustrada. Chór ze stallami, ambona, rokokowe drzwi, feretron i organy.

Na kamieniu, nad strumieniem przy Wejściu 36 Osieki. I w leśnym zakątku, na mostku i na rozdrożu, głosy ptaków.

Z prawej ciemna ścieżka porośnięta wrzosami i z lewej jasna, wijąca się wśród wyblakłych traw.

Przepaść otchłani i przesuwanie się do niej. Bezsilność, strach, rezygnacja. I ratunek.

Połamane jarzmo drewniane i jarzmo żelazne.

Zjawa, jej milczenie i zniknięcie.

Pożegnanie i dar, wpuszczenie do środka.

Przedemną, jakby w otoczce zorzy, w ciemności.

Otchłań i jego oczy.

Gorzkie zmienione w słodkie, piołun w miód.

W słowach, w głowie, i w milczeniu, na zewnątrz, na wyciągnięcie ręki. Początek, rozwinięcie i otwarcie.

Przejście na drugą stronę, powrót.

Tam i z powrotem.

Ze słowami, w tej pustce, nie w pustkę.

Nie sam i nie sam z siebie, bo co to znaczy sam z siebie, ale z nim, z nimi i z nich, tak połączeni, w związku.

Nie odrzucony, ale przyjęty i zostawiony. We wspólnym działaniu, odczuwaniu i współczuciu, z pasją.

Nie wśród złotych i srebrnych cielców, które są mamidłem i zagładą.

Nie w ich twardych kamiennych wnętrzach, w których duch ledwie zipie, ale w kruchym.

Wyprowadzony, żeby już nie wracać, bez złudzeń i oczekiwań.

W otwartych bramach skierowanych na południe, na zachód, na wschód i na północ.

W fosach, w międzymurzu, na przedzamczu i na wewnętrznym dziedzińcu.

Na murach, w wieży, nad strugą, przy stawie komtura, obok młyna i wejścia do szpitala, w którym w dniu i godzinie śmierci Zbawiciela na ten świat.

Pod murami, na nadbrzeżu i nad rzeką.

Porwany tam i uratowany.

Wtedy gdy w nim zobaczyłem siebie, to znaczy siebie zobaczyłem w nim, odbitego czy obecnego, w jego słowach i w głosie, w głowie, w myślach i w sercu, odbitego czy obecnego. Tak, jakby mówił przeze mnie lub ja przez niego, on przeze mnie i ja przez niego, jakby ten sam głos, w dwóch głowach, brzmiał, uzupełniał się i uzupełniał, w środku i na zewnątrz, psuł szyki i snuł swoje, stawał się jednym, czy to nie wspaniałe, w tych wspaniałych chwilach, jakby na przecięciu, skrzyżowaniu.

A może jest jeszcze ktoś, jakiś trzeci, który spaja i spina, sumuje, oczyszcza i dąży do kulminacji.

On, ja i ten trzeci, lub wszyscy trzej, w jednym głosie, w jednym dążeniu.

Z nimi, z nich i przez nich. Ze słowami w głowie, zgadując rytm i tok, w tych ruinach i w przeprawie na drugi brzeg, żeby stamtąd patrzeć.

Doświadcz tego na własnej skórze, w środku i na zewnątrz, w działaniu.

Po tej i po tamtej stronie, w ciemności, w szarości i w świetle.

Nie zajmuj się słowami, które nie mają mocy. Nie snuj się po manowcach, nie szukaj gruszek w popiele.

Obchodź mury, patrz na wieże i mów do niego, do siebie i do nich, choćby te same słowa, codziennie, nie przestawaj, w świetle, jakie jest, w jasności.

W każdej chwili może się skończyć, nawet w tej najbliższej, nie wiadomo.

Nie słuchaj tych, którzy mówią, że nie ma złego. Nie bądź mądry ich mądrością i przebiegły ich przebiegłością. Są kłamstwem i sidłem.

W jednym błysku głupstwo może stać się mądrością, a mądrość pełnym wstydu głupstwem, przebiegłość prostotą, a prostota pełną podstępem przebiegłością.

Drzwi nie są zamknięte i można wejść do środka.

To co zostało z dawnej potęgi i świetności.

Gruzy.

Punkt wyjścia.

Na nową drogę.

Z ogniem, który żarzy się w ciele.

W przemianach, w oczyszczaniu się i odnowie.

Rozpoznając, co jest dobre i kierując się tam.

Resztki krużganków, otwarte na niebo cele ze śladami łuków, sklepień i belek stropowych, niskie i wysokie przejścia, cokół z gzymsem i kamiennymi narożnikami Wieży ostatniej obrony (Werthurm).

Rozbite blendy, sterczyny, szczyty, kolumny, podpórki i przypory, wnęki, wyrwy, przerwy i luki.

Granitowa kolumna, ostrołukowe otwory i przybudówki we wschodnim i w zachodnim narożu. Zamurowana brama w wieży bramnej i nowa wykuta w kamiennym murze.

Cela w kształcie rombu z wyjściem na dziedziniec i z drugiej strony pod ganek Gdaniska (Dansker), obok na planie trapezu z rozkątą ścianą od strony kapitulacza i prostokątna, w otwartej amfiladzie.

Schowany w nich i skryty, odgradzony od gęstej i ściślej zabudowy, oddzielony tak i oddalony, jak dawniej.

We wschodnim i w południowym skrzydle, w przejściach przez kapitulacz, kaplicę, refektarz i dormitorium.

I w celi komtura, sześć na pięć kroków, ze śladami po łukach i chropowatym murem, na którym para gołębi.

Dwadzieścia pięć stopni do góry, trzydzieści trzy kroki na ganku na arkadach z siedmioma oknami z jednej i siedmioma z drugiej strony, wysoki próg i do środka. Zapach smoły i płótna. Dziesięć na dziesięć kroków i dziewięć okien z widokiem na mury, strugę i rzekę. W rogach linie nieostrych łuków, u góry belki, na podłodze skrzypiące deski. Z prawej i z lewej co kilka sekund zapalające się i gasnące światło.

W dół, do piwnic, w ciemności i w mroku. Oświetlone stropy i leżące pod ścianami zworniki, słuźki, wsporniki, kapitele, kawałki kolumnienek, balustrad i żeber sklepiennych.

Kto podtrzymuje i podnosi na duchu?

Znak, który wskazuje drogę, nie siebie.

„Całe życie się z nim porównywałem”.

Nie raz wyśmiewali się z tego i będą się wyśmiewać.

Widzę, jak służą swoim bożkom, kręcą się wokół nich, czczą i wychwalają,  
na darmo.

Nie wiedzą, że sieją wiatr, który ich zniszczy?

Przecież schną, a nie rozkwitają.

Gliniany dzban i to, co jest w środku.

Glina w ręku garncarza.

## LESZEK SZARUGA

### Dobrze o złu (4)

Sjoerd L. Bonting w swoich poszukiwaniach nie wydaje się skłonny do przekroczenia granicy zakreślonej przez chrześcijaństwo. Trochę inaczej zdaje się widzieć problem Steven J. Dick, także związany z NASA, gdzie zajmował się badaniem wpływu możliwych form życia w meteorytach z Marsa, który w szkicu *Kosmoteologia. Nowe ujęcie* pisze: „Niezależnie od tego, czy inteligencja jest rzadka, czy powszechna, czy życie jest niższego, czy wyższego rzędu niż *homo sapiens*, ludzkie przeznaczenie jest ściśle związane z ewolucją kosmiczną. [...] Sądzę, że w następnych stuleciach lub tysiącletniach religie będą się musiały dostosować do tych kosmoteologicznych zasad. Taka adaptacja będzie najlepsza dla tych religii, które postrzegają człowieka jako obraz Boga (judaizm, chrześcijaństwo i islam), jako wzajemnie jednoznaczny relację z jednym Bóstwem. Mniej bolesna będzie dla religii Wschodu, które głoszą zbawienie raczej dzięki indywidualnemu oświeceniu (buddyzm i hinduizm) niż za pośrednictwem Zbawiciela lub które są raczej z tego (konfucjanizm) niż z tamtego świata. Nie będzie to adaptacja do fizycznego świata jak w kopernikanizmie ani do świata biologicznego jak w darwinizmie, dla którego człowiek pochodzi od małp, lecz pozostaje na szczycie ziemskiego świata. Adaptacja nastąpi raczej do wszechświata biologicznego lub nawet pobiologicznego, w którym inne inteligencje będą nas prawdopodobnie przewyższać. [...] W każdym razie w miarę jak dowiadujemy się coraz więcej o wszechświecie i naszym miejscu w nim zarówno pod względem fizycznym, jak i biologicznym, w sferę teologii nieuchronnie i coraz usilniej wkracza świadomość kosmiczna”.

Czym jest owa „świadomość kosmiczna”? Dickowi chodzi zapewne o wyzbycie się pewności, że człowiek – dokładniej: *homo sapiens* – jest jakby centralnie uprzywilejowanym inteligentnym bytem wszechświata, być może też jakąś formą przejściową, w każdym razie nieszczególnie wyróżnioną. Jeśli konsekwentnie przyjąć taką postawę, to również należy założyć, że nasze pojmowanie rzeczywistości, w tym także kwestii religijnych, może być jeśli nie błędne, to w każdym razie wykreowane na błędnych przeświadczeniach, wśród których znane nam mity są na swój sposób „peryferyjne”. Nie należy wykluczyć, że przyjmowanie, iż człowiek stworzony jest na obraz i podobieństwo Boga, to być może jedynie metafora oraz że opowieść o „grzechu”



pojmowanym jako zło i tym samym wymagającym zbawienia to mylna interpretacja nieznanego nam, a nieudolnie „skopiowanego” przez piszących teksty biblijne „metatekstu”.

Jeśli zatem przyjąć, że z jakichś powodów nasze pojmowanie świata i Boga jest opaczne, wówczas można też założyć, że kwestie dobra i zła nie są właściwie postawione. Pomysł, że zło jest brakiem dobra, podważa zdanie Kanta, mówiące, że człowiek „mimo samych dobrych uczynków” może być zły. A zatem możliwe jest myślenie o tym, że ze zła powstaje dobro. W notatkach *Dziennika* Roberta Musila pojawia się zapis projektu (?) eseju:

II. D r u g i s t a n jako zasadniczy stan etyczny.

Pisarz i kierunek.

Pisarz i socjalizm.

Nieunikniony dodatek w postaci zła.

Zło jako siła napędowa i zasada porządkująca.

Wcześniej zaś pisarz mierzy się z problemem mniej enigmatycznie: „Każdemu z nas co innego wydaje się dobre, a co innego złe: to jest mniej ważne, mieści się bowiem w systemie płaszczyzn etycznych. Ale to tak, jakbyśmy musieli powiedzieć o jakiejś rzeczy: jest wilgotna, nie, jest tylko śliska albo może gładka, albo zimna. Na tym polega istota doznania etycznego. Nie chodzi w nim przede wszystkim o wartość, tylko o jakość stanowiącą dla niej oparcie. I nawet gdyby wartościowania dokonywało coś ogólnego w nas, to przecież najpierw trzeba by ustalić, co ma podlegać wartościowaniu! Ale jak mamy oceniać działania, przekonania itp.? Jak je rozumieć?”.

Uwagę – przynajmniej moją – przyciąga temat sformułowany w zapisie: „Zło jako siła napędowa i zasada porządkująca”. Można z tego wnioskować, iż da się pomyśleć dobrze o złu – że może ono mieć moc kreacyjną i być zarazem z a s a d ą wprowadzającą ład. Ale też od razu pojawiać się muszą pytania dotyczące tego, ku czemu jest skierowana owa moc kreacyjna i o jaki rodzaj ładu może chodzić, ład jako taki bowiem nie musi wszak być w każdej swojej postaci pożądany.

\*

Pytanie o to, skąd pochodzi zło, jest, przynajmniej od postawienia tej kwestii przez Leibniza („*Si Deus est, unde malum? Si non est, unde bonum?*”), jedną z tych kwestii, które, w miarę upływu czasu i potęgującego się okrucieństwa połączonego z procesem sekularyzacji, stają się źródłem refleksji nad ludzką tożsamością zdaną na samą siebie bądź zaplątaną w różewiczowski paradoks,

powiadający, że – zarazem – życie bez boga jest możliwe i życie bez boga jest niemożliwe. Właściwie jest to upadek wszelkiej teodycei, zaś ponowienie pytania prowadzi do sarkastycznego żartu, jak w utworze Piotra Mitznera *Głupi wiersz*:

skąd zło?  
nie pytaj bo  
co to da

pytaj:  
dokąd zło  
dopokąd?

okaże się  
w praniu

duch się  
ukáže  
w pralce  
i powie  
to słowo

W ostateczności rozwiązaniem okazuje się utożsamienie zła z sobą – tak należy chyba rozumieć początek wiersza *w tunelu biegnę do ciebie* Anny Matysiak:

przecież zło musi mieć jakiś dom i to  
może być mój dom.

Istnienie zła zatem można po prostu zaakceptować, zaś pytanie o jego źródło uznać za bezprzedmiotowe bądź bezpodstawne. Zło w skrajnym ujęciu można zapewne oczyścić czy pozbawić statusu abstrakcyjnej kategorii wartościującej, wyjąć niejako ze sfery etyki i uczynić obiektem poznania moralnie neutralnym. W takim wypadku pytanie o to, skąd jest zło, należy zastąpić pytaniem o to, czym ono jest. Odpowiedź powiadająca, że jest „brakiem dobra” w świetle kwestii postawionej przez Musilą wydaje się problematyczna – jeśli bowiem uznać, że jest „siłą napędową i zasadą porządkującą”, a zatem nacechowaną pozytywnie, wówczas brak dobra zdaje się nie mieć

żadnego znaczenia, zarazem też przeciwstawienie dobra i zła uznać należałoby za nietrafne. Byt dobra staje się bowiem poznawczo równoważny bytowi zła. Przy czym taką postawę trudno uznać za manichejską, gdyż eliminuje kwestię walki dobra ze złem, co nie unieważnia przekonania, iż ilościowa przewaga dobra nad złem jest w świecie czymś pożądanym. W kategoriach moralnych natomiast oceniać można pożądanie dobra i dążenie do eliminowania zła. Przy czym to drugie nie musi stanowić konsekwencji pierwszego: zwiększenie ilości dobra nie oznacza zmniejszenia ilości zła.

Zastanawiająca wydaje się przy tym asymetryczność relacji między dobrem a złem: o ile bowiem, jak wspomniałem, zwiększenie ilości dobra nie oznacza zmniejszenia ilości zła, to przecież, tak przynajmniej to odczuwam, zwiększenie ilości zła musi oznaczać zmniejszenie ilości dobra. Odczucie to skłania ku przeświadczeniu, że raczej zło niż dobro warte jest namysłu nad jego naturą. A to dlatego, że, jak się zdaje, wyeliminowanie zła – jeśli w ogóle możliwe – jest dużo trudniejsze i bardziej skomplikowane niż wyeliminowanie dobra. Nie można też wykluczyć, że – ujmując rzecz skrajnie, ale zarazem prześmiewczo – zło stanowi niezbywalny, nieredukowalny składnik wszelkiej egzystencji, co oczywiście nie musi oznaczać, że sama egzystencja jest złem, choć można podejrzewać, że zło ją sankcjonuje i jest, jak chce Musil, jej „siłą napędową i zasadą porządkującą”, jest zatem koniecznością bytu. Przy czym dla artysty, dla poety jest to kwestia o tyle drugoplanowa, iż może, jak czynił to choćby w *Kwiatach zła* Charles Baudelaire, usytuować się w *Hymnie do Piękna* (przekład Krzysztofa Jelenia) poza dobrem i złem:

Nieważne czy cię niebo, czy żar piekła począł,  
Jeśli, o Piękno, straszny niewinny potworze,  
Dzięki Twoim uśmiechom, krokom oraz oczom  
Bramę nieskończoności tajemnej otworzę.

Nieważne czyś jest tworem Boga, czy Szatana,  
Jeżeli ujmiesz – wróżko o oczach z weluru,  
Rytmie, blasku, zapachu, królowo kochana –  
Światu trochę ohydy, życiu trochę bólu.

W tym też sensie można, przyznając rację Musilowi, powiedzieć, że zło staje się siłą napędową sztuki przez to, iż inspiruje działania artystyczne stawiające mu opór i pozwalające na ujmowanie, zmniejszanie jego ilości, co nie oznacza eliminacji zła jako zasady bytu. W tym też rozumieniu rację należy

przyznać Mitznerowi, gdy pisze, że pytanie *unde malum* jest bezprzedmiotowe, co tym bardziej skłania do powtórzenia za Barbarą Skargą: „Może zatem lepiej nie pytać o zło, lecz o to, jak z nim walczyć, ukazując jedynie rozmaite jego przejawy”.

\*

Zło jednak fascynuje, choćby przez swą niepochwytność, wielokształtność i nieoczywistość. Gdy się bowiem nad tym zastanowić, okaże się, że nie do końca umiemy powiedzieć, co jest złem, choć wiemy doskonale, że ono jest, doświadczamy jego obecności zarówno w sobie, jak i poza sobą. Powstają o tym uczone rozprawy, opasłe traktaty, objaśnienia i tłumaczenia. Coraz lepiej chyba rozumiemy, że nie może ono być bezosobowe, że nie objawia się samo z siebie, lecz jest „z człowieka / zawsze z człowieka / tylko z człowieka”.

Ale czym jest? O tym wiemy bardzo niewiele, jeśli w ogóle cokolwiek wiemy, zwłaszcza wówczas, gdy próbujemy rezygnować z oparcia w religii. Tak, jak sądzę, myślał Jan Strzelecki, gdy pisał w *Próbach*: „Jeżeli mówimy, że Piece są złe, że są hańbą człowieczeństwa, jeśli potępiamy je i brak nam gromu, który by jawnie okazał, że potępienie nasze jest potępieniem powszechnym, to dajemy tylko wyraz swemu partykularnemu oburzeniu, które nie ma nic wspólnego z językiem świata; nie uczestniczy ono w osądzie uniwersalnym, nie dostępuje godności wyroku, przeciwko któremu nie ma odwołania. Nie ma ludzkiej wspólnoty, w imię której sąd taki, sąd powszechny, dla wszystkich obowiązujący, można by wypowiedzieć. Oni wypowiadają sąd inny i nie ma trybunału, który by władał prawdą i mieczem”.

Strzelecki przywołuje przykład skrajny, drastyczny – nie bez powodu. Ale właśnie dzięki temu ma on moc uniwersalną. Gdy się zastanowić, wówczas dość czytelnym staje się przecucie, że w sprawie zła nie chodzi o „człowieka”, lecz o ludzi, o wspólnoty i pojawiające się między nimi relacje zgody lub niezgody. Zło nie jest problemem indywidualnym – problem zła pojawia się w przestrzeni spotkania z innymi ludźmi. Interesujące natomiast, że w tej samej przestrzeni sprawa zaczyna wykraczać poza relacje międzyludzkie, tworząc w dodatku układ asymetryczny, w którym kwestia dotycząca postępowania człowieka wobec „innych” stworzeń lub obiektów – zwierząt lub środowiska naturalnego – może zostać i bywa uznawana za czynienie zła. O ile bowiem w odniesieniu do zachowań ludzkich – podejmowanych na ogół świadomie i celowo – można stosować kategorię zła, o tyle przenoszenie jej w świat zewnętrzny wymaga ostrożności, jaka towarzyszyła Konradowi Lorenzowi, gdy zdecydował się na zatytułowanie swej książki formułą *Tak zwane zło*.

PIOTR SZEWC

## Z powodu i bez powodu (60)

Bez tytułu i daty (LII)

Śniło mi się, że pisarz XY zadaje mi trudne pytanie, marszczy brwi i wpatruje się we mnie świdrującym wzrokiem. – Miłosz czy Gombrowicz większym pisarzem jest? – Za XY z walizką w ręce stała jego żona w kapelusiku. Usiłowała przerwać egzamin i zniecierpliwiona powiedziała do męża: – Jak nic spóźnimy się na samolot do Paryża. – Z obawy, że obleję egzamin i żeby dać sobie chwilę do namysłu, zacząłem coś mówić o Różewiczu. – Ale ja nie o to pana pytam. – XY zatrzepotał rękami. – Miłosz czy Gombrowicz większym pisarzem jest? No już, bo nie mam czasu... – Nie miałem gotowej odpowiedzi, ale wybawiła mnie żona XY. – Chodź już, dokończysz, jak wrócimy – powiedziała do męża. – Taksówka czeka.

„Kiedy pomiędzy podręcznikiem hodowania pieczarek i rozprawą dokorską o niezycie kiszek znajduje się tom sonetów aptekarzowej z Krosna, gdy dzieła wielkie i małe, mądre i głupie sąsiadują na jednej stronicy, wówczas dopiero pojmuję, że nie tylko dokonanie literackie jest ważne, ale i że chęć dokonania jest chwalebna. Z sześciu Estreicherowskich tomów, obejmujących całe piśmiennictwo polskie XIX wieku, gadają składnie i niezdarnie, mądrze i głupio, w dobrej i złej sprawie, podle i szlachetnie ludzie jednego ze mną języka i tej samej ziemi wychowańcy” – Paweł Hertz, z eseju *Z powodu wznowienia Bibliografii Estreicherów*.

Wymazywanie (się).

Choć nigdy nie byłem w Werbkowicach i Woźuczynie, to te dwie nazwy towarzyszyły mi od najmłodszych lat. Zamojszczyzna i jej okolice znana jest z żywnych ziem, na których świetnie plonują buraki cukrowe. W obu miejscowościach mieściły się cukrownie, Werbkowice i Woźuczyn pojawiały się więc w rozmowach i lokalnych gazetach. Początki cukrowni w Woźuczynie – powiat tomaszowski, gmina Rachanie – datują się na 1911 rok. Ostatnia kampa-  
nia cukrowa odbyła się w niej w roku 2005, rok później cukrownię zamknięto.

Cukrownia w Werbkowicach – powiat hrubieszowski, gmina Werbkowice – powstała już za mojego życia, w roku 1963. Oparła się rozkradaniu i „sprzedaży”. Nadal działa, wchodząc w skład Krajowej Spółki Cukrowej.

Nudzie jest dobrze ze sobą. Żyje bez planów, niczego nie jest ciekawa, ma dużo czasu.

Cóż za przykra nieobecność we Wrzeszczu: nie ma białych gołąbków, które obserwowałem z okna na ulicy Wyspiańskiego. Również dla nich przyjechałem tu także w tym roku. Zostało wejście do pustego gołębnika pod dachem garażu. A po białych gołębiach ani śladu.

Na ulicy Wyspiańskiego mijam troje zbieraczy złomu. Kobieta zatrzymuje się, szuka papierosa. – Ja pracuję w opiece społecznej – mówi. – A to załatw mi rentę – prosi ją jeden z mężczyzn. Ona na to: – Jak się ładnie uśmiechniesz.

Gombrowicz ma *Jaśnie panicza*, a co – kogo? – będzie miał Iwaszkiewicz?

1 października – 1967 przypadków zakażenia koronawirusem, nowy rekord dzienny. Pomyślałem o roku 1967. Mieszkałem wtedy w Tomaszowie Lubelskim, za rok miałem iść do szkoły.

ARTUR SZLOSAREK

## Notatki do zapomnianych podróży (5)

Zaczernione strony. Spontaniczny remanent

Jak może pamiętamy, bo przecież nie pamiętamy bez zastrzeżeń i wyjątku wszyscy, że nie wystarczy powiedzieć, ba, nawet wykrzyknąć, że dwa razy dwa to pięć – trzeba w to jeszcze bezwzględnie uwierzyć, bo, jak wiadomo, wiara przenosi góry i w inny wymiar. Wiara. A za nią zaraz nadzieja. I najważniejsza – miłość. Dwa razy dwa. Jeden. Siedem. Pięć.

Pan tu nie stał, zwracam panu uwagę,  
że nigdy nie stał pan za nami  
murem, na stanowisku naszym też  
pan nie stał, już nie mówiąc, że na naszym czele  
nie stał pan nigdy, pan tu nie stał, panie,  
nas na to nie stać, żeby pan tu stał  
obiema nogami na naszej ziemi, ona stoi  
przed panem otworem, a pan co,  
stoi pan sobie na uboczu  
wspólnego grobu, panie, tam jest koniec,  
nie stój pan w miejscu, nie stawiaj się pan, stawaj  
pan w pąsach na szarym końcu, w końcu  
znajdzie się jakieś miejsce i dla pana.

**Stanisław Barańczak**, *Tryptyk z betonu, zmęczenia i śniegu*

Wiemy (i to – bez cienia wątpliwości), że w XX wieku człowiek radziecki był największym odkrywcą na świecie. Wyciągnął Amerykę z kapelusza, poleciał w kosmos, zastosował rubla transferowego i *last but not least* odkrył schizofrenię bezobjawową. Wygląda na to, że z tego ostatniego korzystamy skwapliwie od wczoraj. Niemal na każdym kroku. Codziennie z nową siłą zaskakiwani chorobą bezobjawową, wyrachowaną siostrą rozdwojenia, objawiającą się poprzez szczególnie dotkliwe tudzież dalekie od ujawnienia objawy, których nie był w stanie wyniuchać, przyczajonych pod umykającą postacią naszego

świata, zwartych oraz gotowych, chociaż nie nosił chirurgicznej maski na połowę twarzy, Stanisław Bareja, ten pierwszorzędny diagnosta, który pozostawił nam w spadku poprzeczkę na oszałamiającej wysokości, kręcąc *Misia*. To, że „nie ma tego złego, co by na jeszcze gorsze nie wyszło”, to jedna z najważniejszych oznak tej choroby, którą starał się przepracować Witkacy – najważniejszy, tuż obok Norwida, Leśmiana i Kafki, wirus mojej najwcześniejszej, w miarę już rozgarniętej i literackiej, młodości.

„Obozy rodzą się zatem nie ze zwyczajnego prawa (a jeszcze mniej, jak można by sądzić, z przekształcenia i rozwoju prawa penitencjarnego), ale stanu wyjątkowego i stanu wojennego. Staje się to jeszcze bardziej ewidentne w przypadku nazistowskich *Lagern*, których źródła i reżim prawny są dobrze udokumentowane. Wiadomo, że podstawą prawną internowania nie było zwykle obowiązujące prawo, ale *Schutzhaft* (dosłownie: areszt ochronny), prawna instytucja prawa pruskiego, którą nazistowscy prawnicy z czasem uznali za polityczny środek prewencji, bowiem pozwalał on na »objęcie dozorem« jednostek, niezależnie od tego, czy popełniły przestępstwo, czy nie, którego wyłącznym celem było zapobieżenie zagrożeniu bezpieczeństwa państwa. Początki *Schutzhaft* sięgają pruskiej ustawy z 4 czerwca 1851 roku o stanie obłączenia, której zasięg obowiązywania w 1871 roku został rozciągnięty na terytorium całych Niemiec (z wyjątkiem Bawarii), oraz jeszcze wcześniejszego pruskiego prawa o *ochronie wolności osobistej* (*Schutz der persönlichen Freiheit*) z 12 lutego 1850 roku, które znalazły szerokie zastosowanie w trakcie pierwszej wojny światowej i w czasach chaosu panującego w Niemczech po podpisaniu traktatu pokojowego. Nie należy zapominać, że pierwsze obozy koncentracyjne w Niemczech nie były dziełem nazistowskiego reżimu, ale rządów socjaldemokratycznych, które w 1923 roku, po proklamowaniu stanu wyjątkowego, nie tylko internowały tysiące czynnych komunistów na podstawie *Schutzhaft*, ale również w Cottbus-Sielow stworzyły *Konzentrationslager für Ausländer*, który »gościł« przede wszystkim żydowskich uciekinierów ze wschodu i który może być uznany za pierwszy obóz dla Żydów w XX wieku (nawet jeśli nie był to, oczywiście, obóz zagłady). Prawną podstawą dla *Schutzhaft* było ogłoszenie stanu obłączenia lub stanu wyjątkowego, któremu towarzyszyło zawieszenie artykułów konstytucji niemieckiej gwarantujących swobody osobiste. Artykuł 48 konstytucji weimarskiej głosił bowiem: »W wypadku poważnego naruszenia lub zagrożenia bezpieczeństwa publicznego i porządku Rzeszy Niemieckiej Prezydent Rzeszy może poczynić konieczne



zarządzenia w celu przywrócenia publicznego bezpieczeństwa i porządku, a w razie potrzeby uciec się do pomocy siły zbrojnej. W tym celu może on przejściowo zawiesić zupełnie lub częściowo prawa podstawowe, ustanowione w artykułach 114, 115, 117, 118, 124 i 153 niniejszej Konstytucji». Od 1919 do 1924 roku rządy w Weimarze wielokrotnie ogłaszały stan wyjątkowy, który czasem przeciągał się i trwał aż pięć miesięcy (na przykład od września 1923 do 28 lutego 1924 roku). Kiedy naziści doszli do władzy i 28 lutego 1933 wydali *Verordnung zum Schutz von Volk und Staat* – który na czas nieokreślony zawieszał artykuły konstytucji dotyczące wolności osobistej, wolności słowa i zgromadzeń, nietykalności mieszkania, tajemnicy korespondencji i rozmów telefonicznych – nie czynili z tego punktu widzenia nic innego, jak tylko kontynuowali utrwaloną praktykę poprzednich rządów”.

**Giorgio Agamben, *Homo sacer. Suwerenna władza i nagie życie*,  
przełożył Mateusz Salwa**

Niemożliwe stało się naszym ciałem; faktem („świat rozpada się na fakty”), który najtrudniej przyjąć do jasnej (i coraz mniej naszej) wiadomości. Poeta, uznany (przez „cyrkiel kreślący kwadrat”) za nieuleczalnie chorego, który mieszkał trzydzieści sześć lat pod czułą opieką cieśli, znalazł na określenie tego rozpadu słowo, którego wprawdzie nie ma, ale które (już, teraz i tutaj z nami) jest: palaksz. Nie logos. Ale i nie anty-logos. W dniu dzisiejszym Scardanelli, bo to również trochę o nim (cieśla nazywał się Zimmer i miał dwie śliczne córki, Charlotte i Christine), nie patrzyłby na pokonane fakty z wysokości wieży; zostałby on w trybie natychmiastowym oraz bez dwóch zdań własnych (bowiem „sąd ostateczny to sąd doraźny”) wyleczony z szaleństwa, porządkującego światy stworzone i niestworzone, ażeby w chwilę potem, ale już jako Johann Christian Friedrich Hölderlin, zostać zabrany na niezobowiązującą przejażdżkę po dolinie nadzwyczajnie („zaprawdę powiadam wam”) pięknego Neckaru wypolerowaną czarną trumną o napędzie elektrycznym, będącą własnością jednego z dobroczyńców ludzkości, który nade wszystko ceni sztukę. (Ale może nie były to siostry, lecz owe „położniczki Ibrejskie, z której imię jednej: Szyfra, a imię drugiej: Pua”?)

„Otwarcie soboru było imponujące. Dwie trzecie ogromnej świątyni poświęconej »jedności wszystkich kultów« były wypełnione ławami i innymi siedzeniami dla członków soboru, jedna trzecia była zajęta przez wysokie podium, gdzie oprócz tronu imperatora i drugiego – niżej, dla wielkiego

maga, a zarazem kardynała i kanclerza imperium – znajdowały się z tyłu fotele dla ministrów, dworzan i sekretarzy dworu, a z boku długie rzędy krzeseł o nieznanym przeznaczeniu. Na chórze umieszczono orkiestry, a na sąsiadującym ze świątynią placu ustawiono dwa pułki gwardyjskie i baterie armat dla oddania salw honorowych. Ojcowie soborowi odprawili już swoje nabożeństwa w różnych kościołach i otwarcie obrad miało mieć charakter całkowicie świecki. Kiedy wszedł imperator z wielkim magiem i orkiestra zagrała »marsza zjednoczonej ludzkości«, będącego międzynarodowym hymnem imperium, wszyscy uczestnicy soboru powstali z miejsc i machając kapeluszami, po trzykroć głośno zakrzyknęli: *Vivat! Ura! Hoch!* Imperator, stojąc obok tronu, wyciągnął rękę gestem majestatycznej łaskawości i przemówił głosem o dźwięcznym i przyjemnym brzmieniu: »Chrześcijanie wszystkich kierunków! Umiłowani moi poddani i bracia! Od początku mego panowania, któremu Najwyższy błogosławił takimi wspaniałymi, pięknymi sukcesami, ani razu nie miałem powodu być z was niezadowolonym; zawsze spełnialiście swój obowiązek wobec wiary i sumienia. Ale to mi nie wystarcza. Moja szczerą miłość do was, umiłowani bracia, domaga się wzajemności. Pragnę, abyście nie z poczucia obowiązku, lecz powodowani serdeczną miłością uznali mnie za swego prawdziwego wodza w każdym dziele podejmowanym dla dobra ludzkości. Ponadto oprócz tego, co czynię dla wszystkich, chciałbym okazać wam jakąś szczególną łaskę. Chrześcijanie, czym mógłbym was uszczęśliwić? Co dać wam nie jako moim poddanym, lecz jako współwyznawcom, braciom moim? Chrześcijanie! Powiedzcie mi, co jest dla was najdroższego w chrześcijaństwie, abym mógł ku temu skierować swoje wysiłki«.

**Włodzimierz Sołowjow**, *Krótką opowieść o Antychryście*,  
przełożył Juliusz Zychowicz

Imperator, opisany przez Sołowjowa, żegnającego się z życiem, jako żywo przypomina nam współczesnego księcia z bezwzględnie politycznie poprawnej bajki, rozpisywanej na jeden wspólny, zaprojektowany i niemy z zachwyty chór, który opiewa pokojową interwencję raję na ziemi. Imperator, młody, dowcipny i wysportowany, będzie już przed stu dwudziestu laty „przede wszystkim litościwym filantropem – i nie tylko filantropem, lecz także filozofem”, który „będąc wegetarianinem, zakazał wiwiskcji, wprowadził surowy nadzór nad rzeźniami i popierał na wszelkie sposoby towarzystwa opieki nad zwierzętami” – ja jednak nie byłbym takim optymistą jak narrator („jeśli raz ulegniesz złu, to przestanie ono żądać, byś w nie dalej wierzył”):

znam jedynie zakończenie tekstu. W każdym razie: coś niewątpliwie jest na rzeczy. W sto osiemnaście lat po opisanych tu wydarzeniach uczestniczę w spotkaniu autorskim Olgi Tokarczuk, które wieńczy i podsumowuje krakowski Międzynarodowy Festiwal Literatury im. Josepha Conrada. Jestem, trochę wbrew sobie, kuratorem, który traci pracę przy autorskiej oraz uskutecznianej z wysiłkiem i biedą imprezie w Berlinie (wedle inkryminowanego tekstu to właśnie tam miało się odbyć „międzynarodowe zgromadzenie założycielskie związku państw europejskich”). Znają mnie w środowisku, więc udaje mi się zająć dobre miejsce w wypełnionej po brzegi sali na piętrze Pałacu Czeczotki. Jako autor Wydawnictwa Literackiego siadam w zacnym i ścisłym gronie. Obok Małgorzata Nycz. Widzę też Krystynę Krynicką. Redaktora Popka. Sama śmietanka. Ścisk jak w Kaplicy Sykstyńskiej, tyle że sala mniej przypomina basen kąpielowy i niewątpliwie sufit wraz ze ścianami gorzej pomalowane. Strzelają flesze. Słowo wstępne głosi *ex cathedra* elokwentny, jak zawsze, Jan Kott w stroju przypominającym aktualne zestawy Zalando – ale może jestem zanadto podekscytowany? Pojawia się autorka. Brawa. Duże. Spotkanie prowadzi dzisiaj Władysław Broniewski, który mi wisi sześćset złotych... Oklaski i flesze. Kurtyny nie ma, ale gdyby tutaj była, rozsunęłaby się na boki albo podniosła. Spotkanie ciekawe. I udane. Dawno nie byłem świadkiem niewątpliwego literackiego sukcesu. Mowa głównie o biegunach, sekcje w ruchu, który jest ucieczką od zła, czyli zastoju. Że niby my wszyscy dlatego tyle podróżujemy, realnie i wirtualnie, choć to też nie mniej realne, i świat opasujemy kołem, żeby się rozpuścić w ruchu, jak wapno w szklance, kiedy atakuje alergiczny katar; więcej być w rozproszeniu, mniej w skupieniu, bo wtedy, wiadomo – inwazja, piekło i śmierć z Plutona, piekło i nie przestało, choć może w zamieszaniu pomyliły mi się planety. Jest upał, światło napiera z każdej strony, kabała pulsuje pod ubraniem, na krześle, pod skórą. Zjawiają się psy wychudłe na brzegu morza. Słońce wstaje nad Varanasi. Nathan wraca do Krakowa z Gazy. No wiem, nie tędy prowadzi droga ze Stambułu, choć wszystkie grzechy to nadinterpretacja czy – nadinterpretacja to źródło grzechu? Wody żywej – w sercu, na dzień? No nie wiem, choć na pewno Ari pisał gęsim piórem o metempsychozie. Ale oto i koniec spotkania. Autorka nie życzy sobie braw. Prosi za to publiczność o uczczenie minutą ciszy zdechłych z pragnienia, samotności i głodu psów, obsiadanych i kalanych przed upadkiem w nicość przez robaki i stada monstrualnych much nad brzegiem Oceanu Indyjskiego czy świętej rzeki Ganges – ale tu mogłem mieć pomyłkę. I co? Wstajemy. Wszyscy? Wszyscy. I milczymy. Wymownie? Bo ja wiem: niewymownie? Może dla jaj?

Z przekonania? A może teraz tak trzeba? I przyjęte? Kiedyś pochód, wszyscy artyści to prostytutki, a teraz – milczenie owiec? Nawet chyba ta cisza dłuższa była niż najdłuższa minuta. Jeszcze bez dystansu społecznego i bez zarządzania planowego – strachem przed śmiercią.

Nie zastanawiałem się na tym do tej pory, czy Witkacy wiedział, kim w mitologii był Tyfon. Kto spłodził Tyfona? Z jakiego powodu? Z kim walczył? Bo był Tyfon pół-człowiekiem, pół-zwierzęciem, zaś wzrostem i siłą przerastał zgromadzonych. Był również większy od największych gór i musiał uważać, żeby głową nie zahaczyć o gwiazdy. Kiedy wyciągał ręce, sięgał do krańców świata. Zamiast palców miał setki smoczycich łbów. Od pasa w dół wiły mu się tłuste żmije, zaś ponad ramionami uderzały o siebie potężne skrzydła. Oczy jego miotały płomienie. Czy to ważne – a jeśli tak, to jak? – że Tyfon rzucił w Zeusa Etną? Że wyciął mu spod skóry mięśnie i ukrył je w jaskini?

Płomień mi daj, Tyfonie:  
O czarny kant wieży rozbiłem serce  
I zgasła lampa,  
Co za kratą płonie.  
A w kącie stoją maskowi morderce  
I bronią króla,  
Który jadem zionie.  
Wchodzę – sztylety za mną, okna mi rozwarto,  
I czarny Anioł mignął w dalszej sali.  
Olbrzymie lustro, i sześć świec się pali,  
Prezes: Trucizno – jestem katem.  
Dusza: Jestem twoim bratem.  
Zagasły świece i deszcz w rynnach dzwoni.  
Jestem tu? W sali?  
Nie, to strach mnie dusi,  
A obłąd mnie woła: do bronii! do bronii!  
I widzę, widzę, najwyraźniej widzę, jak ktoś drzwi uchyla  
I sześciu drabów z obcęgami tłoczy...  
I sześciu drabów w zwierciadlanej sali  
Rwie mi cęgami me bezsenne oczy.

-----

Gdym się obudził, cisza była wkoło  
Tylko ulewa po rynnach wciąż dzwoni.  
Na oknie widzę, najwyraźniej widzę,  
Jesienną muchę czarny pająk goni...

**Stanisław Ignacy Witkiewicz**, *Prolog do Nowego Wyzwolenia*

## „Pracuj jak mrówka”

Poezja Agi Mishol dotyczy spraw najprostszych, jak jedzenie, picie, przytulanie zwierząt, obserwowanie roślin, wychodzenie w pole. Nawet starość porównuje się tu do psiej kupy (ze względu na budzący dziecięcą ciekawość wstręt), a kwitnący kaktus czyni się fundamentalnym problemem sztuki. Stusześćdziesięciostronicowy wybór wierszy izraelskiej poetki, urodzonej w 1947 roku w Rumunii, przynosi jednak także daleko poważniejszą wiedzę o jej twórczości (choć tego, o czym wspominałam, nie należy lekceważyć), i niezależnie od Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Zbigniewa Herberta, przyznanej Mishol w 2019 roku, stanowi wartość samą w sobie: tyle w nim oryginalnych piruetów

myślowych, wrażliwości, etycznej odwagi.

Na pierwszy polski wybór wierszy Mishol składa się ponad sto utworów z trzynastu tomów opublikowanych w latach 1972–2018. Tłumaczyły je Angelika Adamczyk, Justyna Radczyńska i Beata Tarnowska. Literatura polska zawdzięcza im nie tylko znakomity przekład poezji kobiecej, ale przede wszystkim – zręcznie utkaną opowieść o kobiecie, jej życiu, miłościach, kotach, ulubionych potrawach, rozgoryczeniu światem i fascynacji niektórymi jego fragmentami, oraz o przewrotności – ujmującego wszystko to – języka. Uderzający wydaje się przede wszystkim bezkompromisowy ton wierszy Mishol, szczególnie tych z wczesnych tomów. Ich bohaterka – kobieta-zwierzę „z dwiema dodat-

kowymi sutkami: / jedną zieloną i drugą czerwoną”, „chimera” – na oczach czytelnika dekonstruuje świat męskiej pychy i nierzeczywistych oczekiwań. Doskonale świadoma słabości ludzkich, nie marnuje czasu na walkę płci, antagonyzowanie relacji męsko-damskich, okopywanie się w feminizmie. Mimo wspomnianej odwagi, w ogóle tych problemów w poezji Mishol nie ma. Poetka „sprowadza” narrację o walce miłosnej na ziemię, by „rozpruwając” widłami wyobrażenia, przywrócić je życiu, jak w wierszu *Kobieta z widłami*.

Próba bycia w tym, co jest, ale na swoich prawach, wydaje się w tych wierszach niezwykle cenna. Nie jest to jednak próba, z której wychodzi się na każdym etapie zwycięsko. Tematem wielu utworów okazuje się bowiem – niezupełnie jasna dla czytelnika – zgoda podmiotu na nieszczerłość świata, oszustwo w miłości, neurotyczne relacje, niesprawiedliwe i bolesne dla obojga. Ale i ten problem Mishol stara się pokazać jak najprościej, ujarzmić jego absurdalność, wyśmiać. W wierszu *W hipermarkecie* spotykający się potajemnie kochankowie bawią się arbusami, by ukryć bliskość i jednocześnie uczynić ją czymś aż nadto widocznym, teatralnym. Jednocześnie drwią z siebie, zamykając swoje nieszczęsne pragnienia w klątkach

stworzonych z kulturowych stereotypów („łapiasz mnie za tyłek przy delikatesach / podczas gdy twoja żona waha się / przy nabiale”). Jednak nieodmiennie ma się wrażenie płynącej z wnętrza tej poezji siły, panowania nad sytuacją, zrozumienia wad świata. Zniechęconą, choć czuwającą kobietę przedstawia poetka w wierszu *Nokturn 1*, gdy nocą, mimo snu domowników, przemierza ona dom, choć pod jej stopami znajdują się otchłanie zmęczenia.

„Życie zrobione z życia” w poezji Mishol, jak pisze o tym poetka w jednym z wierszy, w rzeczywistości jest materią trudną do interpretacyjnej „obróbki”, z pochowanymi adresami bibliograficznymi, strzegącą inspiracji. Czytelnik pozostaje wobec wielu wierszy bezradny, wyczuwa ich afirmacyjną naturę, ograniczoną do kilku gestów, zachwytów, mrugnięć okiem, ale niezupełnie wie, czy powinien niektóre wskazówki odczytywać dosłownie, czy też raczej ma myśleć o nich niezobowiązująco. Do takich przypadków należą obrazy dotyczące zmysłowej miłości dwu kobiet, jak utwór *Odpoczywam w wierszach Safony* czy krótka proza poetycka \*\*\* (*Bardzo wysoka i smutna Japonka...*). Oba teksty, przeczące wcześniejszym zapewnieniom podmiotu o relacjach z mężczyznami, pokazują przede wszystkim kobiecą naturę w stanie swobodnego

pożądania, bez ograniczeń takich jak nieprzyzwoitość, tabu obyczajowe, wstyd, grzech. Autorka wspomina o tym częściowo jak o fantazji czy marzeniu, jednak to wyzwolenie z konwenansów, cechujące wyobraźnię artystów ustanawiających granice jedynie po swojemu, pojawia się w wielu innych miejscach jej książki na pierwszym miejscu i zdaje się zastępować w niej program.

Najwybitniejszą literacko częścią wyboru wydaje się cykl piętnastu numerowanych wierszy z tomu *Świecowe kwiaty*. Pożegnanie z Rodzicami, uzupełniony o dwa nienumerowane utwory, zadedykowany rodzicom poetki, ocalałym z Zagłady węgierskim Żydom. Cykl przynosi zupełnie nieznaną, odważny, wywrotowy portret starości, niemającej wiele wspólnego z portretami znanymi z kobiecych autobiografii tak zwanego drugiego pokolenia, czyli pokolenia artystek żydowskich urodzonych po zakończeniu wojny. W przeciwieństwie do autorek narracji drugopokoleniowych, Mishol nie pisze o zniecierpliwieniu, nie dziwi się traumom wojennym rodziców, nieustannie powracającemu tematowi obozów (w wierszu \*\*\* [*Myślicie, że już śpię...*] z późniejszego tomu *Powrót do domu*) czy wzrastającemu poróżnieniu między sobą a najbliższymi (problem mówienia różnymi

językami: „twój język ojczysty nie jest moim językiem”). Pojawiająca się we wcześniejszych książkach Mishol przyroda tutaj staje się medium między światem żywych i umarłych, dzięki czemu nieobecność zmarłych rodziców przestaje być traktowana w fundamentalistyczny sposób, typowy chociażby dla chrześcijaństwa. Sięgając do innych źródeł religijnych, jak wspomniana mitologia czy *Tybetańska księga umarłych*, poetka stwarza własne rytuały pamięci (jak blaknące, czerwone rudziki na matczynym szlafroku, lilie w ogrodzie matki, kwiaty w doniczkach czy akty zgonu, nazwane za pomocą niezwyklej metafory „papierowymi rodzicami”).

Doskonałość tej poezji – jak już wspomniałam – wyraża się w prostocie, ale jest to prostota dostępna jedynie mędrcom, zdolnym w kilku słowach ująć istotę życia, śmierci i przemijania, a przy tym przekonać jeszcze czytelnika, że mimo wszystko nie warto ulegać zwątpieniu, albowiem sposób na nie jest także oczywisty: „chcesz pisać? pracuj jak mrówka / z otchłani jakiejś woła / plu plu plu” (*Zapomnij o tym*).

Marta Tomczok

**Agi Mishol**, *Jestem stąd. Wiersze*, wybrały i przełożyły Angelika Adamczyk, Justyna Radczyńska, Beata Tarnowska, posłowie Edward Hirsch, Wydawnictwo a5, Kraków 2020



## Zanotować drobne drgnięcia

*Domy dni. Antologia osobista* to wyjątkowo obszerny wybór tekstów Krzysztofa Lisowskiego. Tekstów właśnie, a nie tylko wierszy, bo oprócz nich w tomie znalazły się także pomniejsze prozy, nieduża garść esejów, a także niedające się łatwo nazwać formy z pogranicza. Dobra okazja do podsumowania tej twórczości, ponownego spojrzenia na znane utwory i powtórzenia wybrzmiałych już kiedyś analiz i sądów? Pewnie tak, ale można też – i ja obstawałbym raczej za tą właśnie opcją – postarać się poszukać nowych otwarc, niewydeptynych przesadnie ścieżek, którymi dałoby się dotrzeć do Lisowskiego odrobinę innego, mniej klasycyzującego, mniej ponazywanego.

Gdy czytam wiersze autora *Greckiego lustra* w takiej dawce, zupełnie jasne staje się dla mnie, że najlepsze z nich są te oparte na wyraźnym konstrukcyjnym zamyśle. Kiedy konceptualny rygor spina tekst, mamy do czynienia z bardzo przekonującą, skupioną jakością poetycką. Te pomysły bywają bardzo proste, ale jednocześnie, powiedzmy, wyraźne; wszystko wisi na solidnym stelażu. Weźmy *List 44: o Szczęściu*:

jechałem nawet przez Szczęście  
gdzieś między Puławami a Zwoleniem  
w bok od Czarnolasu

szybko minęliśmy  
jego ostatnie domy  
smutne rżyska  
brzozowy zagajnik

wydawało się opuszczone  
nie trwało nawet minuty

Zasada organizująca ten tekst jest kompletnie jasna: Szczęście to nazwa miejscowości. Proste pomysły mają jednak to do siebie, że mogą działać jak gdyby w obie strony. Miejscowość Szczęście to przynęta, której możemy się naiwnie chwycić, ale możemy też wisieć między dwoma znaczeniami. Również „zwykłe” szczęście, rozumiane jako wartość abstrakcyjna – bywa i tak – nie musi trwać dłużej niż minuta, niż przejazd przez mikroskopijną wieś. Przy okazji tego tekstu warto wspomnieć jeszcze o jednej rzeczy: poeta bardzo lubi tę etykietkę listu, którą oznaczone zostają nawet teksty na pozór pozbawione jawnie epistolarnego pierwiastka. Czają się tu jednak niewypowiedziane wprost apostrofy, które dynamizują poetyckie wypowiedzi.

Gdybym chciał skrótowo uchwycić pole ideowe poezji Lisowskiego, musiałbym opisać je tak oto: konserwatywne imaginarium śmiało czerpiące z antycznych źródeł. Przyznam jednak, że mnie najbardziej porusza – na poziomie znaczenia,

semantycznego miąższu – inna, ciemniejsza odnoga tego pisarstwa. Mam tu na myśli problematykę nicości mającą wyraźnie różewiczowski smak. Zdarzają się wiersze, w których to właśnie nicość jest osią centralną, wobec której wszystko inne musi się określić; jak w *Niżu nad Wenecją*:

niż stoi nad Wenecją  
niż stoi nad Adriatykiem  
niż nad świętym Markiem  
Boża Iza nad kamykiem

niż nad snem listopada  
niż nad ogrodami  
niż nad ciemnym czasem  
nic stoi nad nami

Ostatni wers rozcina tkanę tych dwóch strof, wciska się do terminologii meteorologicznej ze swoją podmianą jednej litery, nagle zmieniając znaczenie słów, które wybrzmiały do tej pory. Świadczenia takiego – by tak rzec – filozoficznego pesymizmu przybierają różne formy. Bywa, że podmiot Lisowskiego testuje pocieszające przekonania za pomocą ironii – jak w *Nieśmiertelności*, otwierającej się takimi dwoma linijkami: „Nieśmiertelne są dzieci w wieku lat piętnastu. / Mocne i nieśmiertelne”. Sugestia, by postawić znak równości między nieśmiertelnością a młodość, kieruje nas w stronę paradoksu: obiektywnie – jako zasada działania świata – nieśmiertelność nie istnieje (bo przemija, a więc nigdy prawdziwą nieśmiertelnością nie była); jed-

nakże subiektywnie – jako beztroska podniesiona do egzystencjalnej potęgi, jako silne odczucie obecne w danym momencie – owszem, ma prawo istnieć.

Gdy postuluję poszukiwanie Lisowskiego mniej oczywistego, mam na myśli przede wszystkim jego niejednorodne zapiski z serii *Między wierszami* (i w *Domach dni* faktycznie są one umieszczone wśród tekstów poetyckich, choć ich klasyfikacja na pewno nie jest tak bezproblemowa). To bardzo interesujące – powiedziałbym – wypisy z życia, z lektur, z rozmów. Mamy tu, zdaje się, załączki nowych wierszy, mamy kawałki prozatorskie, mamy odnotowywanie frapujących zdarzeń językowych. Z jednej strony zostajemy wpuszczeni na literackie zaplecze, z drugiej – obcujemy z samoistnym projektem artystycznym, który domaga się interpretacji. Jedną z zasad kompozycyjnych tej niby-brulionowej formy z całą pewnością jest jukstapozycja; przypadkowość dokładanych elementów jest pozorna, chodzi raczej o świadome montowanie kontrastowych konstrukcji, o podkreślanie różnic i podobieństw. Oto dwie sąsiadujące ze sobą „notatki” z *Między wierszami* (3): „Może zamiast tych kilkuset wierszy powinienem wymyślić słowo – takie jak »trzymielina« albo »skrzypce«. Jedno solidne słowo przylegające

szczęśliwie do rzeczy”; „Mnie też się zdaje czasami, że świata jest za dużo”. Pierwsza z nich to cichy manifest, którego głównym postulatem jest to, by język pozostawał na usługach rzeczywistości, by wiernie odbijał w sobie różnorodność świata. Drugi wpis jest jak nałożenie na tę myśl grubej warstwy sceptycyzmu; w oderwaniu uwaga, że „świata jest za dużo”, może mieć bardzo wiele różnych znaczeń, jednak w bliskim sąsiedztwie z poprzednią jawi się jako zwątpienie w możliwość nazwania wielorakiego otoczenia, w moce przerobowe niedostatecznie pojemnego języka.

*Między wierszami* to czasem także przestrzeń, w której Lisowski ćwiczy mieszczanie się w aforystycznych ramach. „Pisarstwo to jak przygoda z własnym snem – możesz go najwyżej komuś niedokładnie opowiedzieć”; „Nadzieja: sprawy od dawna odkładane na później”; „Pewne rodzaje kwiatów wyglądają najlepiej w wysokich cmentarnych wazonach”. Te zapasy ze zwięzłością – nie zawsze zresztą o charakterze aforystycznym, czasem pozbawione są bowiem wyraźnych, „uatrakcyjniających” konturów – kojarzą mi się nieco z krótkimi formami Sándora Máraiego. „Pod jesień nawiedza nas Bezdomny. Karmimy Go i poimy. Pozwalamy skorzystać z łazienki. Po Jego wyjściu okadzamy dom.

Wyrzucamy talerz i szklanę. Palimy ręcznik. Wymieniamy umywalkę. Nie udaje nam się tylko wymienić świata” – trochę jak odległe echo miniatur wybitnego Węgra, choćby tych ze zbioru *Niebo i ziemia*.

Forma zapisków spod szyldu *Między wierszami* jest dużo bardziej „współczesna” niż wiersze Lisowskiego – mniej wypracowana, mniej klasycystycznie wypolerowana, za to bardziej elastyczna, czulsza na drobne drgnięcia tego, co dookoła. Ta swoboda – która mnie wyjątkowo się podoba – ma jednak swoją cenę, a jest nią intensywna ekspozycja artystycznego *ego*. Tak, jest tu czasem nieco egotycznie, *quasi*-dziennikowość jak najbardziej temu sprzyja. Zdarzają się fragmenty, które na tym cierpią, bo wkrada się do nich pewna jałowość. Na szczęście Lisowski potrafi także wykorzystywać *ego* na sposób – nazwałbym to – gombrowiczowski; z nadmiernej pielęgnacji „ja” wyrastają wtedy cenne myśli, których waga potrafi niejedno wynagrodzić.

Karol Płatek

**Krzysztof Lisowski**, *Domy dni. Antologia osobista*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Kraków, Instytut Literatury, Kraków 2020

## Mróz w przywróconej pełni

Bezimienny student medycyny otrzymuje od opiekuna swojej praktyki niecodzienne zadanie: ma udać się *incognito* do podszalburskiej miejscowości Weng, miejsca dobrowolnego odosobnienia brata asystenta, i poddać go dyskretnej obserwacji na okoliczność zaburzeń psychicznych. To, co dostajemy do rąk, jest dziennikiem tej szczególnej podróży przez okropności pejzażu i cierpienia umysłu. Podzielone na dwadzieścia siedem dni zapiski sprawiają wrażenie szkicu do zleconego narratorowi raportu o stanie zdrowia malarza Straucha. Sam raport jest również włączony do opowieści, w formie sześciu listów do asystenta Straucha zamykających notatki przedostatniego dnia. Daleko mu jednak do obiektywizmu i naukowej precyzji, stanowi raczej przyznanie się młodego praktykanta do fiaska powierzonej mu misji. Czytelnik nie będzie zaskoczony takim obrotem spraw, w końcu w chwili jego obwieszczenia ma już za sobą lekturę większości tekstu debiutanckiej powieści Bernharda. Powieści, której głównym tematem jest co prawda, zgodnie z tytułem, ściskający ciało i duszę mróz, która zarazem jednak jest historią owładnięcia. Zamiast

trzymać się roli obserwatora, narrator, szybko zyskawszy zaufanie obiektu obserwacji, staje się jego sekretnym sekretarzem. Na początku cytuje tylko pojedyncze wypowiedzi, pod koniec monologu malarza Straucha ciągną się całymi stronami, a ich protokolant ogranicza swój wkład do podania okoliczności ich powstania – przeważnie rozmów w gospodzie, w której zamieszkują obaj interlokutorzy, lub podczas wędrówek przez mroźną alpejską scenerię. Kiedy pod koniec pobytu narrator znów dochodzi do głosu na dłużej, sam pisze już tak, jak mówi Strauch. Gorączkowo, piętrząc metafory i neologizmy, a przede wszystkim dzieląc z malarzem jego wizję rzeczywistości jako ekstremalnie nieprzyjawnego świata. Świata, którego centralnym symbolem staje się mróz: paraliżujący wszelką aktywność, ale zarazem wyostrażający widzenie. Przynajmniej w rozumieniu Straucha, który dobrowolnie wybierając żywot na skraju świata i człowieczeństwa – w peryferyjnej miejscowości zaludnionej przez zbydlęconą społeczność – chce się najwyraźniej pozbawić wszelkich złudzeń co do sensu i wartości życia. Czy to jest obłąd, pyta się narrator, aby ostatecznie dać odpowiedź przeczącą. Ale czy możemy mu wierzyć? Może raczej sam dał się wciągnąć w psychozę? I to wcale nie

za sprawą Straucha, koniec końców już na początku swojej misji stwierdza: „Mogę sobie wyobrazić, że ludzie, którzy nieustannie czynią takie spostrzeżenia, jakie ja poczyniłem w drodze do Weng i w samym Weng, na dłuższą metę dostają obłądu [...]”. A i później poznaje fakty, które tylko potwierdzają ten werdykt, uwalniając zarazem malarza od podejrzeń o urojenia: na przykład gościom gospody faktycznie serwowane jest cichaczem psie mięso, które zaradna właścicielka tanio kupuje u zaprzyjaźnionego hycła. Gdybyż jednak chodziło tylko o Weng! Tak naprawdę chodzi o nastawienie do świata, które narrator manifestuje już w pierwszym akapicie książki: „Praktyka szpitalna to nie tylko okazja, aby nauczyć się rozcinać i zszywania, podwiązywania i wytrzymywania. Praktyka szpitalna musi liczyć się też z pozacielesnymi faktami i możliwościami”. Pragnienie zrozumienia tego, co pozacielesne, oto, co łączy przyszłego lekarza ze swoim niedoszłym pacjentem. W innym kontekście można by uznać tę sytuację za idealną, bo odpowiadającą modnym nie od dziś wezwaniom do terapii całościowej. Ale holizm *Mrozu* jest radykalnie pesymistyczny. Przenika go tchnienie otchłani Pascala (którego *Mysli* Strauch nosi ze sobą jak brewiarz), niezmacone jednak metafizyczną pociechą. Nic

dziwnego, że społeczeństwo woli zaklasyfikować taki stan umysłu jako zaburzenie i zepchnąć je na bezpieczny margines. Dlatego komunię dusz powstałą między narratorem a jego mentorem wypadnie nam uznać za stan tyleż nieuchronny, co beznadziejny. Co prawda tylko w sensie egzystencjalnym, co łatwo przełknąć, zważywszy, że dotyka fikcyjnych postaci. A wtedy ważniejszym stanie się to, że efektem tej symbiozy jest sympoezja (tak niemieccy romantycy zwykli nazywać proces współkreatacji literatury), której namacalnym dowodem jest piękny, choć mroźny tekst powieści. Jak najbardziej do polecenia, może nie gorącego, ale w chłodno wyważonych (chciałoby się rzec: krioterapeutycznych) dawkach.

Mimo rozgłosu powieści na niemieckojęzycznym rynku czytelnicy jej pierwsze polskie wydanie ukazało się z piętnastoletnim opóźnieniem, do tego okaleczone przez cenzurę. Trzeba bowiem wiedzieć, że malarz Strauch nie wyraża swojego bólu istnienia wyłącznie poprzez abstrakcyjne odniesienia i poetyckie alegorie. Obok wizyjnych rozważań o psim ujadaniu, skalnym wąwozie czy „wysokości, głębi i okoliczności”, wygłasza też wiele dosadnych tyrad pod adresem życia powszedniego: patogennych rodzin, okrutnych dzieci, perfidnych kobiet, niedouczonych

lekarzy i podupadłych szkół. Dostaje się przy okazji państwu austriackiemu za konsumpcyjną degrengoladę maskowaną frazesami o demokracji. Ale i dla komunistów nie ma Strauch dobrego słowa, niedwuznacznie sugerując infiltrację tego środowiska przez Związek Radziecki. Mimo iż włożony w usta obłąkanego, pogląd ten okazał się nie do przejścia przez PRL-owskie instancje kontrolne, zatem chwała wydawnictwu, że przy okazji reedycji uzupełniło (i starannie zaznaczyło) brakujący fragment, chwała tym bardziej, że nie wszystkie podobne przypadki doczekały się jeszcze interwencji. Na przykład w wydanych ponownie w 1997 roku

(notabene przez tę samą oficynę) *Zwierzeniach clowna* Heinricha Bölla nadal nie znajdziemy pełnego (w rzeczy samej pełnego antytalitarnej kpiny) opisu podróży głównego bohatera do NRD. Na szczególne wyrazy uznania zasługuje także Marek Kędzierski za dołączenie posłowania, stanowiącego prawdziwą kopalnię informacji o bliższym i dalszym tle powieści z uwzględnieniem wątków polskich.

Tomasz Waszak

**Thomas Bernhard**, *Mróz*, przełożył Sławomir Błaut, fragment usunięty z pierwszego wydania przez cenzurę przełożyła Emilia Bielicka, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2020

## Defoliacje gałązek

Lekturze tej książki towarzyszy wzmózone napięcie interpretacyjne, które zachęca, by scalać porwane, czytać przekreślone, zgadywać rozbite. Albowiem wszystkie te wiersze nie wiersze tworzą pewną wizję świata, w którym możemy się natknąć na rozmaite figury, hasła, postaci i krajobrazy – dziwnie podobne do naszych, ale jednak inne. Tutaj są przetworzone, docierają odarte z przyzwyczajień, w nowych kontekstach i zaskakujących zestawieniach. Nieprzeźroczystość takich propozycji, szukanie dla nich zasadności w koncepcie formalnym lub alogicznym chwycie, jest jedną z głównych zasad funkcjonowania awangardy i skłania do reakcji, które sztuka awangardowa od zawsze w odbiorcy wywoływała. Tłumacz tomu, Piotr Sommer, w kończącym książkę eseju podsuwa nam własne tropy analizowania tej

poezji, ale w gruncie rzeczy panuje tu zupełna dowolność. Liczne sensory „sztuk awangardowych” odczytywać można chociażby poprzez śledzenie wybrzuszeń języka, podglądanie reakcji wywołanych na tyle silnym „dociskaniem” tworzywa, że zabiegów pozostawia wyraźne ślady na całej językowej płaszczyźnie.

Istotnie, awantury Kocha „dzisiaj się” w języku i mogłyby rozwijać się aż do tegoż języka kresu, ale równie interesujący jest proces odzyskiwania sensów poprzez niespodziewane zderzenia przeróżnych elementów. Stopniowo, w miarę rozwijania się lektury, powstaje pewnego rodzaju atlas świata. Dzięki poezji dochodzi do wygenerowania alternatywnej rzeczywistości, w której wydarzyć się mogą nieprzewidziane sytuacje – z początku budzące zdziwienie, ale po pewnym czasie – wywołujące akceptację. W konstruowanej przez Kocha przestrzeni może nas przerazić kon-

kret zjawisk, ożywanie wszelkich pojęć abstrakcyjnych, które na co dzień potrzebują słownych ekwiwalentów i w takiej formie bywają użyteczne. Tu-  
taj istnieją na zasadzie pełnoprawnych uczestników rozmowy, są pobudzane do wysiłku „trwania”, a na dodatek odzywają się i zachowują zupełnie jak osoby dramatu. Dramat ten jest krótki, ograniczony do incydentu, nieważne – wyjętego z całości czy komunikującego się w pojedynkę. Najczęściej spuentowanego, zwieńczonego intrygującym słowem, znakiem. Nowe prawa fizyki, nowe formy miłości, pożądania, nienawiści, zbrodnie. Wiersze dobre na każdą okazję, bo z braku czasu można przeczytać choćby fragment, żeby rzecz oswojoną wprawić w obce drganie. Koch doskonale się na tym zna i umie takie dziwne drgania wywoływać.

Ale potrafi też wyrwać czytelnika z letargu rozumienia. To bodaj jedna z najważniejszych cech awangardy i nic dziwnego, że te wiersze-sztuki przypominają znane i sprawdzone dokonania futurystów, dadaistów i innych wielkich dwudziestowiecznych irracjonalistów. Letarg rozumienia, kiedy przyswajamy znane narracje i za ich pomocą tłumaczymy świat. Letarg rozumienia, gdy znajome sceny nie wystarczają w codziennej komunikacji. U Kocha jest inaczej. Narracje świata nie tłumaczą, ale przygotowują przedpole do działania. Możemy te wiersze

czytać, możemy tylko na nie spojrzeć, a jednak one wszystkie próbują do nas mówić. I ten komunikacyjny żywioł staje się bardzo dostojny, momentami nawet poważny i – o zgrozo – celowy. Celowość awangardy – to nie jest zestawienie naturalne. Jeśli na przykład poeta opowiada nam o kondycji petersburskich tragarzy, relacjach pomiędzy Montezumą i Cortésem, rekonstruuje dialog kolosów z Rodos, to na tych wszystkich scenach nadbudujemy inne wykładnie. Może i są one nadinterpretacją, rażą sztucznością i butą, ale stają się prawdą jako opowieści użyteczne.

Jak sama poezja, która – choćby i wyzuta z klasycznych sensów i łatwych potwierdzeń – uparcie tłumaczy nam życie, historię, wszelkie społeczne zachowania i mechanizmy władzy. Takich zachowań w tych wierszach nie wierszach odnajdziemy setki, a każde z nich wymaga ledwie krótkiej próby, by oczyszczająca moc ukazała się w całej pełni. Na przykład wtedy, gdy w jednym z utworów Husserl wyznaje, że podciął kwitnącą gałąź filozofii. Mówi też o hałaśliwej defoliacji niepokalanych gałązek wiary. I jest w tych słowach tak silnie wywoływana świeżość i motywacja, że czujemy poezję w stanie najwyższej sprawczości – bardzo oryginalną i bezpośrednią. Albo – weźmy inny przykład – wsłuchujemy się w dialog dwóch chińskich rzek, na którego tle



rysuje się wielka debata o narodzie, szansach jego rozwoju. To zamknięta w kilkunastu wersach charakterystyka społeczeństwa, czasem krótka przypowieść o etosie obywateli, specyfika działania skupisk ludzkich, jakieś ambicje i powinności. „Tylko ludzie są kontrolowani” – czytamy. Rzeki – przeciwnie, poruszają się bez względu na sterujące sceną didaskalia. Koch opowiada o tym wszystkim w sposób niewymuszony, mimochodem.

W tym właśnie tkwi prawdziwa siła tej książki, która skłania do tworzenia własnych interpretacji, niezależnie od podsuwanych tropów. Taka swobodna tropiczność udowadnia, że wiersze pojawiają się w tym zbiorze w konkretnym celu. Po raz kolejny wraca kwestia budowania sensów nowych, może i obrazoburczych, ale przecież pełnych mądrości, czyli – czerpiąc ze słownika tej książki – kwestia defoliacji niepokalanых gałązek. Koch wpuszcza odrobinę świeżego powietrza do pokoju, w którym dotychczas królowały stare reguły. Dlatego – oprócz niepokoju – lekturze tych wierszy towarzyszy euforia. Znaczenia stają się czyste, nabierają nowych kolorów, zazdrościmy im tej niesamowitej swobody i pełni. Zazdrościmy im pewności, że tak właśnie należy ponawiać swoją przygodę z literaturą. Niepokój, napięcie, euforia – daleko zaszliśmy, poddając interpretacji zaledwie część śladów. Nic tu nie jest przesądzone,

podobnie jak sama awangardowość, która zachwyca konsekwencją i poczciwością, a jednocześnie zmusza, by stawiać jej pytania. I przyznać trzeba, że taki projekt bez początku i końca wybrzmiewa. Projekt wyczerpujący się w bezustannym rozwoju własnych struktur.

Te i inne możliwości literatury dopowiada włączony do tomu poemat *Sztuka poezji*. To wartki przemarsz po tematach, pochod „złotych myśli”. Jedna z nich brzmi: „Poezja to ucieczka od niepokoju, a także jego źródło”. Tak więc znowu koło zamknięte, nieskończona zabawa w konfigurowanie tysięcy słów, co może do czegoś prowadzić, ale może też doprowadzić do niczego. I jak w świetle takiej wykładni tłumaczyć świat? Koch pisze, że raczej nie powinno się wprowadzać do wiersza Historii czy Oceanów, nie warto ulegać uniwersalizacji, filozofowaniu i ogólnikowości. Łatwo wtedy popaść w banał, osiągnąć stan pozornego zadowolenia. A przecież poezja to ucieczka od niepokoju. Ale poezja to także...

Jakub Beczek

**Kenneth Koch**, *Tysiąc sztuk awangardowych*, wybór, przekład i opracowanie Piotr Sommer, Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury, Poznań 2019

## Sz(t)uka słowa

Piotr Śliwiński napisał kiedyś, że Tadeusz Dąbrowski jest w obrazie naszej współczesnej poezji „czynnikiem koniecznym”. Konsekwencja, z jaką autor *Pomiędzy* ustawia się pod prąd względem dominujących w jego pokoleniu nurtów, a przede wszystkim poststrukturalistycznych tendencji w myśleniu o poetyckich reprezentacjach rzeczywistości, spaja jego projekt wyraźną klamrą. Dąbrowski dystansuje się od aksjologii kształtującej awangardowe wycieczki liryki ostatnich dwóch dekad, obstaje za odporną na kryzysy komunikacyjne klarownością, destylacją słowa, ekspozycją jasności. Ucieczka z pustyni modernizmu nie jest w tej poezji fundowana na klasycystycznym rygorze. Praca, którą Dąbrowski wykonuje w języku, przypomina raczej poszukiwanie „wyrazów życia” w rejestrze przesterowanym przez szumy współczesności. Najnowszy tomik pozostaje zapisem tej językowej gry na zasadach tytułowych scrabbli.

W 1971 roku Piotr Sommer debiutował w prasie wierszami *Różewicz* i *Kawafis*, relacjonującymi „warsztatową” warstwę pracy tych dwóch poetów. Oba znalazły się w wydanym sześć lat później debiutanckim *W krzesle*, jednak w późniejszych wyborach Sommer zrezygnował z dubeltowego zestawienia, pozostawiając jedynie

sekwencję poświęconą autorowi *Płaskorzeźby*: „Od dziesiątej rano / przy swoim »warsztacie« / czyta książkę / szuka słowa // nie ma słowa / zapisuje że nie ma słowa // czyta drugą książkę / szuka słowa / nie może znaleźć / zapisuje // zapamiętuje miejsca / zakreślone czerwonym ołówkiem”. Metoda poetyckiej pracy, jaką przypisuje Różewiczowi Sommer, wydaje się w pewien sposób odbiciem mechanizmu gry Alfreda Moshera Buttsa. Byłyby to jednak scrabble bezowocne, poszukiwania negatywne, ujawniające gorzką prawdę o upłynnieniu referencyjnego potencjału słowa w obliczu Zagłady. Autor *Środka wyrazu* pozostaje w tej materii dużo większym optymistą, wierzy w to, że słowo wciąż może odwoływać się do obiektywnego konkretności. Patronat Różewiczowski pozostaje tradycją najczęściej przymierzaną do poetyk Dąbrowskiego. W *Scrabblach* Różewicz pojawia się kilkakrotnie, jednak nie zawsze jest to gest admiracji, niekiedy wyraz polemicznej lektury. W *Szkicu do erotyku* Dąbrowski coveruje wiadomy poemat mistrza z tomu *Twarz. Spotkanie autorskie*, przenosząc kliszę fabularną z *Przyszli żeby zobaczyć poetę*, cięży ku zbliżonej, ironicznej dekonstrukcji romantycznie mitologizowanej figury poety. Najciekawszy w tej stawce wydaje się bardzo prywatny *Ojciec odchodzi*, przekształcający tytuł tomu *Matka odchodzi*, rozpoczynający się elegijnymi

dystychami: „O szyby deszcz dzwoni, / deszcz dzwoni jesienny. // Pszczoła krąży nad kwiatem / nasturcji. A mój ojciec // odchodzi. Był silny jak chleb, lecz zmienił się w okruch”. Pierwsza strofa pochodzi z kultowego *Deszczu jesiennego* Leopolda Staffa, poety, który dla Różewicza pozostawał jednym z najistotniejszych punktów odniesienia. Dąbrowski w interesujący sposób syntezuje te dwie poetyki, łączy je w linię tradycji, na której końcu sam się umiejscawia.

Właściwie od *Te Deum* tytuły tomów programują autotematyczny tryb ich lektury, ciężący ku wykazywaniu silnych związków poetyckiego tworzywa z tym, co wobec wiersza zewnętrzne. Scrabble bezpośrednio pojawiają się w utworze *Ks. Rodziewicz*, eliptycznej miniaturze, w której autor wspomina znajomego elbląskiego kapłana, mistrza tej gry, również poetę, któremu nigdy nie udało się przesunąć własnej środowiskowej obecności bliżej głównego obiegu. Znowż zatem poetą pozostaje ten, który poszukuje słów, w przypadku Rodziewicza – najdłuższych, w przypadku Dąbrowskiego – najcelniejszych. Reminiscencyjna formuła stawia również pytanie ważne dla metafizyki poezji Dąbrowskiego: czy wiersz, jako subiektywny zapis prywatnej rzeczywistości, może jednocześnie stanowić obiektywne świadectwo pamięci? Na tych warunkach fragmenty biograficznych narracji

sprywatyzowanej chwili Dąbrowski czyni osią *Pasji i Kuluarów*, przywołujących odpowiednio: Wacława Tkaczuka i Tomasza Mackiewicza.

W parabolicznym *Zdaniu*, które otwiera całość, czytamy: „To jakbyś obudził się w zamkniętej celi i znalazł / w kieszeni kartkę, a na niej jedno zdanie / w nieznanym ci języku. // I wiedziałbyś, że to zdanie jest kluczem do twojego / życia. I do tej celi. // I spędziłbyś lata, próbując zrozumieć to zdanie, aż wreszcie byś je pojął. // Po jakimś czasie zrozumiałbyś, że znaczyło / coś zupełnie innego. I tak miałbyś dwa zdania. // A potem trzy i cztery, i dziesięć, aż stworzyłbyś nowy język”. Bohater tęskni jedynie za tym pierwszym zdaniem w nieznanym języku, za zdaniem nieskażonym komunikacyjną wtórnością, językiem czystym i precyzyjnym, frazą przynajmniej zbliżającą się do odsłonięcia jakiejś prawdy na temat rzeczywistości. Dla Dąbrowskiego język musi coś odkrywać, a nie wyłącznie reprodukować. Dlatego w zamykającym zbiór *Dlaczego poezja jest ci niezbędna do życia* odpowiada: „Poezja jest ci potrzebna, żebyś czasami mógł // wyjść z siebie, zobaczyć i nigdy nie wrócić”, jak nigdy nie wraca się do „pierwszego zdania wypowiedzianego w nieznanym języku”.

Wiara w precyzyjność poetyckiego środka wyrazu i jego zdolność do obiektywnego obrazowania kadrów codzienności zaprowadza autora

w okolicy poetyk imagistycznych. Okolice, gdyż od Ezry Pounda i Williama Carlosa Williamsa odróżnia Dąbrowskiego niepowszedniość obserwacji. W *Pocztówce z Wambierzyc* mieszkańcy rzeczonyj miejscowości są „figurkami w ruchomej szopce”, niby rutynowo odgrywającymi społeczne role w oczekiwaniu na Chrystusa, „który jak ksiądz po kolędzie przyjdzie i pójdzie”, a jednocześnie ich codzienne zwyczaje zostają namaszczone odświętnością: „Pani / z mięsnego, który przylega do kaplicy, pewnie / oddziela tasakiem dobre od złego. Kaleka / na ławce siedzi tam już od wieków. Pijak / o stałych porach wyrusza do spożywczego, / żeby przemienić puste w pełne”. Z tego fragmentu przeziara również maskowana rytmiczność, instrumentacja ukryta w strukturze, słyszalna dopiero w głośnej lekturze. I tę łączliwość poetyckich obrazów codzienności z potrzebą fonicznego oddania jej rytmu Dąbrowski dzieli z autorem *Spring and All*.

*Scrabble* ponownie anonsują podmioty i toposy, które organizowały poprzednie tomy. W *This is the end*, nawiązującym do ballady The Doors, przemawia rozwodnik, ironicznie szczery w swoim małżeńskim rozczarowaniu, którego w recenzji *Środka wyrazu* Piotr Lorkowski określił „mężczyzną po przejściach z poważnymi zadatkami na *losera*”. Dąbrowski wraca też do trudnych rozważań nad instytu-

cjami życia publicznego i duchowego. W *Pomiędzy* medytacje nad religią przepuszczał przez filtr sztubackiej naiwności. W najbardziej radykalnej sekwencji nowego zbioru, obszernym poemacie *Remont elewacji*, głosem dorosłego antyklerykała zderza ze sobą temat profanowania katolickiego imaginarium z perspektywą pedofilii wśród księży: „Tymczasem nad / moim krajem wschodzi tęcza i tłum radosny niesie / na kiju waginę wpisana w hostię, z cokołów spadają / pomniki księży, którzy chcieli precyzyjnie się do / raju przez ucho igielne dziecięcych odbytów i pochew”.

W najnowszym tomie autor nie ryzykuje eksperymentem, nie zrywa z projektami poprzednich książek, raczej konsekwentnie trzyma się zarysowanego wcześniej programu, w którym wyraża się również jego podejście do samej materii poetyckiej. Podążając za rozpoznaniem Śliwińskiego, trzeba przyznać, że Dąbrowski pozostaje „konieczną” alternatywą tak dla grupy klasycyzującej, jak i dla ruchów awangardowych w naszej poezji.

Oskar Meller

**Tadeusz Dąbrowski**, *Scrabble*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020

## *Panopticon Romano*

W bardzo minionej epoce, czyli w połowie lat siedemdziesiątych, na studiach filologicznych w Krakowie czytałem między innymi niezwykle książkę Mario Praza *Zmysły, śmierć i diabeł w literaturze romantycznej*. Praca wydana we Włoszech w 1930 roku, ukazała się u nas dopiero w 1974 roku, ale czas nie pozbawił jej świeżości, mocy przekonywania, czaru mędrzyckiego prowadzenia wywodu pełnego swady, niewymuszonej erudycji, daru niezwykle celnego obrazowania też. I nie szkodzi, że niewiele z tej lektury pamiętam, bo zostało mi nieprzemijające wrażenie autorskiej żarliwości i zachwyt wtedy tym, że nie muszę czytać kolejnej uniwersyteckiej „piły”, której autor bez wdzięku przekonuje, za co mamy kochać tego czy innego pisarza. Praz prowadzi w drogę pełną przygód, a przynajmniej proponuje interesujący pasaż po bibliotece, miejscach, lekturach, ulicach miast. U nas podobny talent miał profesor Kazimierz Wyka...

Praz był autorem wydanej także przed laty *Mnemosyne. O powinowactwie literatury i sztuk plastycznych* (1967, wydanie polskie 1981). To zapewne od tego tytułu bierze się nazwa znakomitej serii pod redakcją Piotra Kłoczowskiego; w kolekcji tej w 2019 roku ukazał się zbiór esejów Praza – *Wspaniałości Rzymu* w brawurowym prze-

kładzie Joanny Ugniewskiej; szkice te stanowią wybór z dwóch książek tego rzymskiego pisarza, eseisty, tłumacza i profesora Uniwersytetu Rzymskiego, pokazujący Miasto, jego architekturę, historię i sztukę, ludzi i książki, zauroczenia i obsesje: *Panopticon Romano* oraz *Panopticon Romano secondo*. Już z tytułów tych dwóch prac możemy wnioskować, że chodzi o możliwie całościowe widzenie miasta, wszystkich jego spraw, przemian w czasie, ponęt i właśnie... wspaniałości. Całego Wielkiego Piękną.

Czy Praz recenzuje czyjąś książkę, album wedut, czy podąża ulicami Wiecznego Miasta od placu do placu, od fontanny do fontanny, stosuje tę samą metodę – wieloaspektowego, czułego, żarliwego opisu; wie, że pod jedną warstwą czasu kryje się druga, przed kimś w danym miejscu mieszkał jeszcze ktoś, jakiś pisarz umiejscawiał akcję swego sławnego utworu w kamienicy czy dzielnicy, którą omiata teraz baczny wzrok perypatetyka!

Tego wszystkiego nie da się opowiedzieć, bo wystarczyłby akapit, zawsze tak „gęsty”, aby stał się przedmiotem wielostronicowej analizy. Wybieram fragment z ulubionego szkicu o znanym mi nieźle placu Hiszpańskim (Piazza di Spagna), w którym przeczytamy: „To, że tyle słynnych postaci mieszkało na Piazza di Spagna i w jego pobliżu, nie zdziwi kogoś, kto pamięta, że na ten plac, gdzie łatwo jest się

dostać z Porta del Popolo, przez którą docierali do Rzymu podróżni, przeniosło się hotelowe centrum, mieszczące się aż do końca XVII wieku na Campo dei Fiori i w dzielnicy Ponte. [...] gdyby powstała podobna weduta, cóż byśmy mieli za dokument kosmopolityzmu tego słynnego miejsca! La Fortuna di Vienna, La Corona di Francia w XVII wieku, następnie Albergo del Tedesco, noszący potem nazwę Hotel d'Allemagne, kiedy przejęła go rodzina Franza Roeslera, Locanda di Pio na San Sebastianello, uznana za najlepszą w Rzymie [...], Locanda del Monte d'Oro »między San Sebastianello a fasadą wychodzącą na Piazza di Spagna«, gdzie w 1740 roku zatrzymał się Charles de Brosses, który uznał ją za »najlepszą dla cudzoziemców, którzy wybierają się do Rzymu, i niemal jedyną wygodną w tak wielkim mieście pełnym gości«, gdzie kuchnia jest doskonała, lecz ceny sone. Locanda della Scuffiarina (lub delle Scuffiarine), Locanda di Madama Stuarda »w pobliżu wielkich schodów Trinità dei Monti«, Locanda della Scalinata, w której Cagliostro prowadził zebrania masonów w sali ustrojonej na czarno, gdzie białe czaszki wystawały ze wszystkich ścian, w głębi zaś, na stole przykrytym suknem, również czarnym, leżała ogromna ekierka, a w środku jej trójkąta stały ampułki, amfory, kielichy i kieliszeczki, na prawo, na mniej eleganckim stole, można było dostrzec

dwie sowy płomykówki, w metalowej puszcze zaś dużo małych węży...”.

I tak dalej, i tak dalej, można by przedłużyć ten cudowny, otwierający wiele dawnych widoków i światów, cytat.

Poprzestaśmy jednak na opisie wartości tego zbioru smakowitych esejów – rzecz otwiera szkic o Piranesim, jego *Vedute di Roma*, widokach Rzymu na wielkich, precyzyjnie oddanych rycinach, a jednocześnie „magicznie” pokazanych przez tego genialnego rytownika, i zamyka coś w rodzaju posłowania czy komentarza do całości pióra Eugenio Montalego, *Piękno Piranesiego*. Dalej przeczytamy o Dolinie Poussina (czyli miejscach ulubionych przez dawnych malarzy widoków Miasta), rzymskich fontannach, Corso, placu Hiszpańskim, Piazza del Popolo, Piazza Navona, via Veneto, Berninim, a także rzymskich murach i Tybrze. Na osobną uwagę zasługuje cudny szkic *Pawana na śmierć pewnej ulicy*.

Słowem, jest tu co czytać i co oglądać (książka ilustrowana jest fragmentami planu miasta autorstwa Armando Ravagliolego). O Prazie możemy powiedzieć na pewno, że był człowiekiem zakochanym w Rzymie, umiał o nim snuć niekończącą się opowieść, otwierającą nasz domysł na inne jeszcze historie, detale, piękne szczegóły.

Na koniec warto przytoczyć słowa tłumaczkii z niedawnego wywiadu

dla kwartalnika „Czas Literatry”: „To piękna książka i wspaniała, niezwykły autor. Włochy obfitują w takich genialnych ekscentryków, a Praz był nie tylko wybitnym anglistą, lecz także kolekcjonerem i autorem niezrównanych esejów. Jego dom-muzeum można zwiedzać w Rzymie. Mieszkał tam przez większość swojego życia i potrafił pisać o każdej fasadzie, fontannie, rzeźbie narożnej z niezrównanym zjawstwem. *Wspaniałości Rzymu* to nie jest przewodnik dla kogoś, kto wybiera się po raz pierwszy na kilka dni do tego miasta, ale jeśli ktoś dobrze je zna, odkryje mnóstwo cennych rzeczy, zachwycających szczegółów. Odkąd przełożyłam tę książkę, patrzę na Rzym trochę oczami Praza”.

Krzysztof Lisowski

**Mario Praz**, *Wspaniałości Rzymu*, przełożyła Joanna Ugniewska, Biblioteka Mnemosyne pod redakcją Piotra Kłoczowskiego, Fundacja Terytoria Sztuki, Gdańsk 2019

## Rytm znaczeń

Książka Leszka Szarugi zatytułowana jest *Przestrzenie dialogu*. Istotnie, wielogłosowość stanowi wyróżnik tego tomu (ale też całej twórczości literackiej i krytycznej tego autora). Pojawia się więc w objaśnieniach poezji. Tłumacząc wiersze Stanisława Czerniaka, posłuszny się Szaruga

filozofią dialogu Martina Bubera: „[...] dwoistość egzystencji rozszczerpionej na »ja« i »ty« ujawnia dialogowość poezji nieustannie zwracającej się ku sobie, co prowadzi do powstawania napięcia stanowiącego o jej wartości estetycznej”. Dialogowość znajdziemy, co oczywiste, w zapiskach o sztuce przekładu (*Oryginał i tajemnica; Mgła znaczeń*). Dialogowość wreszcie odnosić możemy do kompozycji książki. Składa się ona z sześciu części, które dobrze oddają zainteresowania ich autora: poety, prozaika, eseisty, tłumacza, historyka literatury, publicysty... Dbą, żeby te rozmaite formy aktywności utrwalone były w jednym tomie. Poszczególne części *Przestrzeni dialogu* wprowadzają nas ponadto w intrygujące zagadnienia życia literackiego. Tak więc w tej jednej książce dostrzegamy co najmniej cztery projekty estetyczne. Rozdział *Takie czasy* to analiza książek autobiograficznych (Władysława Broniewskiego, Witolda Gombrowicza, Jana Józefa Szczepańskiego, Michała Głowińskiego, Sławomira Mrożka, Bogusława Kierca), ale i pewna propozycja czytania intymistyki jako działu piśmiennictwa. *Przestrzeń epistolarna* to interpretacja ważnych bloków korespondencji polskich pisarzy i intelektualistów (również z przedstawicielami środowisk intelektualnych Zachodu), a *Poezji* – część najobszerniejsza – ujawnia sztukę odczytywania wiersza.

W kolejnych segmentach tomu krystalizuje swoje stanowisko. A zatem dowiemy się, że *Pamiętnik* Broniewskiego zawiera obraz Polski z lat 1918–1922, lecz i daje wgląd w sztukę słowa: „Poetyckość, wciąż jeszcze nieuformowana, wdzierą się do tych zapisów bezustannie – w różnych formułach: a to ćwiczeń warsztatowych, a to lirycznych wyznań miłosnych czy wreszcie jako wiersze okolicznościowe pisane na potrzeby chwili”. Przytaczając z *Kronosa* wyimki o słabościach ciała pisarza, dystansuje się Szaruga wobec takiej formuły intymistyki (i jako czytelnik, i jako badacz). Jeśli dostrzega wartość zapisków Gombrowicza, to jako materiał dokumentujący zabiegi pisarza o karierę i sławę. Czytając dzienniki Szczepańskiego, eksponuje w nich imperatyw Conradowski: „[...] literatura ma wymierzać sprawiedliwość światu”. Autobiografię Michała Głowińskiego traktuje jako obraz „tego czasu, w którym autor był już w pełni świadomym uczestnikiem dziejącej się polskiej historii”. Dzienniki Mrożka to – według Szarugi – „dokument nieustannej szamotaniny, przełamywania niepewności siebie, uporczywego poszukiwania własnej tożsamości ze świadomością, coraz bardziej ostrą, że to ostatnie nie jest możliwe”. A w książce Kierca *Cię-mność* poszukuje nowej formuły mówienia o sobie.

W części kolejnej tomu opisuje życie intelektualne i literackie w kraju

oraz na emigracji. Rozprawia o roli pokoleń w historii. Eksponuje zasługi redaktora Giedroycia w polityce i literaturze. Omawia wpływ wielkich tłumaczy na piśmiennictwo polskie. A wszystko to wydobywa z epistolografii.

Ale przecież wiemy, że Szaruga najwyżej ceni poezję. Stąd najważniejszą częścią *Przestrzeni dialogu* jest rozdział czwarty. Mamy w nim komentarze do tomików i wierszy wybitnych twórców polskich. W tej części układa poetykę późnej twórczości. Twierdzi więc, że ostatnie wiersze Miłosza charakteryzują się szczerością. A pożegnalna książka Jerzego Ficowskiego daje zarys filozofii negatywnej. W *Poemacie odjazdu* Mandaliana eksponuje Szaruga przerażenie. Wydobywa też melodykę wiersza atonalnego u Tadeusza Różewicza... Zresztą ta część książki dobrze oddaje aksjologię krytyczną Szarugi. Są w niej bowiem cztery szkice o Różewiczu, cztery o Szymborskiej, cztery o Hartwig, trzy o Miłobędzkiej. Czy nie układa się to w kanon poetów i poetek polskich XX wieku?

Na podstawie tej części *Przestrzeni dialogu* można też rekonstruować język krytyczny. Szaruga ma bowiem swoje ulubione kwestie, które eksponuje w kolejnych omówieniach. Uwypatnia pewne elementy struktury utworu. Pyta zatem o podmiot liryczny wiersza (co nieco anachroniczne). Docieka, kto kryje się pod zaimkami osobowymi (co



kluczowe dla wykładni kolejnych utworów). Ujawnia wieloznaczności liryków, ale eksponuje też rytm wiersza. To prawda, niekiedy powtarza swoje rozpoznania. Więcej, ten sam fragment analityczny poświęcony Szyborskiej spotkamy w rozdziale *Starzy mistrzowie* i w szkicu *Nie wystarczy*.

Jednak może najciekawsze są te szkice, w których zajmuje się liryką kobiet i eksponuje sapienjalny charakter wierszy poetek. Najlepiej mówią o tym uwagi o Julii Hartwig. Problematyzując tomik *Zapissane* (z 2013 roku), śledzi motywy biblijne. Wydobywa z poezji tonację i inspiracje psalmiczne. Dostrzega ukształtowane na księgach mądrościowych pogodzenie się poetki ze światem. Dotyka kwestii obrazowania biblijnego. Eksponuje późne rozwiązywanie sprzeczności egzystencji. I ma rację. *Zapissane* to jeden z najlepszych przykładów twórczości kobiet, w której liryka konkuruje z werselem biblijnym. Warto przypomnieć (od tego utworu rozpoczyna swój szkic), że wiersz *Zważono cię* zawiera wyminki z Księgi Koheleta: „bo w wielkiej mądrości wiele utrapienia / a wszystko to marność i pogoń za wiatrem”. Hartwig cytuje z Biblii Tysiąclecia. To o tyle ciekawe, że z pewnością znała przekład Księgi Koheleta swojej przyjaciółki, Anny Kamieńskiej, która znane słowa Eklezjasty oddawała jako „gonienie za wiatrem”, a nawet jako „nicość”. Zresztą ten mądrościowy status wiersza Har-

twig budują nie tylko cytaty z Biblii, ale także odwołania do filozofów, na przykład do Pascala (jak w liryku *Z obcości nie z bliskości rodzi się wiersz*).

Jeszcze dobitniej wyklada ten intelektualny, a nie liryczny wymiar twórczości Hartwig, komentując *Błyski*. Przypomina w tym kontekście aforystykę polską (Karol Irzykowski, Stanisław Jerzy Lec, Ryszard Kapuściński) i europejską (Georg Christoph Lichtenberg, Karl Kraus), a także teorię tej formy (Walter Hilsbecher). Ale eksponuje suwerenność miniatur Hartwig i subtelnie je wyklada: „Błysk jest mgnieniem, zapisem zdumienia, zaskoczenia, odnotowaniem czegoś niepochwytanego, co jest ledwie – właśnie w zapisie – sygnałem obecności czegoś, co domaga się dopowiedzenia. Pojawić się może w zasłyszanej rozmowie, w przeczytanym tekście – stąd błyski-cytaty – w przelotnym postrzeżeniu. Jest jak refleks światła, którego źródło bywa niepochwytne i tajemnicze”.

*Błyski* stanowią więc nie tylko niezwykle dokonanie Hartwig, lecz również ważne ogniwo w historii literatury polskiej. Obok istotnej linii aforystyki męskiej, mielibyśmy również nurt krótkiej formy kobiet (Kamieńska, Świrszczyńska, Szyborska, Kulmowa, Marjańska, Pollakówna, Miłobędzka, Frajlich, Lipska...).

I rzeczywiście, w *Przestrzeniach dialogu* znajdziemy wyraziste formuły

objaśniające stylistyki indywidualne. Tak więc powie Szaruga, że „humor Szyborskiej to często żart ze śmiercią (nie ze śmierci)”. A o Krystynie Miłobędzkiej przeczytamy: „Poezja autorki *Pamiętam* nie słowo, lecz oko czyni podstawowym narzędziem poznawczym”.

Jerzy Madejski

**Leszek Szaruga**, *Przestrzenie dialogu*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2019

## Więcej niż sąsiedztwo

Książkowa publikacja wybranych artykułów o tematyce pogranicza narodów i kultur pozwala ocenić ich miejsce w kwartalniku „Akcent”. Już w pierwszym numerze czasopisma (1/1980) ukazał się esej Moniki Adamczyk *Polska i Polacy w powieściach I. B. Singera*. Czytelnik polski stosunkowo mało o nobliście wiedział, brakowało opracowań, ba, dopiero w 1983 roku ukazały się tłumaczenia jego powieści *Dwór i Spuścizna* oraz zbiór opowiadań *Magiczna moc*. Autorka eseju – później publikująca jako Monika Adamczyk-Garbowska – miała w przyszłości duży udział w uprzystępnianiu polskiej publiczności coraz popularniejszej, ale i wymagającej nie tylko krytycznych objaśnień prozy Singera. Jak zauważa Bogusław Wróblewski, redaktor naczelny „Akcentu”, „temat żydowski

często niejako automatycznie wywołuje kontekst środkowoeuropejski i jest to w pełni zrozumiałe”. Taki był jego początek w lubelskim czasopiśmie, w następnych latach redakcja odnosiła się do niego na rozmaite sposoby.

Esej *Polska i Polacy w powieściach I. B. Singera* w tomie *Na pograniczu narodów i kultur* akurat się nie znalazł, niemniej temat żydowski, jak go określił Wróblewski, jest w książce obficie reprezentowany, w różnych zresztą ujęciach. To oczywiście nie tylko kwestia swoistej mody na temat żydowski w latach osiemdziesiątych i późniejszych (dość przypomnieć słynny, podwójny, ilustrowany numer „Znaku” zatytułowany *Żydzi w Polsce i w świecie. Katolicyzm – judaizm*, 339–340/1983). Obecną w „Akcentcie” tematykę żydowską w niniejszym tomie reprezentują między innymi *Polska w oczach Singerów – awers i rewers* Moniki Adamczyk-Garbowskiej, *Literatura polsko-żydowska: pismo i rana* niezjącego wybitnego historyka literatury z KUL-u Władysława Panasa oraz *Tańce i obrzędy żydowskie* Jacka Łumińskiego. Obok nich – dwa „żydowskie” utwory poetyckie: *Żwiartów* Wacława Oszańcy i tłumaczony z jidysz *Bez Żydów* Jakowa Głatsztejna.

Podkreślmy, że ponad pięćsetstronicowy tom *Na pograniczu narodów i kultur. Polska – Europa – Ameryka* to zaledwie wybór z obfiej obecnej w „Akcentcie” tematyki

pogranicza. Żal pomijać, nie sposób przedrukować wszystkiego. Warto zauważyć, jak pomysłodawcy książki rozumieją termin pogranicza, a tym samym, w jaki sposób starają się go prezentować. Przede wszystkim to coś więcej niż sąsiedztwo geograficzne, nie tylko Kresy, czyli wschodnie rubieże historycznej Polski. Bogusław Wróblewski, założyciel i redaktor naczelny „Akcentu”, pisze we wstępie, że redakcję interesowało też pogranicze zachodnie (w eseju-metaforze *Axis mundi* *Wscho-wa* zaprezentował je Sergiusz Sterna-Wachowiak) i „sąsiedztwo z domeną austro-węgierską na południu”. Ale najważniejsze wydaje się wykroczenie poza przestrzenne rozumienie pogranicza. A zatem „Akcent” skierował uwagę na „geograficznie rozproszone, lecz bogate pod względem kulturowym sąsiedztwo polsko-żydowskie, na funkcjonowanie w Europie i w USA fascynującej, chociaż hermetycznej społeczności Romów, na zbiorowości emigrantów stojących przed koniecznością sprzężenia systemu wartości wyniesionego z kraju urodzenia z tym, który zastali w kraju osiedlenia”.

Tematyka pogranicza zostaje w ten sposób wydatnie rozszerzona, obfitość i waga zagadnień stają się trudne do objęcia, temat bowiem z czasem i z nowymi wyzwaniem politycznymi, z migracją rozrasta się i komplikuje. Nie wyczerpuje zagadnienia to, co przykuwało uwagę przed

rokiem 1980. Jest inaczej: historia przyspieszyła, świat zmienia się na naszych oczach, a my w tych przemianach, choćby biernie, uczestniczymy. Zmienia się rozumienie sąsiedztwa, sąsiedztwo polsko-ukraińskie ma zupełnie inny charakter niż przed trzydziestu, czterdziestu laty. Historyczne i narodowościowe tradycje Lublina, miasta, w którym powstał i wydawany jest „Akcent”, sprawiają, że z tego miejsca, z kształtowaną tu wrażliwością widać lepiej i więcej. Nie zmienia tego żaden ze skutków globalizacji; są wartości, sprawy, okoliczności samej kultury, których od miejsca nie sposób oddzielić, co wyraziście uobecnia się w poezji. Przykładem wołyńskie wątki w wierszach lublinianina Waldemara Michalskiego, lokalne odniesienia Wacława Iwaniuka, pograniczne, tułaczce wątki w wierszach mieszkającej w Ameryce Anny Frajllich, „cygański” epizod w wierszu Bohdana Zadury. Do tego kręgu przynależą też *Kronika lidzka, 1986* Aleksandra Jurewicza. Przykładów jest o wiele więcej, za wspólny mianownik pomieszczonych w tomie wierszy można uznać owo szeroko rozumiane i zawsze inne pogranicze.

Różne obszary współistnienia w kulturze – choć i w życiu jak najbardziej realnym, codziennym, praktycznym – przenikają się, mają punkty stykowe, ważne dla konkretnych narodów, ich interesów i tożsamości. Ponad czterdziestu autorów przedstawia swój

punkt widzenia na sprawy tytułowego pogranicza i jego aspektów. Tematyka żydowska ustępuje miejsca „węgierskiej”, zawartej w esejach i wierszach Sándora Csoóriego, Csaby G. Kissa i Istvána Kovácsa. Charakterystyczny jest tytuł wiersza Kovácsa *Miasta polskie – węgierskim okiem*. Wywieziony z dzieciństwa sentyment idzie w tym utworze w parze z ważnymi dla węgierskiego pisarza znakami historii; one łączą się w pamięci i trudno im istnieć oddzielnie. W utworze czytamy: „Pierwsze nazwy miast na baśniowej mapie dzieciństwa. / Pod szkłem powiększającym wspomnień łatwo odczytać napis: Ostrołęka. / Dla każdego Węgry to pierwsza nazwa polskiej miejscowości. / Zapisał ją Petőfi”.

Osobno dyskurs, osobno liryka. Ale jednak razem. Tematyka i wątki dyskursu, często tak różne, splatają się w nierozdzielny całość. Do jakiej kategorii przyporządkować wspomnienia Tadeusza Konwickiego *Jak kręciłem „Lawę”*? Pisarz i reżyser tak kończy swój tekst: „Włożyłem w ten film kawał życia i zdrowia. Ale kogo to obchodzi. Ja już także o nim zapomniałem. Jedźmy, nikt nie woła”. Wiele w *Na pograniczu narodów i kultur* zagadnień lokalnych, mniej znanych, istniejących jako kamyki w mozaice większej całości. I są eseje o problematyce szerszej, niejako przekrojowej. Zalicza się do nich trójgłos Tadeusza Szkołuta, Zbigniewa Zaporowskiego i Janusza Wrony *Euro-*

*pa i Polska według Normana Daviesa. Trzy odłony* (chodzi o *Europę między Wschodem a Zachodem, Europa walczy 1939–1945 i Serce Europy*) oraz krótki esej Ryszarda Kapuścińskiego poświęcony globalizacji. Tytułowe pogranicze jawi się czytelnikowi na wiele sposobów. Nie ma tu tematów łatwych, uładowanych, oswojonych przez sentyment. Przeciwnie, objaśniane i diagnozowane sprawy są żywe i uobecnione boleśnie, czas przeszły nie zamknął bowiem różniących narody rozdziałów, zostawił miejsca obolałe. Odnoszą się do nich pisarze, historycy, literaturo- i kulturoznawcy. *Na pograniczu narodów i kultur* skłania do krytycznego namysłu nad światem, którego jesteśmy częścią.

Piotr Szewc

*Na pograniczu narodów i kultur. Polska – Europa – Ameryka*, wstęp i suplement Bogusław Wróblewski, wybór i opracowanie Bogusław Wróblewski i Łukasz Janicki, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa, Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”, Lublin, 2020

## Norwid, węży

Trzeci tom *Listów* w edycji *Dzieł wszystkich* Cypriana Kamila Norwida zawiera zapisy z lat 1862–1866. Wrażeń nie robi zmienność i jednoczesność różnych tonacji występująca w zakresie poszczególnych fragmentów czy nawet zdań. Najważniejsze są te wyrastające z biblijnego ducha, poka-

zujące stosunek do ludzi i Chrystusa, z którego jego myśl wypływa i wokół którego się ogniskuje. Główne węzły to: chrześcijaństwo, literatura i sztuka oraz historia i polityka polska.

O Chrystusie mówi: „Jedyny Pan, jaki był i będzie, i jest” i ciągle jest w orbicie Jego działania. Widzi, że w czarnościach świata zawsze, choćby małym promyczkiem, świeci światło i ciemność nigdy jej ostatecznie nie ogarnia. Stwierdza, że „Trzeba umieć wiele znosić i mieć wiele miłości dla drugich – to jest Odkupienie”, nazywa siebie „sługą nieużytecznym” i przypomina, że człowiek jest „obrazem i podobieństwem Boga żywego”. Nie są to tylko literackie przenośnie i porównania, ale świadectwo odbioru i doświadczenia rzeczywistości. Na tej kanwie snuje ważne i aktualne myśli, między innymi o prawdzie i fałszu, zło czyniących ludziach, znaczeniu każdej chwili, łasce i zbawieniu. Wiąże się to z uwagami o sobie, swoim życiu i odbiorze jego osoby i pisania: przytacza opinie, że pisze „mętno i zawile”, jest „jakimś nielogicznie ideo-marzycielem” i kwituje je: „Szczęściem – że pono nie spodziewałem się od ojczyzny nic, okrom lekceważenia”. Jest samotny, chory, w długach i zaplątany w zarobkowe prace nie ma czasu i spokoju do „tworzenia i uważania każdej *kommy* i każdej *linii*”; jego izolację pogłębia postępująca głuchota. W liście do

Kuczyńskiej wyznaje: „Pani każe mi pisać – o *sobie*. / O sobie?... / Mogę tylko fotograf następujący zrobić i przesłać”.

Jest lekceważony i zepchnięty na margines, gdyż jego utwory „pełne są myśli zagadkowych i uniesień niezrozumiałych”, co podsumowuje: „Jak żyję, w całej ojczystej krytyce nigdy a nigdy pocziwego słowa o sobie nie spotkałem”. Za trudny jest, a może za szczery i nazbyt wyrazisty – mówi: „*ja cenię i ważę zdanie moje*” i to na pewno bardzo go wyróżnia. Jego styl, lapidarny język i składnia wymagają właściwych sobie figur i miar, które czytelnik, chcąc wejść w ten labirynt, musi w sobie wypracować i uprawomocnić. Ważnym tonem jest ironia, także ironia pamięci i ironia rzeczy. Obecne są razem lub przemienne sekwencje myślenia i ruchu z wyłączeniem takiego, który „*ma pozór iścicia, a jest wsteczny!*” – wiąże się to z rozwojem duchowym i artystycznym. Jak trafne, wnikliwe i głębokie są jego myśli o literaturze, świadczą na przykład czynione jakby na marginesie uwagi o tłumaczeniu psalmów z listu do Jełowickiego, zapisy o języku polskim do Mazurkiewicza, w którym stwierdza: „Nowoczesny język w Polsce jest nieznanym”, do Sokołowskiego o prawdziwym znaczeniu i roli pism polskich, do których zarzut jest zasadniczy: „– – *zatracają Serio!*”, czy do Fontany o marności

życia umysłowego w Polsce i braku jakiegos ześrodkowania sensu: „Wielkie koczowisko umysłowe!!”.

Starając się bezskutecznie o pieniądze na powołanie polskiego pisma i na wydanie choćby tylko *Vade-mecum*, pisze do Kraszewskiego: „...są to rzeczy niezabawne, ale owszem niekiedy *nudne*, to jest opracowane na głębiach prawd i różnostronności form i bogactw języka prześladowanego i podupadłego. Bogata skądinąd przeszłość poezji polskiej nie przygotowała publiczności do podobnych utworów – ale cóż zrobić! Raz przecie trzeba *i na siebie troszkę obejrzyć się*, a nawet raz przecie trzeba do wdzięków policzyć *także nawet i myśl, i prawdę, sens i rozsądek*. / To także jest coś warte!”; a w liście do Czartoryskiego: „To nie wina mówcy – nie odporność i bezsubordynacja słuchaczy – nie fatalność jałowa misterna; ależ to – *pominięcie metody!!!* To – wyrzucenie kilku oktav z klawiatury i wołanie o koncert mistrza?...”. Czy trzeba jaśniej? Nie raz przerywa i kończy, zwracając się do jednych: „...mówmy o czym innym”, a do drugich: „*Sapienti sat*”.

Wiele znaczą rozważania o języku, który jest dla niego podstawą i domeną: „Nieraz mi bardzo smutno jest, iż narodziłem się spadkobiercą języka *bogatego*, a przeto nie uprawianego i zaniedbanego ze wszech miar, tak iż ani ortografii nie ma

ustalonej, ani kształtów wystarczających wszelakim myśleniu sferom, jednakowoż – cieszy mię bardzo, że w języku owym, zarówno bogatym, jak zaniedbanym, jest wyrażenie: »*to i owo*«. / Gdyby albowiem nie było »*to i owo*« – – tedy każdy pojedynczy człowiek, który by śmiał być troszkę *konsekwentniejszym*, czyli (czysto i poprawnie mówiąc) stalej-postępowym niż ogół rzeczy bieżących, byłby w kłopotcie wielkim i bez przystani, i bez wyjścia, i bez oparcia zostałby. / Ale – skoro jest: »*to i owo*«, a zatem można mówić o tym i owym, nawet może »*ni to, ni owo*«”.

Węzły dotyczące historii i polityki polskiej tworzą wraz z innymi jedną sieć. I tu analogie są przejrzyste, choć może nieco skryte i nie raz zagadkowe. Mówi o *nijakich* momentach, rzeczach *nijakich* i *nijakich* czasach, które, jeśli nastają, są godziną sądną. Wielokrotnie przytaczane są jego opinie o Polsce i Polakach (społeczeństwo – naród, słabość polskiej myśli i prawdy), także o Rosji – jej stosunku do nas i naszym do niej. Porusza szereg problemów i spraw polskich, które od wieków nie są u nas rozwiązywane, jak choćby stosunek ludu i szlachty/inteligencji kwestia bycia patriotą („Mam *inny patriotyzm*”, mówi, to znaczy, że najpierw trzeba być *Człowiekiem*, potem *Polakiem* – ma to oczywiście odniesienie do Ewangelii) czy geneza

naszych „nieszczęść, co 15 lat”; uważa, że nigdzie na świecie inteligencja nie jest tak uzależniona i poniżona jak w Polsce. Pisze o jałowości Epoki i upadku sztuki religijnej, czemu winni są „sztukmistrze, lokaje, luzaki, karbowi i ekonomy, durnie bez godności i charakteru, przedpokojowcy” i przypomina, że nasza *Cywilizacja cała* jest ze sztuki religijnej, czego zdają się nie wiedzieć zajęci swoimi interesami współcześni: „Cała Epoka jest mała sprzedająca wszystko za pieniądze i nikczemna ze wszech miar. Człowiek u niej szanowany jest ten, który jest wygodny i dopóki wygodny – sądu w niczym – smak uliczny – lenistwo ducha i osłabienie serca, a skora nerwów pochopność – oto obraz tej mały”. Wystarczy rozejrzeć się dokoła.

Przypomina: „Wyraz »świnia« użyty był przez usta Zbawiciela-Świata, a wyraz »cymbał« użyty był przez usta Pawła, Apostoła Narodów – z tej to przyczyny można bezpiecznie świństwo zwać świństwem, a cymbalstwo mienić cymbalstwem. Parlamentarność nie dochodzi wyżej kazania i świadectwa *elementarnych prawd*”. Proste i jasne, chociaż dla wielu współczesnych artystów i intelektualistów nie do pojęcia i przyjęcia.

„Praca *ducha* w narodzie *uczyniona* a *dopełniona* *pracą* skończonego *słowa*” – tylko to może być sprawcze,

stanowiące i trwające. Poprzestawanie na „*samej tylko energii*” nazywa azjactwem i określa mianem błędnego koła. W liście do Zamoyskiego wyjaśnia, co to jest *narodowość*, a co *patriotyzm* i jak postępować, żeby z *ojczyzny* nie zrobić *sekty* i skończyć z fanatyzmem i herezją, która przecież obecna jest także w środku Kościoła. Mówi o odwadze cywilnej, która jest „*najpierwszym promieniem Zmartwychwstania*”, rozwija pojęcie *terrorizmu*, którego sprawcami i wykonawcami mogą być także ci, których nazywa „*ekonom polski i Tatar*” i którzy mają swoje współczesne odpowiedniki (jest *terrorizm* ekonomiczny lub ideologiczny albo oba naraz) – *mówi, że z wszystkich kajdan najgorsze są te „Niewidzialne!” – niszczą cię lub fałszują albo: fałszują i niszczą, jedno jest skutkiem drugiego.*

Przejmujący jest list do Kraszewskiego z maja 1866 roku, w którym w pełnych napięcia słowach pisze o „*chrześcijańskich osłach*” i „*szarlatanach pogańskich*”, o czekających na poprawę losu łgarzach, o „*lokajach i zalotnikach-czasów – złodziejach* i szarlatanach – modlących się jak ich *niewolnice-żony*”, niemających ani „*słowa świadectwa*”, ani *prawego postępu*: „*Męczeństwo bez wyznawstwa – szlachectwo bez szczerości i otwartości słów – demokracja bez pracy i charakteru! – gałgaństwo –*”.

Rosjanie mają dziesięć dzienników, a Polacy ani jednego. Ta dysproporcja dotyczy także myśli i literatury: polskiej i rosyjskiej, polskiej i niemieckiej, etc. „Efemeryczni i bez-histeryczni!”, tak ich określa. A do Górskiej: „[...] jestem zmęczony uczuciem obrzydzenia dla całego społeczeństwa polskiego, złożonego z lalek bez woli i serca, modlących się i robiących zbrodnie”. „W Epoce zupełnie podłej, jaką jest nasza, wszystko jest niezrozumiałe i to jest sąd nad Epoką, że to jest jej niezrozumiałe. / Wielki jest ten, komu klęska i nieszczyście mogą tylko służyć, to wielkość, to zwycięstwo – to właśnie!”. O człowieku, któremu nieszczyście służy do własnego rozwoju, jest wiersz *Fatum z Vade-mecum*. Warto w zalewie bezmyślności i rozpowszechniającego się bełkotu czytać wielkich pisarzy.

Do Sokołowskiego pisze: „Posyłam *wstęp i punkta*, od których odstąpić nie można, a w których na każde słowo baczyć trzeba. Dalej z tego wstępu i z tych punktów wysnuć, co logika i sumienie pozwalają”.

Krzysztof Myszkowski

**Cyprian Kamil Norwid**, *Dzieła wszystkie*, tom XII: *Listy 3: 1862–1866*, opracowała Jadwiga Rudnicka, uzupełniła Elżbieta Lijewska, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Ośrodek Badań nad Twórczością Cypriana Norwida Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Biblioteka Narodowa, Lublin – Warszawa 2019

## Duet

Każdy, kto zabiera się do lektury korespondencji Jerzego Giedroycia, przekonuje się – w miarę ukazywania się kolejnych jej tomów – że ma do czynienia z osobowością nie tylko niezwykłą, lecz także nawet w owej niezwykłości szczególną. Zapewne nie mieliśmy w naszej najnowszej historii człowieka obdarzonego tak niezwykłą intuicją polityczną, ale też zmysłem organizacyjnym (tu osobna uwaga należy się jego najbliższej współpracownicy, Zofii Hertz) i nieprawdopodobną pracowitością. Przy czym, co lubił podkreślać, nie był Redaktor człowiekiem piszącym – poza krótkimi tekstami komentatorskimi próżno by szukać w jego dorobku jakichś szerszych omówień, artykułów, o książkach nie wspominając. Wyjątkiem jest korespondencja i nie przypadkiem Andrzej Stanisław Kowalczyk pracę poświęconą paryskiej „Kulturze” zatytułował *Od Bukaresztu do Laffitów. Jerzego Giedroycia rzeczpospolita epistolarna* – dorobek w tej dziedzinie obejmuje około sto tysięcy listów, zważywszy zaś, że część z nich się zawieruszyła (od pewnego momentu miał Giedroyc – człowiek z gruntu skromny, lecz świadom znaczenia „Kultury” w życiu politycznym i literackim – zwyczaj pisywać listy z kopiami pozostawianymi w archiwum), można domniemywać, że jest tych pism jeszcze znaczna liczba. Przy



czym, gdy uważnie czytać te epistolarne dialogi, nietrudno zauważyć, że w zależności od tego, z kim miał do czynienia, odślaniał w nich odmienne oblicza: inaczej rozmawiał z Janem Nowakiem-Jeziorańskim, inaczej z Melchiorzem Wańkowiczem czy Teodorem Parnickim, jeszcze inaczej z Konstantym Aleksandrem Jeleńskim, wreszcie innym człowiekiem okazywał się w korespondencji z Andrzejem Bobkowskim, by tylko przy tych przykładach pozostać. Nie ulega też wątpliwości, że ten „niepiszący” redaktor właśnie w tym gatunku piśmienniczym ujawnia skrywane przedtem przed szerszą publicznością wybitne zdolności narracyjne. Można bez przesady powiedzieć, że korespondencja Giedroycia stanowi obfitą i naznaczoną osobowością autora, pełną pysznych anegdot, lecz zarazem niepozbawioną dystansowanej troski o losy kraju kronikę polskiego życia powojennego zarówno na emigracji, jak i w kraju, ze szczególnym uwzględnieniem życia literackiego.

Dwa bloki korespondencji wszakże uznać trzeba za najistotniejsze – w obu wypadkach ich edycja nie została jeszcze zakończona: chodzi o współtwórcę politycznej linii „Kultury” Juliusza Mieroszewskiego oraz współredaktora pisma, którym był Gustaw Herling-Grudziński, odpowiadający za kształtowanie działu literackiego. Wydane właśnie dwa pierwsze tomy listów wymienianych z tym ostatnim obejmu-

ją lata 1944–1975 i liczą bez mała dwa tysiące stron. Od pierwszego numeru „Kultury”, w którym obaj zostali podpisani jako jego współtwórcy, poprzez okres załamania współpracy w latach 1948–1956 aż po rok 1996, w którym nastąpiło, za sprawą sporu w ocenie wydarzeń w Polsce, ich dość dramatyczne rozstanie, tworzyli duet niemal idealny, co nie znaczy, że zawsze zgodny. Fakt, że w redagowaniu pisma nie odgrywał Herling-Grudziński roli pierwszoplanowej, nie ulega wątpliwości, o czym świadczą jego recenzyjne uwagi już po ukazaniu się kolejnego zeszytu: „Świetny ostatni numer »Kultury« – zwłaszcza nowela Mackiewiczowa oraz artykuły Hertza i Rozpędowskiego” (1958). Niemniej to właśnie Herling-Grudziński był pierwszym „sitem” eliminacyjnym, przez które przechodziły adresowane do pisma utwory – ostateczna decyzja wszakże zawsze należała do Redaktora.

Powrót do współpracy z Giedroyciem w roku 1956 – w tym czasie przenosi się Herling-Grudziński z Londynu do Neapolu – owocuje między innymi opublikowaniem przez Instytut Literacki dyptyku prozatorskiego *Skrzydła ołtarza*, zaś za opowiadanie *Wieża*, tom otwierające, przyznana zostaje pisarzowi w 1958 roku nagroda literacka „Kultury”, a tym samym znajduje się autor *Innego Świata* na liście laureatów, z których pierwszym (1954) jest Marian Pankowski, ostatnim zaś, za rok 1999,

zostaje Tadeusz Różewicz. Więzy między współtwórcami „Kultury” powoli się zacieśniają, tym bardziej że Herling-Grudziński coraz częściej przyjeżdża na dłuższe okresy do Maisons-Laffitte i bierze żywy udział w pracach zespołu, niemniej panowie cały czas dalecy są od mówienia sobie po imieniu (w tym kontekście warto wspomnieć wymuszony przez autora *Ferdydurke* – mimo wyraźnych oporów Giedroycia – bruderszaft Redaktora z Gombrowiczem).

Jednym z najważniejszych wątków korespondencji jest w tych tomach – ale także i później – „kwestia rosyjska”. Tu między Giedroyciem a Herlingiem-Grudzińskim nie ma sporu – obaj stawiają na rozwój prozachodnich postaw rosyjskiej inteligencji, po części też do niej adresują swą aktywność zarówno publicystyczną, jak i literacką, obaj też starają się o rozbudowę kontaktów z Rosjanami – nie przypadkiem wchodzi do zespołu patronującego powstałemu na wychodźstwie kwartalnikowi „Kontinent”, nie mówiąc już o wspólnej pracy nad przeznaczonymi dla rosyjskiej publiczności specjalnymi numerami „Kultury”, a wreszcie nad przekładami i popularyzacją zakazanej literatury rosyjskiej, by wspomnieć o utworach Solżenicyna, Daniela, Siniawskiego czy Pasternaka, przy czym z uwagą śledzą to, co ukazuje się w samych Sowietach, choć Herling-Grudziński, młodszy od Giedroycia, narzeka, że ma

kłopot z czytaniem rosyjskich rękopisów, uczył się bowiem rosyjskiego z tekstów drukowanych. Można z tego strumienia korespondencji wypręparować solidny i arcyinteresujący nurt „rosyjski”, bardzo zresztą pieczołowicie wzmacniany przez innych współpracowników pisma – przede wszystkim Józefa Czapskiego. „Kwestia rosyjska” w „Kulturze” i rola, jaką w jej stawianiu odgrywa Herling-Grudziński, jest w tej wymianie listów żywo obecna, zaś publikacja jego *Upiórów rewolucji* jest tu przykładem bodaj najdobitniejszym. W jednym wszakże widać różnicę – o ile Herling-Grudziński w swym piśarstwie, przede wszystkim w *Dzienniku pisany nocą*, ale także eseistyce, zdradza skłonność do rozważań i refleksji politologicznych – skądinąd dla Giedroycia zajmujących jako lektura – o tyle Redaktor skupiony jest przede wszystkim na kwestiach praktycznych, także organizacyjnych.

Innym ważnym wątkiem tej korespondencji jest skupienie na zagadnieniach krajowych – obaj dalecy są od zamykania się w wyizolowanej „bańce” emigracyjnej: cały czas starają się o żywy kontakt z Polską, przy czym nie unikają spotkań z przedstawicielami (czasem wprost – jak Adam Schaff – wysłannikami reżimu) różnych środowisk. I tak Herling-Grudziński melduje o spotkaniu z Andrzejem Wasilewskim: „Co do spraw cenzuralnych w kraju, to zdaje się wykluczać

zablokowanie przekładów z nowej literatury sowieckiej. Jego zdaniem niektóre rzeczy podchwytuje się szybciej, inne z pewnym opóźnieniem (sądzi on np., że dwa nowe opowiadania Sołżenicyna ukażą się w końcu w »Twórczości«). Ale w tym obszarze można obserwować dość istotne, choć zapewne niemające większego wpływu na praktyczne działania, różnice postaw: o ile w swych osądach dotyczących postaw intelektualistów unikających demonstrowania oporu wobec władzy Herling-Grudziński wydaje się być radykalny, o tyle Giedroyc zachowuje tu dystans, powtarzając, że słabości, nieuniknione, należy znać i rozumieć. Zresztą Redaktor nie raz dawał wyraz swojej pobłażliwości dla inteligentkich „błędów i wypaczeń”, zwłaszcza jeśli chodzi o autorów wybitnych (dotyczy to też środowisk emigracyjnych). Jedno było dla obu ważne: Polska dzieje się nie nad Sekwaną czy Tamizą, lecz nad Wisłą, zaś rolą emigracji jest pomoc tym, którzy zmierzają do zmiany systemu, nawet wówczas, gdy nie ze wszystkimi poglądami swych „podopiecznych” – dla których starają się między innymi o zagraniczne stypendia i nagrody – skłonni są się zgadzać.

W tej recenzji nie sposób omówić wszystkiego – skupiłem się jedynie na kwestiach dla mnie najbardziej interesujących, jedno wszakże wypada podkreślić – mamy tu świadectwo

współpracy dwóch wybitnych osobowości, przy czym nie jest to współpraca pozbawiona, zwłaszcza ze strony Giedroycia, pewnego dystansu. I, co istotne, o ile Redaktor jest tutaj – podobnie jak w innych wypadkach – człowiekiem spełnionym w swej pracy, o tyle Herling-Grudziński, świadom, podobnie jak Giedroyc, swej literackiej rangi, ma poczucie zmarginalizowania na skutek działania cenzury, zakazującej nawet wymieniania jego nazwiska w przestrzeni polskiego życia literackiego, co zresztą znosi z godnością, pewien wierności zasadom, które wyznaje. Nie bez smutnej satysfakcji pisze: „Zainteresuje Pana z pewnością fragment listu Zdzisława Najdera (z Londynu): »Być może zauważył Pan, że krakowskie 'Życie Literackie' ogłosiło parę tygodni temu mój szkic *Conrad a Dostojewski*. [...] W oryginalnym tekście wymieniałem trzykrotnie Pana jako autora znakomitego szkicu *W oczach Conrada*. Bardzo mi z tego powodu przykro, ale doprawdy nie miałem na tę sprawę żadnego wpływu, bo 'Życie Literackie' nawet nie spytało o zgodę na druk skróconego eseju«. [...] Dość charakterystyczne, prawda?».

Leszek Szaruga

**Gustaw Herling-Grudziński, Jerzy Giedroyc,** *Korespondencja*, vol. 1: 1944–1966, vol. 2: 1967–1975, opracowanie zbiorowe, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019 (jako tom 12 i 13 *Dzieł zebranych* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego)

# N O T Y   O   A U T O R A C H

**Jakub Beczek**, ur. 1976 w Żyrardowie, literaturoznawca, autor wierszy i recenzji, edytor listów Edwarda Stachury; ostatnio opublikował *Teraz oto jestem. Edward Stachura we wspomnieniach* (2020). Mieszka w Warszawie.

**Kazimierz Brakoniecki**, ur. 1952 w Barczewie, poeta, eseista, tłumacz poezji frankofońskiej, regionalista; ostatnio opublikował zbiory wierszy *Twarze świata* (2019) i *Erodotyki* (2019). Mieszka w Olsztynie.

**Paul Celan**, właściwie Paul Antschel (1920–1970), poeta; autor dziesięciu tomików wierszy, m.in. *Mak i pamięć z Fugą śmierci* [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1998 nr 2 (18), 1998 nr 4 (20)].

**Stefan Chwin**, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista, profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio ogłosił *Srebrzysko. Powieść dla dorosłych* (2016) i *Opowiadania dla Krystyny* (2018) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 3 (67) i 2016 nr 4 (92)]. Mieszka w Gdańsku.

**Jacek Hajduk**, ur. 1982 w Krynicy-Zdroju, eseista, tłumacz, filolog klasyczny; wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *Wolność słoneczną* (2020). Mieszka w Krakowie.

**Tomasz Hrynac**, ur. 1971 w Świdnicy Śląskiej, autor kilkunastu tomików wierszy, ostatnio

opublikował *Dobór słów* (2019). Mieszka w Świdnicy Śląskiej.

**Ireneusz Kania**, ur. 1940 w Wieluniu, eseista, tłumacz kilkudziesięciu książek z szesnastu języków, przełożył m.in. *Tybetańską Księgę Umarłych*, *Opowieści Zoharu*, Flawiusza, Vasariego, Mikołaja z Kuzy, Dalajlamę, Rozanowa, Eliadego, Ciorana; ostatnio opublikował *Wiersze wszystkie* Kawafisa (2019). Mieszka w Krakowie.

**Marek Kędziński**, ur. 1953 w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz Becketta i Bernharda, reżyser; ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieść Bernharda *Przeegrany* (2019) i *Pułapka Becketta* z Krzysztofem Myszkowskim (2020). Mieszka m.in. w Paryżu.

**Bogusław Kiern**, ur. 1943 w Bielsku-Białej, poeta, krytyk literacki, aktor, reżyser; ostatnio opublikował *Płomiennie obojętny* (2020) i *Atrakcje i nieszczęścia dla chwilowo żywych* (2020). Mieszka we Wrocławiu.

**Ks. Janusz Adam Kobierski**, ur. 1947 w Wólce Łysowskiej koło Siedlec; wydał trzynaście tomików wierszy, ostatnio opublikował *Pole widzenia* (2019). Mieszka w Warszawie.

**Stanisław Jerzy Lec** (1909–1966), poeta, tłumacz, aforysta i satyryk, autor m.in. *Myśli nieuczesanych* i *Myśli nieuczesanych nowych*, przetłózonych na kilkanaście języków.

**Antoni Libera**, ur. 1949 w Warszawie, pisarz, tłumacz, reżyser; ostatnio opublikował *Jestście na Ziemi, na to rady nie ma!* *Dialogi o teatrze Samuela Becketta* (wraz z Januszem Pydą OP) (2015, 2018), nowe przekłady *Tragedii Sofoklesa* (2018) i *Tragedii Racine'a* (2019) oraz *Godot i jego cień* (2019) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2019 nr 1 (101)]. Mieszka w Warszawie.

**Krzysztof Lisowski**, ur. 1954 w Krakowie, poeta, prozaik, krytyk literacki; ostatnio ogłosił tomik *Zaginiona we śnie* (2019) oraz *Domy dni. Antologia osobista* (2020). Mieszka w Krakowie.

**Jerzy Madejski**, ur. 1960 w Chlebówku, historyk i teoretyk literatury, krytyk literacki, profesor na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Szczecińskiego; ostatnio opublikował szkice krytyczne *Poetologie postrukturalne* (2018). Mieszka w Szczecinie.

**Piotr Matywiecki**, ur. 1943 w Warszawie, poeta, eseista, krytyk literacki; ostatnio opublikował tomik *Do czasu* (2018) i *Poematy biblijne* (2020). Mieszka w Warszawie.

**Oskar Meller**, ur. 1993 w Zgorzelcu, krytyk literacki, doktorant na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Mieszka we Wrocławiu.

**Krzysztof Myszkowski**, ur. 1952 w Toruniu, pisarz; ostatnio opublikował *Puste miejsce* (2018), *W rozmowie* (2018), *Punkt wyjścia* (2019) i *Pułapkę Becketta z Markiem Kędzierskim* (2020). Mieszka w Toruniu i w Bydgoszczy.

**Karol Płatek**, ur. 1992 w Warszawie, krytyk literacki; współpracuje m.in. z „Twórczością” i „Nowymi Książkami”. Mieszka w Warszawie.

**Leszek Szaruga**, ur. 1946 w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckojęzycznej i rosyjskiej, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował m.in. zbiór aforyzmów *Kanibale lubią ludzi* (2019), tom esejów *Przestrzenie*

*dialogu* (2019) oraz *Istnienie* (2020) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2016 nr 1 (89)]. Mieszka w Warszawie.

**Piotr Szewc**, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki, redaktor „Nowych Książek”; ostatnio opublikował tom wierszy *Światelko* (2017) oraz *Tymczasem. Wybór wierszy* (2019). Mieszka w Warszawie.

**Artur Szlosarek**, ur. 1968 w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio opublikował *Późne echo* (2017). Mieszka w Berlinie.

**Andrzej Szuba**, ur. 1949 w Gliwicach, poeta, tłumacz poezji anglojęzycznej; ostatnio opublikował *444 strzępy* (2018), przekłady wierszy Rona Padgetta *Bezczynność butów. Wybór wierszy* (2018) i Walta Whitmana *Powrót bohaterów* (2019) oraz *Wygasić* (2020). Mieszka w Katowicach.

**Janusz Szuber** (1947–2020), poeta, autor wielu tomów wierszy; ostatnio opublikował wybór wierszy *Przyjęcie postawy* (2020) i *Zdrój uliczny* (2020).

**Marta Tomczok**, ur. 1980 w Knurowie, literaturoznawczyni, profesor Uniwersytetu Śląskiego; ostatnio opublikowała *Czy Polacy i Żydzi nienawidzą się nawzajem? Literatura jako mediacja* (2019). Mieszka w Katowicach.

**Wang Wei** – patrz: szkic na str. 35.

**Tomasz Waszak**, ur. 1964 we Wrocławiu, profesor w Katedrze Literatury i Kultury Krajów Niemieckojęzycznych XIX–XX wieku UMK w Toruniu; ostatnio opublikował we wspólnej redakcji z Marcinem Wołkiem *Echa antyku* (2018). Mieszka w Toruniu.

**Andrzej Zawada**, ur. 1948 w Wieluniu, eseista, krytyk literacki, tłumacz i edytor, profesor Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Wrocławskiego; ostatnio opublikował *Drugi Bresław* (2015). Mieszka we Wrocławiu i w Dębniakach.

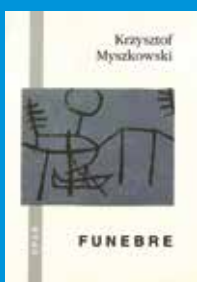
## Biblioteka „Kwartalnika Artystycznego”



Grzegorz Musiał  
*Al fine*  
1997, nakład wyczerpany



Michał Głowiński  
*Czarne sezony*  
1998, cena 15 zł



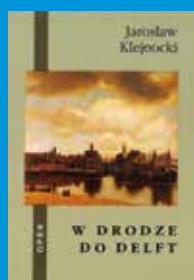
Krzysztof Myszkowski  
*Funebre*  
1998, cena 15 zł



Piotr Matywiecki  
*Zwyczajna, symboliczna, prawdziwa*  
1998, cena 12 zł



Mirosław Dzień  
*Cierpliwość*  
1998, nakład wyczerpany



Jarosław Klejnocki  
*W drodze do Delft*  
1998, cena 12 zł



Grzegorz Musiał  
*Dziennik z Iowa*  
2000, cena 17 zł

Bożena Keff  
*Nie jest gotowy*  
2000, nakład wyczerpany



Maria Danilewicz-Zielińska  
*Biarła Konopnickiej*  
2000, cena 15 zł

Janina Kościółkowska  
*Bih me!*  
2000, nakład wyczerpany

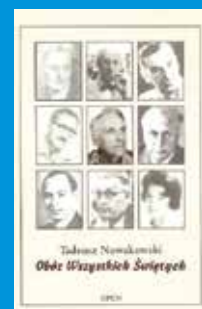


Jerzy Andrzejewski  
*Dziennik paryski*  
2002, nakład wyczerpany

Grzegorz Musiał  
*Kraj wzbronionej miłości*  
2001, cena 12 zł



Tadeusz Nowakowski  
*Obóz Wszystkich Świętych*  
2003, nakład wyczerpany

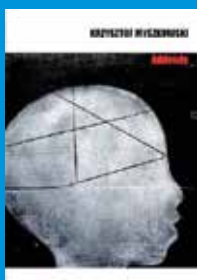




Mieczysław Orski  
*Lustratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji*  
2002, nakład wyczerpany



Kazimierz Hoffman  
*Znaki*  
2008, nakład wyczerpany



Krzysztof Myszkowski  
*Addenda*  
2017, cena 30 zł



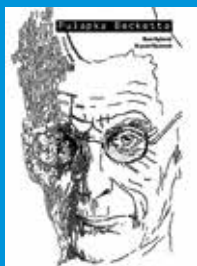
Krzysztof Myszkowski  
*Puste miejsce*  
2018, cena 35 zł



Krzysztof Myszkowski  
*W rozmowie*  
2018, cena 25 zł



Krzysztof Myszkowski  
*Punkt wyjścia*  
2019, cena 40 zł



Marek Kędzierski,  
Krzysztof Myszkowski  
*Pułapka Becketta*  
2020, cena 35 zł



## Dodatki do „Kwartalnika Artystycznego”



Zbigniew Herbert  
2 (58)  
2008, nakład wyczerpany

Czesław Miłosz  
2 (70)  
2011, cena 12 zł



Marek Kędzierski  
*Giacometti*  
4 (80)  
2013, cena 12 zł

Marek Kędzierski, Piotr Dżumała  
*Rue Samuel Beckett: Barbara Bray*  
4 (88)  
2015, cena 12 zł



Hanna Borawska  
*„Kwartalnik Artystyczny”. Bibliografia 1993–2017*  
4 (96)  
2017, cena 12 zł

# Korespondencja

W obronie Wisławy Szymborskiej  
przed nadgorliwymi wyznawcami

W „Kwartalniku Artystycznym” nr 107 (3/2020) obok przedrukowanych z *Antologii poezji francuskiej* Jerzego Lisowskiego (Czytelnik 2001) kilku przekładów wierszy Théodore’a d’Aubigné i Théophile’a de Viau autorstwa Wisławy Szymborskiej Redaktor Naczelny z namaszczeniem opublikował również jej „przekład” fragmentu *Bereniki* Racine’a. Piszę „z namaszczeniem”, bo opatrzył go faksymiliami rękopisu udostępnionego przez Fundację imienia poetki, a wyraz „przekład” biorę w cudzysłów, ponieważ nie jest to przekład, tylko przeróbka, zwana formalnie opracowaniem lub adaptacją oryginalnego tłumaczenia Kazimierza Brończyka.

Sprawa tej przeróbki z 1962 roku – zarówno dla znawców Racine’a w Polsce, jak i twórczości Wisławy Szymborskiej – jest dobrze znana. A jeśli kto o niej nie słyszał, to w obecnych „elektronicznych” czasach doprawdy nie jest trudno uzupełnić wiedzę, choćby z internetowego portalu e-teatr, nie mówiąc o wydaniu tragedii Racine’a w Bibliotece Narodowej (Ossolineum 1997, strona LXXXV). Wystarczy więc zajrzeć na ową stronę, aby dowiedzieć się, że *Berenika* grana była w Teatrze Powszechnym w Warszawie „w przekładzie Kazimierza Brończyka i opracowaniu Wisławy Szymborskiej”, a opinie czołowych recenzentów brzmiały, jak niżej. Warto zwrócić uwagę, że żaden z nich nie wymienia nazwiska Szymborskiej, a jedynie Brończyka jako właściwego tłumacza:

Jerzy Adamski:

**przekładowi [Brończyka]** zarzucać można wszystko, co się chce, prócz jednego: że istnieje (bo innego nie ma).

August Grodzicki:

I **przekład Kazimierza Brończyka**, w którym grana jest *Berenika* w Teatrze Powszechnym, zresztą poprawny, tylko w części zbliża się pod względem siły poetyckiej do oryginału.

Andrzej Jarecki:

inscenizacja, której autorem jest również Adam Hanuszkiewicz, poszła naturalnie w stronę wydobycia dialogu *Bereniki* i *Tytusa*. Słuszny nacisk na

poezję, na wydobyć rysunku psychologicznego dwojga bohaterów, nie szedł niestety często w parze z pięknem tekstu. **Przekład Kazimierza Brończyka** nie zawsze przekonuje do uroków poezji Racine'a.

Jan Kłosowicz:

Nie mamy wciąż naprawdę dobrego przekładu żadnej z największych tragedii [Racine'a], ani *Fedry*, ani *Brytanika*, ani *Bereniki*.

Recenzenci pomijali nazwisko Szymborskiej nie z ignorancji czy lekceważenia znanej już wówczas blisko czterdziestoletniej poetki, lecz dlatego, że status tekstu podawanego ze sceny był dla nich oczywisty. Zresztą sama autorka opracowania nie była z niego zadowolona i wyrzucała sobie, że w ogóle podjęła się tego dwuznacznego zadania. W 2011 roku, rozmawiając ze mną o sztuce przekładu, wróciła nagle do tamtej sprawy i z właściwą sobie żartobliwą przesadą oświadczyła, że owo zamówione u niej „podrasowanie Brończyka” było dla niej zmorą, a potem długo prześladowało ją jak duch Banqua, bo wszyscy byli niezadowoleni: ona z powodu połowiczności i dwuznaczności swej pracy, Brończyk – dlatego, że ktoś przerabia jego dzieło, a on godzi się na to ze względów finansowych (tantiemy miały iść dla niego, a Szymborska dostała jednorazowy ryczałt), a recenzenci – bo nie dostrzegli żadnej poprawy. Historię tę zakończyła wspomnieniem, że postanowiła wtedy nie podejmować się już nigdy tego rodzaju prac, choćby ofiarowywano jej złote góry.

Jeżeli duch Wisławy Szymborskiej śledzi z zaświatów losy „Kwartalnika Artystycznego”, to jestem przekonany, że ma dziś fatalny dzień z powodu tej przysługi nadgorliwego „Krzysia”, który w swej bałwochwalczej adoracji prześciga samego siebie.

A poniżej – żeby nie być posądzonym o gołosłowność – przytaczam oryginał Kazimierza Brończyka, wyłuszczonego tekst, który został zachowany przez autorkę opracowania.

Antoni Libera

#### ANTIOCH

Agryppa, brat twój, moim sprzyjając zapałom,  
Przemówił do cię za mną, ile chęci stało.  
I może bym twe serce pozyskał radośny,  
Cóż, kiedy Tytus **przyszedł**, zobaczył cię, oisnił.

195 **Stanął przed tobą wielki, cały w glorii męża,**

**Co niesie zemstę Rzymu, gdzie zechce, zwycięża.**

**Judea** jękała trwogą, **lecz pierwszą ofiarą**

**Był żalosny Antioch, nierówny cesarom...**

Wnet **twe usta**, okrutny arbiter niedoli

200 Kazały słowom moim milczeć po niewoli.

[...]

206 **Lecz dziś wyznam, zrywając pęta mej niewoli,**  
**Że wbrew słowu, co z ust mi zostało wyrwane,**  
**Przysięgam, że cię nigdy kochać nie przestanę.**

BERENIKA

Ach!

ANTIOCH

Milczałem posłusznie, choć w duszy-m się burzył,

210 Przez pięć lat. Jutro znowu zamilknę na dłużej.

**Z legionami rywała wyruszyłem z pole,**

By po łzach krew mą wylać i tak ściszyć bole,

Lub by przynajmniej sława Antiochowa

Mogła przemówić do cię, gdy nie mogły słowa.

215 Zdawało się, że nieba położą kres męce;

Byłem tak bliski śmierci... **Niestety** nic więcej.

Daremnie-m się narażał, nieprzytomny cały

Męstwo Tytusa było ponad moje szaty.

Muszę oddać hołd cnotom wielkiego żołnierza.

220 Choć dziedzictwem do władzy nad imperium zmierzał,

Choć **wielbiony** przez ciebie, **kochany przez ciebie,**

Zdawała się szukać **śmierci w najcięższej potrzebie.**

Żem ja czynił to samo, nie szukać **w tym cnoty,**

Bom był próżen **nadziei, co życia ochoty,**

225 Nie miłowan... **Już mocniej serce ci zabiło...**

**Słuchasz chętniej, gdy mówię, o kim słuchać miło.**

**Żem** wysławiał Tytusa **pocziwie, niekłamnie,**

**Wybaczasz mi opowieść smutną tylko dla mnie.**

[...]

237 **Przyzywałem cię duszą, usty spieczonemi,**

**Szukałem wszędzie śladów twoich stóp na ziemi,**

**Aż spalony tęsknotą i rozpaczą jęty  
Skierowałem do Rzymu królewskie okręty.  
Tutaj los mi gotował najsroźsze gorycze:  
Tytus mnie zaprowadził przed twoje oblicze,  
Serdeczny; więc przyjaźnią **zwiodłem was oboje**  
**A wyście powierzali mi uczucia swoje,**  
245 **Lecz zawsze łagodziła ból** nadziei mara:  
Lękaliście się Rzymu, **sprzeciwu cezara.**  
**Myślałem, że się Tytus ugnie przed rodzicem...**  
**Dzisiaj Wespazjan w grobie, mój rywal dziedzicem.**  
Czemuż nie zbiegłem zaraz! Ale jeszcze czekał,  
250 Czy jakiś dziw nie zmieni przeznaczeń człowieka.  
Teraz wszystko skończone, twa świetność **zaczęta;**  
**Będziesz miała dość świadków zwycięskiego święta.**  
Inni radością wasze zaprawią **wesele,**  
**Ja mógłbym dodać tylko łez** palących **wiele.**  
255 Ofiara nieszczęśliwej, zbyt wiernej miłości,  
Szczęśliwy, że ci mogłem powiedzieć bez złości,  
Jakich okrutnych cierpień przez ciebie **doznałem,**  
**Idę kochając więcej niż przedtem kochałem.**  
BERENIKA  
Nie przypuszczałam tego i w zdumieniu **stoję,**  
260 **Że gdy z życiem cezara mam powiązać swoje,**  
Ktoś inny z śmiertelników przychodzi zbyt śmiały,  
By mi wyznać bezkarnie **miłosne** zapaty.**

---

Istnieje praktyka, że w przypadku wielkich pisarzy publikuje się po ich śmierci teksty także słabsze i błahe; Szyborska była wielką poetką, a więc może warto ogłaszać jej teksty marginesowe.

Wydaje się, że poprawianie tekstów tłumaczonych jest praktyką teatralną znaną od dawna. Czy ono powinno być anonimowe? Sama kontrowersyjna sprawa jest ciekawym przypadkiem, który może zainteresować monografistów Szyborskiej i teoretyków tłumaczenia.

Redakcja

## Komunikat

W zorganizowanym przez Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy konkursie poetyckim im. Kazimierza Hoffmana główną nagrodę – statuetkę KOS-a i 15 tysięcy złotych otrzymała Urszula Koziół za tomik pt. *Znikopis*.

Do nagrody nominowani byli także: Jerzy Kronhold za tomik *Pali się moja panienko*, Anna Matysiak za *Tiergarten*, Jarosław Mikołajewski za *Głupie łyzy* i Piotr Mitzner za *Siostrę*.

**Wydawca:**

Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy  
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego  
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego**



KUJAWSKO-POMORSKIE  
CENTRUM KULTURY  
W BYDGOSZCZY

**Adres redakcji:**

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6  
tel. 52 585 15 02, wew. 115  
e-mail: [kwartalnik@kpck.pl](mailto:kwartalnik@kpck.pl)  
[www.kwartalnik.art.pl](http://www.kwartalnik.art.pl)

Prenumerata: Barbara Laskowska, tel. 52 585 15 02, wew. 101  
Korekta: Hanna Borawska, Barbara Dąbrowa

Projekt okładki: Ewa Bathelier

**Warunki prenumeraty:**

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego“:

- krajowej – 40 zł
- zagranicznej – 40 USD / 35 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

PKO SA II Oddział Bydgoszcz 68 1240 3493 1111 0000 4305 7874  
„Kwartalnik Artystyczny”

*Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje  
Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu  
i Urzędowi Miasta Bydgoszczy za pomoc finansową w wydaniu numeru 4/2020*



Województwo  
Kujawsko-Pomorskie



Miasto  
Bydgoszcz

**Realizacja poligraficzna:**

Dom Wydawniczy „Margrafen”  
ul. Białogardzka 13, 85-808 Bydgoszcz  
tel. +48 52 370 38 00, [www.margrafen.pl](http://www.margrafen.pl)

# N O W E

Biblioteka Kraków  
Leszek Długosz, *Do szkiełka z Muzeum Czartoryskich*, seria „Poeci Krakowa”, Kraków 2020

Instytut Literatury  
Rafał Brasse, *Metaforyczny realizm. O twórczości Tadeusza Gajcego*, Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”, Kraków 2020  
Wacław Lewandowski, *Poeta niemodny. O twórczości poetyckiej Jana Lechonia*, seria Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”, Kraków 2020

Bartosz Małczyński, *Wierszem zbawić ludzkość. Poezja Anny Świrszczyńskiej*, seria Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”, Kraków 2020

Ireneusz Staroń, Paulina Subocz-Białek, *Nostalgiczna pieśń powrotu. O twórczości Floriany Czarnyszewicza*, Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”, Kraków 2020

Bartosz Suwiński, *Anekdota o istnieniu. O twórczości Haliny Poświatowskiej*, Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”, Kraków 2020

Katarzyna Wójcik, Wojciech Kudyba, *Między bytem a niebytem. O twórczości Leszka Elektorowicza*, seria Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy Napis”, Kraków 2020

Instytut Literatury, Animiz  
Paweł Hohmann, *Iskra i kamień*, seria Biblioteka Literacka Kwartalnika „Nowy Napis”, Bielsko-Biała / Kraków 2020

Marta Kozłowska, *B. Bomb*, seria Biblioteka Literacka Kwartalnika „Nowy Napis”, Bielsko-Biała / Kraków 2020

Instytut Literatury, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi

Łukasz Barys, *Wysokie słońce*, seria Biblioteka Literacka Kwartalnika „Nowy Napis”, Łódź / Kraków 2020

Damian Kowal, *Pieśni*, seria Biblioteka Literacka Kwartalnika „Nowy Napis”, Łódź / Kraków 2020

# K S I A ǫ Ź K I

Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka  
Marcin Bies, *Żale Matki Boskiej pod słupem wysokiego napięcia*, Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, tom 174, Mikołów 2020

Piotr Kępiński, *Nieoczy*, Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, tom 175, Mikołów 2020

Antoni Pawlak, *Ale bez rozgrzeszenia*, Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, tom 176, Mikołów 2020

K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Miejska Biblioteka Publiczna im. Księcia Ludwika I

Miloš Doležal, *Jazda na szkle po oszcząnym zbroczu*, przełożyła Zofia Bałdyga, seria „Faktoria Prozy”, tom VII, Brzeg 2020

Robert Kowalski, *Wieszczowie*, seria „Faktoria Prozy”, tom VI, Brzeg 2020

Grzegorz Marcinkowski, *Wtedy*, seria „Faktoria Poezji”, tom XVIII, Brzeg 2020

Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska, *Przesłuchanie*, seria „Faktoria Poezji”, tom XIX, Brzeg 2020

Wydawnictwo FORMA, Dom Kultury 13 Muz  
Henryk Waniek, *Notatnik i modlitewnik drogowy II*, seria Piętnastka, Szczecin – Bezręcze 2020

Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury im. Henryka Berez

Krzysztof Ćwikliński, *Nocny gość, dramaty w jednym akcie*, seria Forma 21, Szczecin – Bezręcze 2020

Wydawnictwo Literackie  
Jerzy Kronhold, *Długie spacerowanie nad Olzą*, Kraków 2020

Wydawnictwo MG  
Giovanni Boccaccio, *Dekameron*, przełożył Edward Boyé, Warszawa 2020

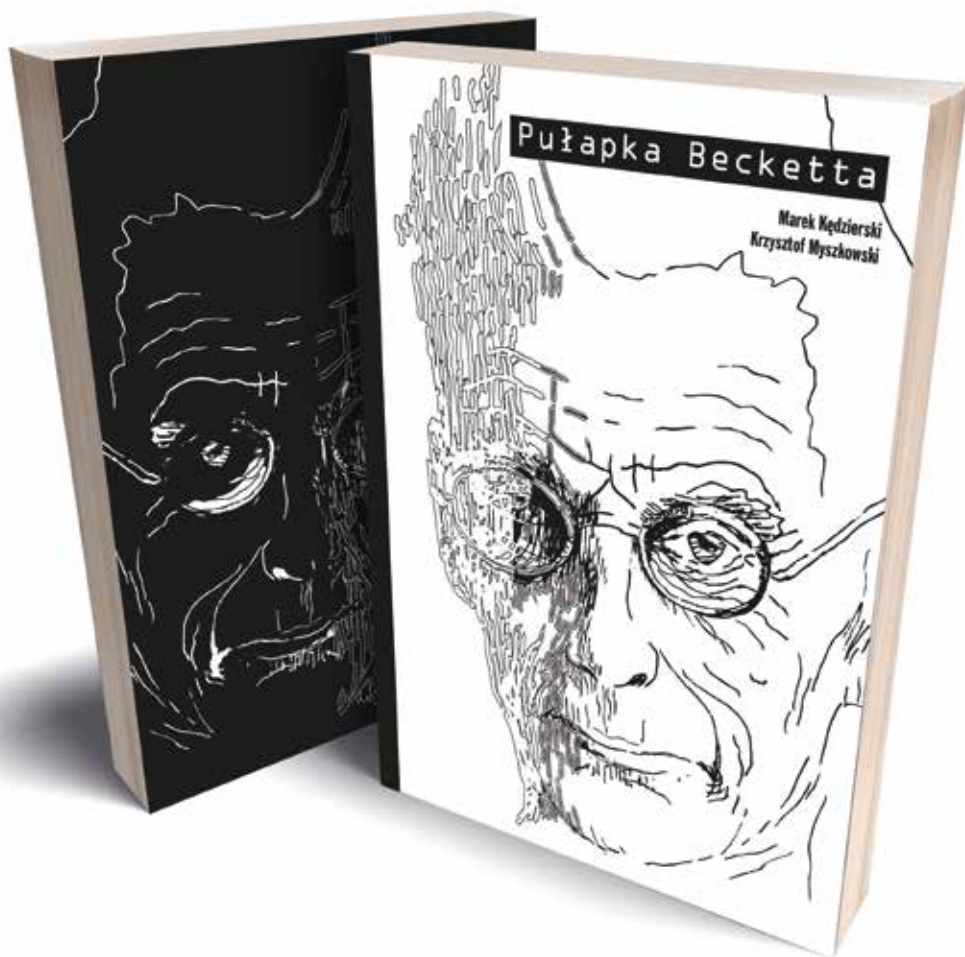
Mikołaj Gogol, *Martwe dusze*, przełożył Władysław Broniewski, Warszawa 2020

Artur Schopenhauer, *Erystyka, czyli sztuka prowadzenia sporów*, przełożył Jan Lenartowicz, Warszawa 2020

Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Pożegnanie jesieni*, Warszawa 2020



## Biblioteka „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”



Ten dialog od samego początku miał poruszać się według prawideł logiki nastroju i kaprysu rozmówców. Z założeniem i zastrzeżeniem, że wynikają z imperatywu poszukiwania. Miały to być rozmowy bez planu szczegółowego, ale niekoniecznie bez ładu i składu.

Przeskakiwaliśmy z tematu na temat – nie tracąc wszakże z oczu naczelnego tematu – z nadzieją, że może się to okazać bardziej odkrywcze niż przewidywalne formuły jednego egzegety. Że na styku osnowy i wątku, w pęknięciach między płytami tektonicznymi, pod nawarstwieniami zasklepiających stwierdzeń i potwierdzeń, w tym dwugłosie może nagle zaświtać, między wierszami lub nie, jakaś mała prawda, która nie objawiłaby się w uczonym wywodzie.

(ze słowa wstępnego)

CENA 11 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 1232-2105



04

INDEKS 36294

9 771232 210000

Detailed description: This block contains a white rectangular area with a barcode. Above the barcode is the text 'ISSN 1232-2105'. To the right of the main barcode is a smaller barcode with the number '04' above it. Below the main barcode is the number '9 771232 210000'. To the right of the smaller barcode is the text 'INDEKS 36294'.